DLP IMP S-9-79016776

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ Nr 5/380 1979**

*• « La Culture » • Revue mensuelle •*

A. SZCZYPIORSKI : **POLACY I ŻYDZI**

Zb. BYRSKI : **KRAJE ARABSKIE I IZRAEL**

BRUKSELCZYK : **A JEDNAK SIĘ KRĘCI**

J. OŻAROWSKI : **MŁODE POKOLENIE KSIĘŻY**

# SPIS RZECZY


| | | |
|---|---|---|
| Andrzej Szczypiorski: | *Polacy i Żydzi* ..... | 3 |
| Andrzej Koraszewski: | *Holocaust a sprawa polska* ..... | 14 |
| Włodzimierz Ledóchowski: | *Światło u wylotu tunelu* ..... | 19 |
| Wiktor Skiba: | *Pochwała głuchoty* ..... | 34 |
| | WIERSZE | |
| Henryk Grynberg: | *Wiersze z Ameryki* ..... | 37 |
| | ARCHIWUM POLITYCZNE | |
| Zbigniew Byrski: | *Kraje arabskie i Izrael* ..... | 49 |
| Brukselczyk: | *Widziane z Brukseli* ..... | 56 |
| | SPRAWY I TROSKI | |
| Redakcja: | *Nowy Prezydent R.P.* ..... | 71 |
| Jan Dołęga: | *List do Redaktora „Kultury"* ..... | 72 |
| — | *Pierwszy Uniwersytet Letni Wspólnoty Polsko-Francuskiej* ..... | 75 |
| | KRAJ | |
| J. Ożarowski: | *Młode pokolenie księży* ..... | 77 |
| Gustaw Herling-Grudziński: | *Szkielet w szafie* ..... | 85 |
| J. Ś.: | *Przegląd prasy niezależnej* ..... | 88 |
| Benedykt Heydenkorn: | *Problemy przywództwa grup etnicznych* | 92 |
| | SĄSIEDZI | |
| J. Mirski: | *O Kościele katolickim w ZSSR* ..... | 95 |
| Adam Kruczek: | *W sowieckiej prasie* ..... | 102 |
| Andrzej J. Chilecki: | *Kronika niemiecka* ..... | 108 |
| Włodzimierz Brylewski: | *Kronika białoruska* ..... | 110 |
| | WOŁANIE NA PUSZCZY | |
| Kisiel: | *Gorczycy dwa ziarna* ..... | 112 |
| | KRONIKA KULTURALNA | |
| Witold Wirpsza: | *Rozmowa z Karolem Dedeciusem* .... | 116 |
| Maria Danilewicz Zielińska: | *Literatura Dwudziestolecia w Kraju* .. | 118 |
| | KSIĄŻKI | |
| M. Broński: | *Przeciw przemocy* ..... | 134 |
| Jan M. Ciechanowski: | *Od Popiela do Piłsudskiego* ..... | 138 |
| — | *Nadesłane nowości wydawnicze* ..... | 144 |
| | ◆ | |
| — | *Wydarzenia miesiąca* ..... | 146 |
| | ◆ | |
| H. Czajkowski, M. Borwicz, E. Kowalewski, J. K. Machniewicz, M. Rudawski, W. Szacki, B. Szubska, T. Terlecki: | *Listy do Redakcji* ..... | 154 |
| — | *Odpowiedzi Redakcji* ..... | 159 |


# KULTURA

***Szkice • Opowiadania • Sprawozdania***


PARYŻ Maj - Mai 1979

INSTYTUT LITERACKI

## WPŁATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

| | |
|---|---|
| Andrzej Brzeski, Davis, Cal., (USA), po raz 40-ty | F. 102,15 |
| Canasta, Fagernes (Norwegia) | F. 300,00 |
| Erika i Andrzej Chileccy, Kolonia (RFN) — zamiast kwiatów na grób śp. Zbigniewa Stypułkowskiego | F. 100,00 |
| F. H., USA, po raz 11-ty | F. 34,50 |
| Stefan R. Jasiński, Webster, N.Y. (USA) | F. 13,00 |
| C. Korwin, Secunda (Afryka Południowa) | F. 100,00 |
| K. J. Logay, Sarasota, Fla. (USA), po raz 6-ty | F. 43,00 |
| Jan Nowosielski, Brooklyn, N.Y. (USA) | F. 8,60 |
| Anna i Jarosław Paszyńscy, Buena Park, Cal. (USA) — zamiast kwiatów na trumnę śp. inż. Wiktora Skiby | F. 86,00 |
| Dr St. Scholer, Wesseling-Urfeld (RFN), po raz 2-gi | F. 190,00 |
| J. Waroczewska, Toronto, Ont. (Kanada), po raz 15-ty | F. 72,00 |
| Anonimowo z Paryża | F. 100,00 |
| Suzanne Birgitta af Burén, Lund (Szwecja) — na pomoc dla opozycji w Polsce | F. 30,00 |
| M. N., Norwegia — na pomoc dla Kazimierza Świtonia | F. 500,00 |
| Z. J. Rusin, Kopenhaga — na pomoc dla opozycji w Polsce | F. 42,40 |

DZIĘKUJEMY!

## WPŁATY NA KSS „KOR"

| | |
|---|---|
| Bezimiennie z Heverlee — Bruksela | F. 115,00 |
| Bezimiennie z Kassel (RFN) | F. 33,00 |

## WPŁATY NA ROPCiO

| | |
|---|---|
| Tadeusz Brzostek, Paryż — dla uczczenia 30-lecia kapłaństwa ks. Zb. Bernackiego, Rektora Polskiej Misji Katolickiej w Paryżu | F. 100,00 |
| Frank Kosowicz, Riverside, Cal. (USA) | F. 215,00 |
| Maria Nicolaisen, Oslo | F. 40,00 |

◆

Nadesłane przez Jana Wójcika, New Britain, Conn. (USA) kwoty zebrane: 1) na apel „Konfederacji 76" w New Jersey, N.J.: T. Metrycki — $ 100,00, R. Winowski — $ 50,00, T. Dziekanowski — $ 25,00, Naukowiec z Polski i G. Jezierski z Camden po $ 20,00, B. Pilecki — $ 10,00, J. Łuczycki z Portland i K. de Hackbeil po $ 5,00 — razem: $ 235,00; 2) na apel „Konfederacji 76" w Boston: J. Doz — $ 20,00, F. Dziadul i Turystka M. z Polski po $ 10,00, L. Szumski, H. Szarek, W. Ostrowski, T. Dąbkowska, K. Gołowicka, J. i M. Czernik, J. Paliwoda, A. Żołądkowski, Rodzina S. H. S., R. Bogusławska, K. Grabowska, Turysta z Polski, K. W. z Polski po $ 5,00 — razem: $ 105,00; 3) Placówka 119 SWAP w Hartford, Conn, zebrane na wystawie druków ruchu oporu w Polsce, urządzonej na akademii ku czci Marszałka Piłsudskiego — $ 50,00; 4) Czytelniczka *Listów do Polaków* z Nowego Jorku — $ 25,00; ogółem: $ 415,00 z czego na:

| | |
|---|---|
| KSS „KOR" — $ 140,00 | F. 602,00 |
| ROPCiO — $ 275,00 | F.1182,00 |



# Polacy i Żydzi*

## I

Jedną z dramatycznych omyłek Zachodu jest traktowanie oficjalnych enuncjacji władz w krajach totalitarnych jako wyrazu opinii publicznej. Ten zdumiewający błąd, który świadczy o braku politycznego rozumu, a nawet politycznej intuicji — charakteryzował postawę demokracji zachodnich wobec Trzeciej Rzeszy Hitlera w latach trzydziestych, a potem występował wręcz notorycznie w stosunkach ze Stalinem. Dotyczy to zresztą nie tylko systemów tak ekstremalnych jak hitleryzm czy stalinizm. Dotyczy to niemal wszystkich bez wyjątku systemów niedemokratycznych, wobec których demokracja usiłuje stosować swoje własne miary i doświadczenia. Ponieważ w krajach demokratycznych prasa wyraża poglądy określonych grup społecznych, a jako całość — w zasadzie — odzwierciedla opinię publiczną, więc obserwatorom zachodnim wydaje się, iż podobnie, przynajmniej w pewnym stopniu, dzieje się również w państwach totalitarnych. Ludziom przywykłym do swobody myślenia i nieskrępowanych możliwości wyrażania opinii, nie mieści się w głowach obraz świata podporządkowanego surowym rygorom państwowej cenzury, która decyduje o publikowaniu najbardziej niewinnej wzmianki prasowej. W krajach, gdzie państwo posiada wyłączny monopol informacji, dysponuje środkami przekazu i za pośrednictwem swych cenzorów redaguje od pierwszego do ostatniego słowa każdą gazetę, program radiowy czy telewizyjny, a nawet każdy skrawek zadrukowanego papieru, włączając w to bilety wizytowe, opakowania mydła i nalepki na butelkach wody mineralnej — nie może być w ogóle mowy o jawności opinii publicznej. Co więcej — rozpoznanie jej autentycznego głosu jest bardzo utrudnione, może się opierać tylko

* Artykuł ten przeznaczony dla prasy niemieckiej zamieszczamy bez wiedzy autora.

na mozolnej i długotrwałej obserwacji zachowań społecznych, z reguły nieartykułowanych publicznie —a niekiedy nawet świadomie przemilczanych przez wiele jednostek, z obawy przed konsekwencjami.

Stąd też wiedza o prawdziwych nastrojach mas w takich krajach bywa niepełna a obserwator z zewnątrz niemal zawsze skazany będzie na domysły, ryzykowne uogólnienia, albo — najczęściej — kompletną bezradność. Jeden fakt jest niewątpliwy. Oficjalna prasa (a inna w krajach totalitarnych nie istnieje) oraz oficjalne wypowiedzi władz bądź jej poszczególnych przedstawicieli, mogą stanowić źródła wiedzy o nastrojach i poglądach społecznych. Można natomiast przyjąć, że te enuncjacje dość często świadomie i w określonym celu fałszują rzeczywistość. A zatem jakiekolwiek spekulacje oparte na tych źródłach muszą prowadzić do błędnych konkluzji.

## II

Jednym z rozpowszechnionych na Zachodzie mitów jest przekonanie, że Polak i antysemita to jedno! Fakt, że ten mit występuje również w Republice Federalnej Niemiec, nie może budzić zdumienia. Ostatecznie to właśnie Niemcy, czy tego chcą czy nie, są odpowiedzialni za wytępienie Żydów. Jest to sytuacja moralnie uciążliwa. Skłania do poszukiwania usprawiedliwień i wspólnictwa. Odpowiedzialność zbiorowa byłaby w tym przypadku szczególnie mile widziana.

Z poglądem takim nie zamierzam polemizować. Jestem zbyt stary i zmęczony, aby zajmować się głupotą. Co więcej, ten mit o niepoprawnym, wojującym antysemityzmie Polaków przetrwa długo i racjonalne argumenty nie obalą go. Jest bowiem wciąż podsycany przez głupich Polaków, głupich Żydów i głupich Niemców.

Żydzi pojawili się w Polsce w wiekach średnich. Byli przybyszami z Hiszpanii, Francji i Niemiec. Odeszli z Zachodu, ponieważ cierpieli prześladowania. W Polsce znaleźli warunki bardziej godziwe. Nie dlatego, że ówcześni Polacy byli wyjątkowo porządnymi ludźmi i ukochali Żydów, ale z powodu słabości władzy królewskiej i republikańskiego charakteru państwa, co siłą rzeczy powiększyło margines tolerancji. Oczywiście także w Polsce jawiły się tendencje antysemickie, szczególnie wśród mieszczaństwa, które czuło się zagrożone przez handel i rzemiosło żydowskie.

U schyłku niepodległości Królestwa Polskiego, w końcu XVIII wieku, Żydzi stanowili ponad 12 % ogółu ludności. Od połowy XIX wieku ludność żydowska gwałtownie wzrastała z powodu ograniczeń, jakie car rosyjski Aleksander II narzucił Żydom, żyjącym w głębi Rosji. Nad Wisłę napłynęła wtedy olbrzymia fala imigracyjna, niosąc z sobą obcy obyczaj, tradycje i kulturę. Żydzi przybywający z głębi Cesarstwa Rosyjskiego na ziemie polskie byli żywiołem egzotycznym, zarówno dla Polaków jak i Żydów z dawna w Polsce osiadłych. Przybysze ci należeli do warstw społecznie upośledzonych, doznali w Rosji wielu prześladowań i upokorzeń. Z tamtej epoki właśnie pochodzi rosyjskie słowo *pogrom,* które znalazło się w użyciu we wszystkich niemal językach europejskich. W nowych miejscach osiedlenia, na obszarach Polski etnicznej, Żydzi którzy przybyli z Rosji tworzyli zwarte i solidarne grupy, nieufne wobec otoczenia.



U schyłku XIX wieku ludność pochodzenia żydowskiego stanowiła prawie 30 % ogółu mieszkańców ziem polskich. W tym czasie pojawiły się pierwsze antysemickie programy polityczne i społeczne. Różniły się one znacznie od programów antysemickich, popularnych wówczas w Niemczech czy Anglii. I znów nie był to rezultat jakiegoś szczególnego umiaru czy szlachetności Polaków, lecz skutek określonej sytuacji i tradycji historycznej. Polscy nacjonaliści byli z reguły praktykami i pragmatykami. Pomysły rasistowskie nie przychodziły im do głowy. Nawoływali do walki z prymatem Żydów w gospodarce, głównie w handlu i rzemiośle, bo te kwestie uważali za palące. Absurdy na temat rasowej niższości Żydów, tak wtedy modne na Zachodzie (Gobineau, Chamberlain, Lueger), wydawały się polskim antysemitom świadectwem odrażającej ignorancji. Zbyt długo Polacy żyli pod jednym dachem z Żydami na równych prawach, aby takie uprzedzenia mogli akceptować. Oczywiście, jak wszyscy antysemici, byli głupcami i moralnymi karłami, ale ich ułomności miały inną barwę emocjonalną.

Pewna część Żydów polskich, zdobywając wykształcenie, asymilowała się szybko. Ludzie ci odegrali olbrzymią rolę w kulturze, jednak większość społeczności żydowskiej, z przyczyn ekonomicznych, pozostawała w gettach obyczajowych, trudniąc się drobnym handlem i rzemiosłem. Powodowało to konflikty i wzrost napięć socjalnych, głównie na wsi, gdzie niedostatek, a nawet nędza, bywały wspólnym przekleństwem Żydów i Polaków. Miało to oczywiście wpływ na wzrost antysemityzmu z jednej, antypolonizmu z drugiej strony. Ten stan rzeczy przetrwał także w Polsce niepodległej, po roku 1918. Jednakże w tym okresie liczba ludności żydowskiej znacznie malała, po części dzięki asymilowaniu się warstw oświeconych pochodzenia żydowskiego, po części zaś z powodu emigracji do Palestyny i USA.

Między wojnami zdarzały się w Polsce odrażające ekscesy antysemickie i działały ugrupowania o wyraźnie antysemickich progra-

mach. Polacy, którzy usiłują te fakty przemilczać albo im zaprzeczać — wyświadczają złą przysługę własnemu narodowi. Żydzi, którzy dzisiaj, po tak tragicznych doświadczeniach hitleryzmu, wyolbrzymiają przedwojenne wydarzenia w Polsce — są rzecznikami antypolonizmu, który jest równie odrażający i głupi jak antysemityzm. Niemcy zaś, którzy przywołują tamtą przeszłość w złudnej nadziei, że może ich ona po części usprawiedliwić — są po prostu niemoralni i niczego nie zrozumieli z nauk historii najnowszej.

## III

Jednym z ważnych czynników, który przed wojną potęgował niechęć i nieufność do społeczności żydowskiej, był — co brzmi dość paradoksalnie — komunizm. W polskim ruchu komunistycznym tamtej epoki uczestniczyło wielu działaczy żydowskich. Nie ma w tym nic dziwnego. Byli rzecznikami żydowskiego proletariatu, żyjącego w nędzy i ciemnocie. W przewrocie komunistycznym upatrywali zwycięstwo społecznej sprawiedliwości i internacjonalizmu. Występowali przeciw własnemu środowisku religijnych gett, ale te właśnie getta ukształtowały ich duchowo. Należeli do najbardziej ortodoksyjnych i fanatycznych szermierzy ideałów komunizmu. Z domu dzieciństwa i młodości wynieśli żarliwość, mistycyzm i przekonanie o obcości otoczenia, w którym przyszło im żyć i działać. Ich program zwalczał państwo polskie, jako burżuazyjne i faszystowskie, choć Polska ówczesna nie była faszystowska, mimo wielu ustrojowych ułomności. Jako komuniści związani byli uczuciowo z ZSRR, a więc z Rosją, co nie mogło budzić sympatii w masach polskich, pamiętających czasy niewoli. Co więcej — dla wielu katolików polskich, hasła komunistyczne głoszone przez działaczy żydowskich, były szczególnie antypatyczne, bo łączyły ateizm i wrogość wobec świeżo odzyskanej niepodległości państwa polskiego z obcością obyczaju i tradycji umysłowej.

Te wszystkie przesłanki nie wywołały jednak w Polsce fali brutalnego i uświęconego prawem antysemityzmu, jaki zapanował w Niemczech, nazajutrz po zdobyciu władzy przez narodowy socjalizm.

## IV

Hitlerowskie Niemcy dopuściły się największej zbrodni w dziejach — zagłady Żydów europejskich. Żydzi zostali niemal doszczętnie wymordowani, kultura żydowska zniszczona, język zabity, a tradycje i obyczaje tego ludu przeszły do historii. Popioły milionów ofiar rozwiał wiatr.



Naród niemiecki pozostał ze swoją zbrodnią, swoim sumieniem i swoją przyszłością.

## V

Druga wojna światowa na ziemiach polskich była szczególnie okrutna i krwawa. Hitleryzm wymordował na tych ziemiach trzy miliony polskich Żydów i trzy miliony Polaków. Polska utraciła sześć milionów swych obywateli, w tym niemal całą kierowniczą warstwę narodu, ludzi wykształconych i ideowych. Zginęła większość lekarzy i prawników, większość nauczycieli i wyższych urzędników, większość przedsiębiorców.

Antysemityzm w Polsce przedwojennej na pewno istniał, tak jak w wielu innych krajach, gdzie w procesie dziejowym powstały bardzo liczne, żydowskie wspólnoty. Antysemityzm w Polsce okupowanej przez Hitlera doznał osobliwych przeobrażeń, które jednak wcale nie są zdumiewające. W skali ogólnospołecznej przestał istnieć. W skali zaś indywidualnej spotęgował się i ukazał twarz bestii.

Olbrzymia większość Polaków zrazu osłupiała z przerażenia na widok okrucieństw niemieckich, aby następnie przez wszystkie lata ciężkiej walki z okupantem żywić do niego uzasadnioną nienawiść. Jednocześnie rodziło się współczucie dla żydowskich współobywateli, coraz głębsze i bardziej dojmujące, które owocowało aktami solidarności, pełnymi heroizmu i poświęcenia. Polscy Żydzi, którzy ocaleli z hekatomby (a przeżyło pod okupacją niemiecką około 100 tysięcy), wiedzą jak do tego doszło. Wielu z nich poznało te tajemne kryjówki na strychach i w piwnicach, zamurowane pokoiki, a niekiedy po prostu szafy, chaty wiejskie i leśne ziemianki, cele katolickich klasztorów — gdzie przetrwali dzięki pomocy swoich polskich rodaków. Nie jest to zresztą powód do wdzięczności, i Polacy, którzy dziś domagają się za to uznania od świata — są głupi i małoduszni. Nie czynią tego ci, którzy wówczas ratowali Żydów, a najczęściej inni. Walka o ocalenie Żydów była moralnym obowiązkiem. Fakt, że jego spełnienie wymagało bohaterstwa, dowodzi tylko jednego — nieopisanego zdziczenia hitlerowskich Niemiec.

W Polsce za podanie wody spragnionemu Żydowi — groziła kula w łeb! Więcej nawet, bo karę śmierci wymierzał okupant za niepoinformowanie go o ukrywającym się w pobliżu Żydzie.

Nie można się więc dziwić, że byli tacy, którzy współczuli żydowskiej tragedii biernie, nie spełniając nakazu czynnej pomocy, z lęku o własne życie, lub życie najbliższych. Kto nie przeżył tamtych czasów na ziemiach polskich może snuć filozoficzne rozmyślania i sto razy odmieniać słowo ludzkość, ale zabraknie mu wyobraźni, aby uprzytomnić sobie realia, a więc także cenę, jaką trzeba było płacić za człowieczeństwo. A jednak bardzo wielu ludzi cenę tę zapłaciło!

Bardzo niepełna dokumentacja wymienia ponad 600 nazwisk poszczególnych osób lub całych rodzin, które zostały zabite w sposób bestialski za udzielenie pomocy Żydom. Na Har Hazikaron w Jerozolimie, w słynnej Alei Sprawiedliwych — znajduje się dziś ponad trzysta drzew, zasadzonych ku czci Polaków, szczególnie zasłużonych dla ratowania Żydów w dobie Holocaustu. Są to wszystko drzewa osób żyjących. Tych, którzy zginęli w dobie wojny — było bardzo, bardzo wielu.

Instytut Yad Washem w Izraelu ufundował na Har Hazikaron tylko trzy drzewa dla upamiętnienia zorganizowanych grup, niosących pomoc Żydom w okupowanej przez Hitlera Europie. Są to drzewa holenderskiej grupy Westerweela, duńskiego ruchu oporu oraz tajnej polskiej Rady Pomocy Żydom „Żegota".

Byli w okupowanej Polsce także i tacy ludzie, którzy współdziałali z hitlerowcami. Stanowili garstkę społeczeństwa, wywodzili się z jego ciemnych zaułków. Konspiracja polska likwidowała takich ludzi na równi z osławionymi katami SS i gestapo. Byli jednak! Tak jak we Francji, Holandii, wszędzie tam gdzie hitleryzm wyzwalał w ludziach słabych i nikczemnych instynkty zła.

Polacy, którzy temu przeczą — są nieuczciwi. Żydzi, którzy tylko to pamiętają — są nieuczciwi. Niemcy, którzy się na to żałośnie powołują — są nieuczciwi.

## VI

Po wojnie Polska stała się krajem rządzonym przez komunistów. Nie był to w latach 1944-45 rezultat swobodnego wyboru narodu, lecz konsekwencja radzieckiej obecności militarnej. Przeobrażenia społeczne i ekonomiczne powojennej Polski nie są tematem niniejszego tekstu. Nie ma więc powodu zajmować się szerzej tymi wydarzeniami. Interesujący jest jednak problem polskiego antysemityzmu w epoce powojennej. Jest to bowiem jeden z najbardziej zmistyfikowanych problemów naszego czasu.

Olbrzymia większość Żydów polskich zginęła z rąk hitlerowców. Około 300 tysięcy osób ocalało w głębi ZSRR. W roku



1939 znaleźli się na obszarach Polski wschodniej, wcielonych do ZSRR. W chwili inwazji Hitlera w czerwcu 1941, duża część ludności żydowskiej zbiegła, wraz z cofającą się Armią Czerwoną. Ci, którzy pozostali, niebawem podzielili los swych żydowskich braci w hitlerowskich obozach zagłady.

W latach 1944-45, kiedy Stalin wprowadzał system komunistyczny na terenach polskich, nie dysponował wystarczającą kadrą wykształconych Polaków, którzy gotowi byli z nim współdziałać. W kierowniczych ośrodkach polskich, które wówczas deklarowały wierność ideałom komunistycznym i Stalinowi osobiście, dominowali działacze partyjni pochodzenia żydowskiego, którzy przetrwali w głębi Rosji, często zresztą w warunkach niezmiernie ciężkich.

Jest tajemnicą poliszynela, że bardzo wiele stanowisk w aparacie państwowego przymusu obsadzili wtedy właśnie ci ludzie.

Po roku 1945 Żydzi byli w Polsce nieliczni, trudno tu mówić nawet o mniejszości, szczególnie że internacjonalistyczne zasady wykluczały — przynajmniej teoretycznie — podobne podziały. Żydzi, którzy przetrwali wojnę na terenach okupowanych przez Niemców, musieli siłą rzeczy porzucić wtedy obyczaje i tradycje przodków — i po wojnie wtopili się bez reszty w środowisko polskie. Trudnili się handlem, rzemiosłem, pracowali w administracji oraz instytucjach kulturalnych. Byli wrośnięci w swoje środowiska i całkowicie zasymilowani. Cieszyli się, zależnie oczywiście od osobistych walorów, sympatią i szacunkiem otoczenia.

Jednakże spora grupa przybyszów z ZSRR odgrywała znamienną i mało chwalebną rolę w stalinowskim aparacie władzy, głównie w partii i policji politycznej. Znaleźli się tam także fanatyczni, ortodoksyjni komuniści, którzy każdy związek obywatela z przedwojennym państwem polskim uważali za dowód sympatii faszystowskich, udział w Armii Krajowej, walczącej przez całą wojnę z Niemcami i podporządkowanej polskiemu rządowi emigracyjnemu w Londynie — za działalność antykomunistyczną, wreszcie każdy przejaw niezależnej myśli za akt imperialistycznej kontrrewolucji.

Z perspektywy lat wydaje się, że byli to ludzie powierzchownie wykształceni i psychicznie połamani wskutek rozczarowań młodości, przejść wojennych i powojennego udziału w niekontrolowanej władzy.

Wydaje się również, że Stalin, który w ZSRR dał się poznać jako brutalny, zajadły antysemita, w Polsce zmierzał do uprzywilejowania komunistów żydowskiego pochodzenia z dwóch powodów. Po pierwsze nigdy nie wyzbył się podejrzliwości wobec Polaków, których — nie bez słuszności — zaliczał do katolickiej, a więc śródziemnomorskiej formacji umysłowej, i którym przy-

pisywał resentymenty w stosunku do Rosji, datujące się z czasu carskiej niewoli. Po drugie sądził, że uprzywilejowany status działaczy pochodzenia żydowskiego wywoła falę antysemityzmu, doprowadzi do napięć i w ten sposób ułatwi kontrolę nad Polską. W tej drugiej sprawie wielki teoretyk kwestii narodowościowej i niezrównany przyjaciel całej ludzkości — pomylił się zupełnie. Po doświadczeniach wojny i hitleryzmu, antysemityzm nie miał w Polsce większych szans. Tylko najgłupsi ludzie nie rozumieli, że gra toczy się o Polskę, a nie o stosunek Polaków do Żydów.

Mijały lata, Stalina zabrakło, w ZSRR pojawił się Chruszczow, w Polsce Gomułka. Nie nazwiska są tu jednak ważne, ale fakty społeczne.

W roku 1945 naród był dyktaturze komunistycznej przeciwny, a emisariusze nowego ustroju, którzy przyjechali z ZSRR czuli się w Polsce jak spadochroniarze na wrogim terytorium. W dwadzieścia lat potem sytuacja była inna. Społeczeństwo jest organizmem żywym, zachodzą w nim głębokie przeobrażenia.

Uprzemysłowienie wywołało migracje ze wsi do miast i poważny sukces cywilizacyjny. System władzy, oparty na doktrynie komunistycznej, stworzył liczną i wpływową warstwę biurokracji, którą w tradycyjnej nomenklaturze marksizmu można określić jako drobnomieszczaństwo, przeniknięte wizją społeczeństwa konsumpcyjnego. Gwałtowny awans oświatowy sprawił, że powstawała po wojnie warstwa połowicznie lub jednostronnie wykształconych fachowców, oderwanych od własnej gleby społecznej. Ich marzeniem był szybki sukces osobisty.

Środowiska te zawdzięczały swój awans rewolucji przemysłowej, która realizowała się z inspiracji i pod kierunkiem komunistów. Ale nie żywiły do komunistów ani sympatii, ani też nie czuły się wobec nich dłużne.

Już u progu lat 60-tych pojawiła się liczna i ambitna armia ludzi, zajmujących niższe i średnie szczeble w hierarchii biurokracji partyjnej, państwowej i gospodarczej, dla których szczeble wyższe były nieosiągalne z uwagi na obecność starej kadry komunistycznej.

Pewne sprawy w życiu społeczeństw są proste i prozaiczne, trzeba tylko przyjrzeć się im z bliska. Rzekomo zawiła gra toczy się w istocie o większy sekwens przywilejów, zakres wpływów i beneficja. Dotyczy to szczególnie systemów monopartyjnych, gdzie pewnych poglądów nie można artykułować wprost, trzeba sięgać po substytuty i toczyć pozorne bitwy.

W roku 1967 wybuchła prawdziwa wojna na Bliskim Wschodzie. Nie mogło się zdarzyć nic równie pożytecznego! Stara kadra cieszyła się zaufaniem potężnego sąsiada, można było ją usunąć, używając tylko takiej argumentacji, która odpowiadałaby



jego interesom. I oto historia uśmiechnęła się łaskawie do nowej generacji partyjnej. Na szczytach władzy zasiadali przecież ludzie żydowskiej proweniencji. Tymczasem na Synaju Żydzi rozbili armie Nassera, sojusznika ZSRR. Nie było nic prostszego jak wydać walkę zausznikom syjonizmu, zajmującym lukratywne posady w aparacie władzy. Wprawdzie ci działacze nigdy nie byli syjonistami i zawsze byli komunistami — ale właśnie dlatego walka z nimi okazała się łatwiejsza. Któż miałby w Polsce ochotę rozczulać się nad losem starej kadry partyjnej, która miała na swym koncie wiele występków ery stalinowskiej?!

W tamtych latach Polska przeżyła odmianę paranoi, ale nie była to, wbrew pozorom, paranoja antysemicka. Społeczeństwo, w olbrzymiej większości, okazywało zadowolenie z sukcesów izraelskich na Bliskim Wschodzie. Dowódcy izraelscy mieli rzekomo między sobą rozmawiać po polsku. Był to więc niejako polski sukces militarny, wykonany *per procura* rękami polskich Żydów. Słynne powiedzenie, że „polscy Żydzi pobili rosyjskich Arabów", najlepiej oddaje ówczesne nastroje mas.

W aparacie biurokracji totalnej szalała nagonka na starych działaczy żydowskiego pochodzenia. Batalia wymierzona była przeciwko wszystkim udziałowcom władzy, ale ci którzy nie byli Żydami — mieli szanse przetrwania, nie można było im stawiać zarzutu „syjonizmu". Część z nich zresztą też usunięto, jako popleczników owego „spisku". Działacze pochodzenia żydowskiego żadnych szans nie mieli.

Ofiarą tych wydarzeń padło bardzo wielu ludzi uczciwych i niewinnych, bo mieli to nieszczęście, że wywodzili się w przeszłości z rodzin żydowskich i zajmowali mniej lub bardziej wpływowe stanowiska. Nie ulega też kwestii, że wśród części aparatu władzy doszły do głosu wyraźnie antysemickie poglądy, zabarwione wyraźnie faszystowską ideologią. Nie było to jednak typowe, ponieważ w istocie rzeczy nie chodziło wcale o to, kto jest Żydem a kto Żydem nie jest, lecz o zmianę warty w aparacie władzy.

Do walk frakcyjnych w krajach totalitarnych można używać dowolnej frazeologii, byle odpowiadała aktualnej potrzebie. Dochodziło więc wtedy do ekscesów propagandowych, które nie mają sobie równych w panopticum głupoty. Partia, która wypisała na swych sztandarach hasła internacjonalizmu, nagle sięgnęła do arsenału szowinizmu. Ponieważ jednak musiała się trzymać pewnych zasad doktrynalnych — więc propaganda produkowała bełkot. Nagle naród polski dowiedział się od władz, że porządni Żydzi, to znaczy żydowski proletariat — zginęli w czasie wojny, a przeżyli tylko Żydzi bogaci, burżuje i kapitaliści, którzy zawsze w skrytości ducha byli syjonistami. Nie brzmiało to zbyt logicz-

nie, nawet dla najmniej rozgarniętych czytelników prasy, bo cały kraj pamiętał, że ci rzekomi burżuje w większości przeżyli wojnę w ZSRR, ojczyźnie światowego proletariatu. Ale i na to znalazł się sposób. Okazało się nagle, że ci komuniści którzy działali w Rosji nie są tak dobrymi komunistami jak ci, którzy w okupowanej Polsce walczyli z Hitlerem. Ten zabieg bardziej trafiał do przekonania, bo pobrzmiewały w nim nuty antyradzieckie.

Propaganda nie rezygnowała też ani na moment z problematyki niemieckiej. Wskazywanie „złych" Żydów mogło przecież osłabić uczucia polskie, niechętne Niemcom, a to stanowiło fundament całej partyjnej pedagogiki. Połączono więc Niemców i Żydów. Golda Meir strzelała do Arabów pociskami, które odlewał w swej imperialistycznej kuźni Franz Joseph Strauss.

Tragiczny w tym wszystkim okazał się los młodzieży. Została wychowana w Polsce powojennej, a zatem w tradycji społecznej lewicy i internacjonalizmu. Te ideały w konfrontacji z rzeczywistością demaskowały obłudę systemu. Młodzież wystąpiła do walki w obronie zasad socjalizmu, przeciw temu wszystkiemu, co uważała za zdradę idei. I całą tę młodzież propaganda oficjalna uznała za agenturę syjonizmu i rewizjonizmu niemieckiego. Młodzi ludzie, których rodzice wywodzili się ze środowisk żydowskich, poczuli się nagle odtrąceni przez własną ojczyznę. Emigrując, zabrali z sobą miłość i współczucie dla kraju. Dają tego dowody wszędzie tam, gdzie ich zły los zagnał. Ich towarzysze walki, owi „pomocnicy syjonistów", którzy żyją w Polsce — są dzisiaj nadzieją społeczeństwa.

Powtarzam — był to rodzaj paranoi, która występuje niekiedy w systemach monopartyjnej dyktatury i wyniszcza siły duchowe społeczeństw, uwikłanych w konflikty nieautentyczne, pozorne i narzucone.

## VII

Rok 1968 jest faktem historycznym. Nie podobna go wymazać ani uznać za urojenie. Lecz nie był to, wbrew pozorom, rok, który ukazał światu odrażającą twarz polskiego antysemityzmu. To, co świat wtedy ujrzał, było obliczem systemu, który olbrzymiej większości społeczeństwa w Polsce wydawał się obcy, irracjonalny i groźny. Nie wyklucza to oczywiście smutnego faktu, że system trwający już wtedy ponad dwadzieścia lat, musiał doprowadzić wśród części narodu do demoralizacji i spustoszeń intelektualnych.

W roku 1968 niemal wszyscy Polacy pochodzenia żydowskiego opuścili swój kraj. Było wśród nich bardzo wielu, którzy wcale nie pamiętali, że się wywodzą z dawno nieistniejących gett diaspory, czuli się zawsze Polakami i w roku 1968 doznali głębokiego wstrząsu. Tych Polska winna prosić o wybaczenie, choć to nie Polska ich wygnała, lecz aparat Polską rządzący. A jednak Polska odpowiedzialna jest za wszystko, co w jej imieniu i nie pytając jej o zdanie — postanowiono. Nie jest to odpowiedzialność polityczna, ale jest to odpowiedzialność moralna, wspólna wszystkim, którzy mówią po polsku i żywią kult narodowej tradycji.



W roku 1968 opuścili też Polskę ludzie, którzy sprawowali niekontrolowaną władzę w partii, policji i biurokracji państwowej przez ponad 20 lat. Na pewno nie wszyscy byli jednakowo winni i nie wszyscy działali przeciw żywotnym interesom kraju. Ponieśli jednak z sobą w świat nie tylko gorycz przymusowej tułaczki, lecz również ciężar występków, a nawet zbrodni.

Jeżeli ci właśnie ludzie, którzy wczoraj zajmowali wpływowe stanowiska w partii i policji, dzisiaj głoszą na Zachodzie, że Polacy są krwiożerczymi antysemitami — to winni pamiętać, że stali się ofiarami własnych metod, ideologii i grupy politycznej. To nie Polacy, lecz aparat polityczny który oni sami, własnymi rękami tworzyli przed laty i w którego imieniu sprawowali władzę nad milionami ludzi — przypomniał im w roku 1968 ich żydowskie pochodzenie, naznaczył piętnem syjonizmu i na koniec wygnał z kraju, którego dość często — niestety! — nie uważali za ojczyznę, lecz za obszar rewolucyjnego eksperymentu.

Wśród wygnańców roku 1968 większość stanowią ci, których jako Polak do końca życia będę prosił o wybaczenie, choć osobiście nie poczuwam się do winy za to, co w moim kraju czynili przedstawiciele biurokracji partyjnej i państwowej, zajęci troską o swoje osobiste interesy i traktujący kraj jak własność aparatu władzy. Lecz są wśród tych wygnańców i tacy, którym jako człowiek nie podam ręki, ponieważ wyrządzili zbyt wiele krzywd innym ludziom. Fakt, że padli ofiarą obyczajów swego własnego środowiska politycznego i moralnego — może budzić współczucie, ale nie budzi szacunku.

*Andrzej SZCZYPIORSKI*

BIBLIOTEKA NARODOWA BN

# Holocaust a sprawa polska

*Pamięci Eugeniusza Morawskiego i Józefa Wilka*

„Niemcy postanowili za wszelką cenę zlikwidować getto warszawskie. 19 kwietnia 1943 o godzinie drugiej w nocy nadchodzą pierwsze meldunki od naszych wysuniętych czujek, że niemiecka żandarmeria i polska policja granatowa obstawiają w odstępach 25-ciometrowych zewnętrzne mury getta". („Getto walczy", fragmenty wspomnień Marka Edelmana, *Polityka*, 15. VI. 1978).

„19 kwietnia 1943 roku, trzy grupy żołnierzy AK pod dowództwem kpt. Józefa Pszennego zajęły stanowiska pod murami getta na ulicy Bonifraterskiej, by dokonać wysadzenia muru przy pomocy min. Zauważeni przedwcześnie zaatakowali Niemców, podczas gdy czterej saperzy starali się dotrzeć pod mur. Niestety dwóch z nich, Eugeniusz Morawski i Józef Wilk, zostali zabici na miejscu, ..." (Stefan Korboński, *Polskie Państwo Podziemne*, Paryż, 1975, str. 136).

„Straty nasze tego dnia zamykały się liczbą 24 rannych, [...] a ponadto dwóch posterunkowych Policji Polskiej. Niepotrzebnie się zaplątali (relacja Jürgena Stroopa według K. Moczarskiego, *Rozmowy z katem*, Warszawa, 1977, str. 213).

Wieczorem drugiego marca 1979 roku zadzwonił do mnie jakiś człowiek i powiedział po szwedzku, że wolałby zachować swoje nazwisko w tajemnicy, że jest również emigrantem z Polski i chciałby się dowiedzieć co myślę o Żydach, którzy oczerniają Polskę.

„Wzdłuż ulicy Kruczej rozsiadły się szeregi cwaniaków spod ciemnej gwiazdy: przez ramię przewieszone futro lub złota, kosztowna tkanina; pod zwalonymi murami ustawiona rzędem zdobycz na sprzedaż: worek cukru, konserwy, obrazy, wiadro wody,



buty. Głośno zachęcają do kupna, zachwalają, targują, aż nagle — huk! świat zapada się na ukos, w czarność, w ciężki tuman ceglastego kurzu, w łomot niewidocznej lawiny gruzów, w poprzek nagłej nocy. Zwolna kurz opada na gruzy, na trupy, na wszystko — rozrzedza się, rozwidnia, już majaczeją, wyraźnieją, pęczniejąsylwetki paskarzy, już głośno zachwalają swój łup, nieczuli na zagładę miasta, nieustraszeni w swej bydlęcej żądzy szybkiego zarobku.

Tak pomieszały się w moim Mieście, najszlachetniejsza ofiarność z najpodlejszym samolubstwem. Polacy z Polakami. W płonącym pięknie strasznej bitwy spalały się żywe serca najlepszych i pęczniały kołduny kanalii". (Zbigniew Jasiński, „Na obcej planecie", *Kultura*, nr 81/82, 1954).

To byli swoi między swymi. Te same kanalie jeszcze chętniej żerowały mając do czynienia z „obcym żywiołem".

„Wiem ile kosztuje i jak trudno zrozumieć przeżycie, kiedy nie Niemiec, ale na pozór przyzwoicie wyglądający cywil w zwykłym, zaledwie łobuzerskim języku zaproponuje: Odda pan wszystko kosztowne, albo widzi pan te wache na rogu ulicy?..." (Stefan Otwinowski, „Sąsiedzi" w *Martwa fala*, Warszawa, 1947, str. 54).

„Po wydaniu (tego) oświadczenia, sądy podziemne, zgodnie z instrukcją KWC skazały na śmierć szereg Polaków i komunikaty o wykonaniu na nich wyroków śmierci przez zastrzelenie zostały ogłoszone w prasie podziemnej i przez radio. W ten sposób zostały zgładzone za prześladowanie Żydów następujące osoby: Bogumił vel Borys Pilnik w Warszawie, Antoni Rozmus — plutonowy policji kryminalnej w Warszawie, Jan Grabiec w Krakowie, Wacław Naworol w Lipnicy Wielkiej, Tadeusz Stefan Karcz w Warszawie, Franciszek Sokołowski w Podkowie Leśnej, Antoni Pajor w Dobranowicach, Janusz Krystek w Grębkowie, Jan Łakiciński w Warszawie, Bolesław Szostak w Warszawie, Antoni Pietrzak w Warszawie" (Korboński, cyt. wyd., str. 131).

„W zimie 1941/42 utworzono (więc) w BiP-ie odrębny Referat Żydowski, którego prowadzenie powierzono — pozyskanemu przez Ludwika Widerszala — prawnikowi i działaczowi społecznemu Henrykowi Wolińskiemu, 'Wacław'" (W. Bartoszewski, *Ten jest z Ojczyzny mojej*, Kraków, 1969, str. 24).

„Oddziały partyzanckie faszystowskiego odłamu Narodowych Sił Zbrojnych (NSZ) mordowały Żydów ukrywających się po lasach. Z ich ręki padło też w Warszawie dwóch oficerów komendy głównej AK pochodzenia żydowskiego, inż. Jerzy Makowski i docent Ludwik Widerszal" (Korboński, cyt. wyd., str. 142).

Kiedy w roku 1920 żołnierze armii gen. Hallera znaleźli się na kresach wschodnich zdarzył się tam następujący wypadek: kilku chłopców złapało starego Żyda i rzuciło go w kałużę gnoju. Leżącego zapytano czym pachnie ta ziemia? Chlebem — próbował

odgadnąć a widząc niezadowolenie na ich twarzach powiedział jeszcze, że gnojem. Dostał kilka kopniaków i powiedziano mu, że ta ziemia pachnie Polską. (Na podstawie nagranej na taśmę rozmowy z H. Smolarem).

„W dniu 4 lipca br. mija 30 lat od pogromu w Kielcach, dokonanego na Żydach pod pretekstem kłamstwa o mordowaniu przez Żydów polskich dzieci. Był to najbardziej krwawy i bestialski spośród antyżydowskich pogromów w dziejach ostatnich stuleci — na garstce społeczności żydowskiej. Kielce liczyły przed drugą wojną światową 27.000 Żydów. Po wojnie wróciło do tego miasta około 150-180 ocalałych z obozów koncentracyjnych. Z tych niespełna 200 Żydów ich polscy współobywatele zamordowali 42, w tym jedno parotygodniowe dziecko oraz jedno niemowlę w łonie matki — poprzez wbicie kobiecie w ósmym miesiącu ciąży bagnetu w brzuch" („Krew na ulicach Kielc", Anna Ćwiakowska, *Nowiny Kurier*, 2 lipca 1976).

Rany zadane przez swoich goją się gorzej niż inne lub nie goją się nigdy. Istnieją dowody, że pogrom w Kielcach był sprowokowany świadomie. Ktoś podłożył iskrę pod beczkę z prochem. Przedmiotem naszych rozważań jest nie tamta iskra, ale owa beczka.

„Mógłbym wymienić wiele publikacji żydowskich autorów, w których jeśli nie cały naród polski obciążony jest niemal na równi z hitlerowskimi Niemcami zbrodnią eksterminacji 6-ciu milionów Żydów, to w każdym razie poważna jego część, przy całkowitej obojętności, bierności, czy nawet wewnętrznej aprobacie antysemicko nastawionej reszty" (Odojewski, *Kultura* Nr 3, 1979, str. 4).

„Literatura polska nie ma na całej przestrzeni jej dziejów cienia nienawiści rasowej. Przeciwnie: od początków najdalszych — chwalebne dzieła polskiego piśmiennictwa to dzieła Modrzewskiego i Kochanowskiego — a później Staszyca i Kołłątaja — dzieła nabrzmiałe troską o dobro społeczne, o wyrównanie i usuwanie krzywdy" (J. Zawieyski, „Nadzieja ludzi dobrej woli" w *Martwa fala*, cyt. wyd., str. 74).

„Można sobie wyobrazić Polaka sprzedawczyka, renegata, wyzbywającego się wyznania dla pełnej misy, ale pomyśleć Polaka wyznania mojżeszowego, prawosławnego, nawet luteranina nie można. Wierzę, że to będzie najzacniejszy człowiek, przywiązany i poświęcony syn tej ziemi. Jednak coś mu brak i to najważniejszego — możności uzyskania bezpośredniego kontaktu z duszą narodu" (F. Brodowski, „Na nowym progu" w P. Hulka-Laskowski, *Pięć wieków herezji*, wydanie przedwojenne, str. 237).

Polski antysemityzm czerpie swą smutną siłę z cierpień polskiego narodu, z faktu, że utraciliśmy swą samoistność, że od wieków żyjemy w stanie zagrożenia. Rzucone podczas kontr-



reformacji ziarna nienawiści dojrzewały w mrokach niewoli. Walka o wolność zabierała najlepszych, a niewola pozbawiała wrażliwości pozostałych przy życiu. Jesteśmy przewrażliwieni na symbole i puści gdy przychodzi do dyskusji na temat ich istotnej treści.

Po obejrzeniu pierwszego odcinka Holocaust'u miałem długą rozmowę z moją dziewięcioletnią córką: „Czy to może być teraz? Czy to się może jeszcze stać?" — pytała żądając niemal uspokojenia. Ważyłem odpowiedź wiedząc, że nie wolno mi wzbudzać w niej nadmiernego lęku ani kłamać. „To się dzieje — powiedziałem. — Ten koszmar ani na chwilę nie został przerwany". Zrozumiała moją odpowiedź jednak nadal żądała uspokojenia. „Ale tu w Szwecji? Czy to może się zdarzyć tu?". Zmieniłem temat. „W czasie wojny — mówiłem — Szwecja była neutralna. Produkowano tu części do niemieckiej broni, wyrzucano Żydów, którzy szukali w Szwecji schronienia, zachowano neutralność kiedy Finlandia walczyła z Sowietami, zezwolono niemieckim żołnierzom na korzystanie ze szwedzkich dróg". Musiała wyczuć w moim głosie naganę, bo niespodziewanie stwierdziła, że jest Polką. Powiedziałem jej zatem o polskich kanaliach, o tych, którzy współpracowali z gestapo i o tych dzisiejszych, o których słyszała już tyle razy. Przypomniałem jej naszą niedawną wspólną podróż do Polski w związku z śmiercią mojej Matki. W obliczu kwestii moralnej, zapomniała o potrzebie fizycznego bezpieczeństwa i szukała schronienia w identyfikacji żydowskiej.

Polskość czy żydowskość może być wartością, ale sama w sobie nie jest jeszcze cnotą. Podobnie jak fakt, że jest się ofiarą nie jest jeszcze dowodem szlachetności. Współczucie dla cierpienia każe zapomnieć, że bywa ono również źródłem okrucieństwa, zła, pochopnych ale trudnych do zwalczenia uogólnień.

„Widomym objawem i potwierdzeniem tego (współpracy między Polakami i Żydami — A.K.) było zatknięcie przez żydowskich powstańców nad betonowym, mocnym domem biało-czerwonej flagi obok żydowskiej, biało-niebieskiej" (Stroop według K. Moczarskiego, *Rozmowy z katem*, str. 228).

Te flagi powiewały nad płonącym gettem przez całe święta Wielkiej Nocy. Za murami getta świętowano. Na pobliskim Kiercelaku kręciły się karuzele. Tłum wypełniał wesołe miasteczko. Chłopiec chcąc odwrócić uwagę dziewczyny od tamtych spraw mówi z uśmiechem: żydki się palą. (Z relacji starego robotnika, sąsiada z ulicy Karolkowej).

W Holocauście są pewne błędy faktyczne: pierwsza porcja broni dostarczonej do getta to nie jeden lecz kilka pistoletów od GL (29 październik 1942), potem w grudniu dostawa 10 pistoletów od AK. 19 stycznia 1943, po akcji, w której 4/5 niedozbrojonej Organizacji Bojowej zginęło, AK przekazuje do getta 50 dużych pistoletów i 50 granatów (Edelman). O dalszych dostawach

broni pisze Korboński, obszerne informacje na ten temat znajdują się również w pracy redagowanej przez Bartoszewskiego.

Można mieć również zastrzeżenia co do autentyczności wypowiedzi Anielewicza, drażni prawdziwy ale niedopowiedziany epizod z komunikatem BBC.

„Jasnym jest, że stąd wyjścia nie ma, a nikomu nie wpada nawet na myśl oddawać się żywym w ręce niemieckie. Jurek Wilner wzywa wszystkich bojowców do zbiorowego samobójstwa. Lutek Torblat zastrzelił matkę i siostrę, a następnie siebie. Ruth strzelała do siebie siedem razy" (Edelman, *Getto walczy).*

Hollywoodzka tandeta wstrząsnęła sumieniem naszego świata. Z psychologicznego punktu widzenia nie było przypadkiem, że ta forma okazała się skuteczniejsza od setek dokumentów i arcydzieł literatury, filmu i teatru. W wypowiedziach na temat Holocaustu we wszystkich krajach słychać głosy mówiące o własnych wyrzutach sumienia. Ani w Stanach ani w żadnym z krajów Europy z Niemcami włącznie nie brakowało ludzi dzielnych, nie brakowało kanalii, nie brakowało obojętnych. Nasz, polski, odbiór Holocaustu jest na tym tle osobliwy. Meritum sprawy nas nie interesuje. W centrum naszego zainteresowania znajdują się błędy kostiumologów z Hollywood.

W noc przedwigilijną 1978 wyjeżdżałem z Polski. Wezwano mnie do konającej Matki i władze PRL informując mnie o swojej wielkoduszności zezwoliły mi na pięciodniowy pobyt w Kraju. Matka zmarła w kilka godzin po moim wyjeździe. Uprzednio na moją prośbę o przedłużenie zezwolenia na pobyt w Polsce o kilka dni władze PRL odpowiedziały odmownie. Na dworcu w Świnoujściu żegnali mnie niewybrednymi żartami polscy żołnierze, w polskich mundurach i z orzełkami na czapkach.

Tu, w Szwecji, większość moich przyjaciół i znajomych to polscy Żydzi. Chciałbym ich dziś prosić o przebaczenie w imię tej polskości, która jest wartością, ale sama w sobie nie jest jeszcze cnotą. W imię tej polskości, za którą zginęli Eugeniusz Morawski i Józef Wilk. Sądzę iż te same motywy skłoniły żydowskich bojowców do wywieszenia polskiej i żydowskiej flagi. Ten typ polskości, o którym tu mówię nie stanie się nigdy własnością całego narodu, bo nie ma narodu bez kanalii.

Nie zwracam się się tu do wszystkich bo nie przywykłem mówić ani do narodów ani w imieniu narodu. Może dlatego nikt kto zna moje poglądy, nigdy nie mówił przy mnie o „wrodzonym" polskim antysemityzmie.

*Andrzej KORASZEWSKI*

# Światło u wylotu tunelu*

Celem tego artykułu jest przedstawienie aktualnego stanu trzygłowego kompleksu zagadnień: wyścigu zbrojeń termonuklearnych, prostytucji nauki i międzynarodowego handlu bronią, jak również reakcji jakie moralny ich aspekt wyzwala w chrześcijaństwie, a w szczególności w Kościele Katolickim. Jest to temat olbrzymi, którego wyczerpanie wymagałoby tomów. Z konieczności więc, pokusiwszy się o jego przedstawienie zmuszony jestem działać skrótowo i selektywnie. Tak więc pominę wydźwięk polityczny tych zagadnień, w przekonaniu, że wbrew pozorom, istnieje w naszej chrześcijańskiej cywilizacji wspólne kryterium pozwalające nam oceniać moralność poczynań nie tylko jednostki, ale i ich zespołów.

W moich rozważaniach koncentrować się będę wyłącznie na Wolnym Świecie. Nie dlatego, bym przypuszczał, choćby na chwilę, że w Imperium sowieckim nie istnieje zwierciadlane odbicie omawianych problemów, tylko dla prostej przyczyny, że nie istnieją na ich temat wiarogodne opracowania. Niedościgła — w stosunku do innych systemów — zaleta demokracji polega na jawności, a nawet w wypadku gdy i jej nie ma, na swobodzie wyciągania na światło dzienne przejawów, nawet najbardziej wstydliwych.

## I

Na temat wyścigu zbrojeń termo-nuklearnych panuje obecnie w prasie względna cisza, dobrze ilustrująca spadek zainteresowania opinii publicznej tym tematem. Czytamy co prawda o negocjacjach SALT II — zaklepanych według zapewnień Cartera i Breżniewa w 95 % — mających zastąpić istniejący układ SALT I,

* *Artykuł ten Redakcja traktuje jako dyskusyjny.*

ale nie przywiązujemy do tych rokowań większego znaczenia, gdyż skądinąd wiemy, że układy te w niczym nie hamują wyścigu zbrojeń, skoro sumy wydawane przez oba super-mocarstwa na zbrojenia rosną z roku na rok i to w sposób poważny. Mamy więc wszyscy, i to na skalę planetarną poczucie bezradności, gorzej niewiary, że politycy nie przestający o rozbrojeniu mówić są w ogóle dobrej wiary.

Drugim powodem spadku zainteresowania jest atmosfera surrealizmu otaczająca dyskusję na temat wyścigu zbrojeń. Przekracza ona wielokrotnie zdolność zorientowania się zwykłego śmiertelnika, o co w ogóle chodzi. Cytuję przykładowo: — Koncepcja „odwetu" zajmująca wiele miejsca w rozważaniach strategów, przetłumaczona na język wzajemnych stosunków między obu super-mocarstwami sprowadza się do zagadnienia: jak obie strony, bez użycia broni nuklearnych, mają się nawzajem przekonać o tym, że istnieje pewien nieprzekraczalny splot okoliczności, który zmusiłby je do ich użycia[1]. Nie dziw więc, że skonfrontowany z tak absurdalną propozycją przeciętny czytelnik daje za wygraną, odkłada gazetę z ziewnięciem i sięga do komiksów.

Jako trzeci powód wymieniłbym zadziwiający fakt, że nasza psychologia z niezmierną łatwością otrzaskuje się z zagrożeniem absolutnym, takim jak własna śmierć, czy Sąd Ostateczny. Miecz Damoklesa wiszący nad ludzkością przestaje być brany poważnie, gdy sznurek się nie urywa, innymi słowy, gdy staje się, jak żyrandol, częścią dekoracji naszego umeblowania. Wszystkie przestrogi takich tytanów myśli, jak Albert Einstein, czy Russell, które w swoim czasie spędzały sen z oka niejednemu, uważane są dziś za starcze paplanie niepoprawnych proroków zagłady.

Wynikiem tej ciszy jest zdumiewająca wprost ignorancja publiczności, której — sądząc z prywatnej sondy przeprowadzonej wśród moich licznych znajomych — przytłaczająca większość uważa, że wojna atomowa różni się od konwencjonalnej jedynie większą skalą zniszczenia. Ignorancji tej świadomie służy oficjalna nomenklatura używająca wyrażenia „wojna" atomowa, w miejsce bardziej precyzyjnego: *zagłada* atomowa. Albowiem ze swej definicji „wojna" oznacza konflikt między określonymi przeciwnikami, który pozostawia resztę neutralnej, niezaangażowanej ludzkości na uboczu, gdy „zagłada" takiego rozróżnienia nie robi. Potencjalną jej ofiarą jest dosłownie każdy człowiek i każda żywa istota na naszej planecie. Zapomniany już dziś film: „On the beach" uwypuklił to bardzo wyraźnie.

1. Z eseju „The strategic Calculators" Dr. Harvey Wheeler, Center for the Study of Democratic Institutions, Santa Barbara, Calif. opublikowanego w *Unless Peace Comes*, Allen Lane, London, 1968.



Charakter ostateczny broni termonuklearnych określił najdobitniej A. Koestler w swej ostatniej książce pt. „Janus"[2], będącej podsumowaniem czterdziestoletniej działalności pisarskiej tego autora. Wedle niego dzień 6 sierpnia 1945 roku — data zrzucenia pierwszej bomby atomowej na Hiroszimę — otworzył nową erę w dziejach ludzkości. W dniu tym zdaliśmy sobie sprawę, że nie tylko my, jako jednostki jesteśmy śmiertelni, ale jest nią wraz z nami cała ludzkość. Jeśli w spełnieniu naszego instynktu przedłużenia się poza nasz byt doczesny usiłowaliśmy własną myśl czy twórczość dorzucić do *nieśmiertelnej* skarbnicy ludzkości, to od tej daty działalność taka wydać się nam powinna wyzbytą wszelkiego sensu.

Błogosławieństwem zapewne dla ludzkości jest to, że proces upowszechniania się świadomości o tym przebiega tak bardzo powoli. Sądząc po stuleciach, które zabrało „zejście pod strzechy" świadomości o ciosie, jaki Kopernik i Galileusz zadali antropocentryzmowi — mamy jeszcze nieco czasu. Ale co stanie się potem? Już dziś, instynktownie, czy intuicyjnie świadomość tę posiada młodzież. I temu należy przypisać rozpowszechnione wśród niej tendencje alienacyjne, wyrażające się w chęci wyłączenia się ze spraw tego świata, który stracił w jej oczach wszelki sens.

Okolicznością usprawiedliwiającą ignorancję i wynikającą z niej znieczulicę opinii publicznej jest wspomniany już przeze mnie fakt, że dyskusja i argumenty używane przez strategów osiągnęły już dawno poziom najczystszego surrealizmu. Już sama nomenklatura używana w ich rozważaniach o tym świadczy. Takie pojęcia, jak „równowaga terroru", czy „dopuszczalny próg zniszczeń" mierzony w mega-śmierciach — jednostce oznaczającej śmierć miliona ludzi[3] — czy w końcu „strategia wzajemnej zapewnionej zagłady" *(Mutual assured destruction,* skrót MAD) nadawałyby się raczej — tak przynajmniej wnioskuje przeciętny śmiertelnik — do przemysłu produkcji środków owadobójczych, na przykład dla zwalczania plagi szarańczy.

W tym właśnie, moim zdaniem, leży sedno sprawy; na tym polega zabójczy wpływ, jaki posługiwanie się tego gatunku pojęciami mieć musi na ludzi powołanych, rzekomo w naszym imieniu, do takich rozmyślań. Po to bowiem, by z zimną krwią planować zagładę milionów ludności wrogiej (poprzedzoną zniszczeniami nie przekraczającymi własnego „dopuszczalnego" progu) trzeba pozbyć się, wytępić w sobie wszelką wrażliwość, której posiadanie — jak o tym pięknie mówi prof. H. Skolimowski —

2. Hutchinson, London, 1978.

3. Jednostka praktyczna dla obliczeń, gdyż bomba o mocy jednej megatonny powoduje jedną mega-śmierć.

odróżnia nas od gatunku zwierzęcego. Chcielibyśmy więc miłosiernie wierzyć, że stratedzy, w obronie własnego człowieczeństwa, traktują swoje planowania jako nierealne, czy surrealistyczne. Niestety fakty zdają się zaprzeczać takiemu przypuszczeniu. Czyż bowiem można sobie wyobrazić, że przeznacza się rocznie miliardy dolarów na zabawę w surrealizm? Jakiż jest więc *prawdziwy* powód?

Dla wyjaśnienia tej zagadki wyobraźmy sobie dialog polityka-stratega z naiwniakiem, jakim w jego oczach jest każdy z nas. Brzmiałby on mniej więcej w ten sposób:

*Pytanie:* — Jaki jest *prawdziwy* powód wyścigu zbrojeń?
*Odpowiedź:* — Obrona naszych ideałów.
*P.:* — W jaki sposób będziemy ich bronić?
*O.:* — Za pomocą przekonania przeciwnika, że jego agresja mu się nie opłaci.
*P.:* — A jak go o tym przekonamy?
*O.:* — Siłą naszego odwetu równającą się jego (i naszej) zagładzie. Na tym polega nasza najnowsza strategia, której daliśmy nazwę MAD.
*P.:* — To co nam po ideałach, skoro nas nie będzie?
*O.:* — Nie dojdzie do tej ostateczności. Dowodem skuteczności naszej strategii jest to, że wciąż istniejemy.
*P.:* — A gdyby jednak...?
*O.:* — To wtedy okazałoby się, że nasza strategia była błędna. Szczęściem, nie zostałby już nikt, kto by mógł dojść do takiego wniosku.

Nie można zaprzeczyć, że ta surrealistyczna zabawa, przypominająca grę w szachy między dwoma przeciwnikami wszystko o sobie wiedzącymi — bo wzajemna inwigilacja przy pomocy satelitów nie pozwala żadnemu z nich przesunąć plutonu rowerzystów z wioski A do wioski B — ma pewien sens, sprawdzalny faktem naszego istnienia, tak długo, póki w grze biorą udział tylko dwie osoby, i to — jako warunek dodatkowy — pozostające przy zdrowych zmysłach. Tymi dwoma graczami są oczywiście Prezydent Stanów Zjednoczonych, jako Naczelny Wódz i Sekretarz Partii Komunistycznej, noszący w takich momentach tytuł Generalissimusa. Do ich decyzji wszystko się sprowadza. Istniejąca bowiem po obu stronach komputeryzacja zbioru i przerobu informacji, jak i również reakcji na nie, jest mieszanką automatyzacji wykluczającej interwencję ludzką (DDC — *Direct Digital Control)* z elementami systemu (S.C. — *Supervisory Control)* pozostawiającymi *ostateczną* decyzję wyboru między opcjami naciśnięcia czerwonego guzika, a chwyceniem za słuchawkę „gorącego" telefonu obu wymienionym osobom.



Gra ta niezmiernie się skomplikuje, gdy do stolika zasiądzie więcej graczy. Pomijając wynikający z tego astronomiczny wzrost militarno-polityczno-psychologicznych kombinacji, sam fakt wielości graczy powiększy również istniejące już dziś ryzyko, że jeden z nich wypije o jedną wódkę za dużo, lub padnie ofiarą ataku epileptycznego, czy załamania nerwowego typu Jones'a[4], w rezultacie czego stanie się *chwilowo* niepoczytalny.

## II

Przechodząc do społecznej odpowiedzialności naukowca, której zanik u jednostki, w zamian za odpłatne wynagrodzenie, nazwałem prostytucją, wydaje mi się wskazane zdefiniować, możliwie dokładnie, co pod tym pojęciem należy rozumieć.

Pierwszym krokiem w tym kierunku jest wyraźne rozgraniczenie między nauką ścisłą, której przedmiotem jest wykrywanie i formułowanie fundamentalnych praw rządzących wszechświatem, a nauką stosowaną, której przedmiotem jest zastosowanie i wprzęgnięcie owych fundamentalnych praw w służbę ludzkości. O ile nauka ścisła może utrzymywać, że jest neutralna i obiektywna, gdyż nie rozporządza żadnymi kryteriami pozwalającymi jej na wydawanie sądów wartościujących (Monod), o tyle nauka stosowana *(applied science)* za parawan obiektywizmu schować się nie może. Wyrażając bowiem sumę działalności naukowca dla zdobycia wiedzy w określonej dziedzinie, implikuje jego świadomy wybór. Nie potrzeba rozwodzić się nad tym, że wybór pracy nad *atomem dla wojny* ma inny wydźwięk moralny, niż nad *atomem dla pokoju.*

Świadomość społeczna naukowca oparta jest zatem na jego ocenie, czy obrany przez niego kierunek badań nad zużytkowaniem fundamentalnych praw natury odkrytych już przez naukę ścisłą, jest korzystny, neutralny, czy też szkodliwy dla ludzkości.

Tak postawiony problem wydaje się prosty, a przez to łatwy do rozstrzygnięcia w każdym poszczególnym wypadku. Niestety, w praktyce, rozeznanie to może być niezmiernie trudne. Najlepiej zilustrować to na przykładzie bomby neutronowej. Na pytanie, czy jest to wynalazek o wydźwięku dodatnim, czy ujemnym dla ludzkości trudno jest dać odpowiedź jednobrzmiącą. Zaproszony do współudziału w jej fabrykacji naukowiec może odmówić moty-

4. Aluzja do zbiorowego samobójstwa 900 wyznawców amerykańskiej sekty pod wodzą Jones'a.

wując swoją decyzję tym, że udział w produkcji broni, określonej jako zabójcza dla istot ludzkich, a stosunkowo nieszkodliwa dla przedmiotów martwych — jest z natury rzeczy przeciwny jego poczuciu moralności. Kolega zaś jego, przyjmując zaproszenie może je oprzeć na rozumowaniu, że bomba neutronowa stanowi dla niego oczekiwany od dawna wyłom w surrealistycznym wyścigu zbrojeń termonuklearnych. Wprowadza ona bowiem deeskalację z poziomu broni „ostatecznych" i „zagładowych" do poziomu realizmu wypływającego z jej ściśle ograniczonej mocy zniszczenia. Innymi słowy, wedle jego zrozumienia, bomba neutronowa ma przez swoją ograniczoność wymiar ludzki, a nie apokaliptyczny[5].

Rozstrzygnąć między tymi przeciwnymi z punktu widzenia moralnego ocenami, nie jest istotnie łatwo.

Drugim powodem utrudniającym, a może nawet uniemożliwiającym naukowcowi właściwe rozeznanie jest uprawiana przez koła militarystów polityka parcelowania badań do poziomu, na którym uczony nie ogarnia już całości zagadnienia. Miniaturyzacja, komputeryzacja, chronometria posunięta do precyzji jednej milionowej sekundy, są wyrwanymi spośród wielu przykładami zagadnień, nad którymi naukowiec w dobrej wierze może się nachylać, nie świadom faktu, że na niedostępnych mu wyżynach hierarchii istnieje mózg, który integruje prace i wysiłek setek równie jak on niewinnych jednostek dla ulepszenia bomby, czy też wektora mającego dostarczyć ją do celu.

Wymienione powody, to jest postępująca złożoność zagadnień stawianych nauce stosowanej do rozwiązania, jak i celowe zaciemnianie przez szczyty militarno-polityczne prawdziwej intencji badań, do których zapraszają naukowców — sprzyjają upowszechnianiu się wśród nich, zjawiska zaniku poczucia odpowiedzialności.

W kontraście do obecnej, bardzo złożonej sytuacji, Wielka Debata na ten temat, zapoczątkowana czterdzieści lat temu w wyniku prac O. Hahn'a, Fermi'ego, Bohr'a i innych, którzy pchnęli fizykę atomową do punktu, w którym można już było przewidzieć, że wykryte przez nich siły między-cząsteczkowe dadzą się wykorzystać do pomnożenia istniejących środków wybuchowych

5. Istnieje wiele innych możliwych usprawiedliwień, lub odwrotnie potępień bomby neutronowej z punktu widzenia moralnego. Na przykład, według E. Burhop, Prezydenta Światowej Federacji Pracowników Naukowych, bomba neutronowa jest bronią *par excellence* agresywną, bo pozwala napastnikowi w krótkim czasie po zrzuceniu jej na miasto nieprzyjacielskie, okupować je. Kissinger natomiast w wywiadzie zamieszczonym w *Encounter* z listopada 1978 zbagatelizował jej wydźwięk moralny pogardliwym wzruszeniem ramion.



przez współczynnik wyrażający się cyfrą *miliona* — wydaje się dziś, z perspektywy, należeć do innych czasów, nieskażonych jeszcze pierworodnym grzechem, który popełniła ludzkość konstruując bombę atomową.

Debaty tej nie można zrozumieć bez zdania sobie sprawy z wyjątkowego zbiegu okoliczności, w których się ona rozegrała. Na wyjątkowość tę złożyło się niespotykane dotąd w dziejach nauki zbliżenie w czasie między wykryciem fundamentalnego prawa natury, a jego zastosowaniem. O ile do tej pory było regułą, że odstęp ten trwał — i nadal dziś trwa — stulecia, to w wypadku wykrycia praw rządzących rozszczepieniem i fuzją atomów — zredukował się on do kilku lat. Od prac Hahn'a do zrzucenia bomby na Hiroszimę upłynęło zaledwie siedem lat.

Drugą wyjątkową okolicznością był wybuch wojny i związana z nią obawa, że pozostający we władaniu Hitlera koledzy-naukowcy skonstruują bombę atomową dla użycia jej przeciw demokracjom zachodnim. Zagrożenie to spowodowało, że tytan tej miary co Albert Einstein — nie po ciężkich wahaniach — doszedł w końcu do przekonania, że prace nad bombą atomową muszą być podjęte natychmiast i to *w imię dobra ludzkości.* Takie odczytanie sytuacji, z którym wszyscy uczeni Wolnego Świata się zgodzili, usunęło z ich sumień jakiekolwiek wątpliwości natury etycznej.

Trzecią wreszcie wyjątkową okolicznością wynikającą z dwóch poprzednich było to, że *dramatis personae,* to jest uczestnicy przyszłej debaty należeli do najświatlejszych umysłów ówczesnego świata naukowego.

Taki więc był początek — preludium do właściwej debaty, która rozgorzała na serio, gdy wywiad amerykański (1944 roku) stwierdził ponad wszelką wątpliwość, że uczeni niemieccy zapóźnieni są w stosunku do amerykańsko-angielskich o ładnych kilka lat. Odkrycie to zniweczyło poczucie zagrożenia, otwierając tym samym problem moralnego aspektu kontynuowania prac, który każdy uczony wciągnięty w prace nad konstrukcją bomby atomowej, a później wodorowej, musiał we własnym sumieniu rozpatrzeć. Dylemat jak rozstrzygnąć konflikt między obowiązującą uczonego lojalnością wobec własnego narodu, a szerzej pojętą lojalnością wobec ludzkości, jest z rzędu zapasów znanych z greckich tragedii.

Perypetie tych zmagań z własnym sumieniem opisane są w znakomitej książce R. Jungka pt. „Jaśniej niż tysiąc słońc", *bestseller*'ze sprzed lat dwudziestu. Nie będę ich więc powtarzał, poza przypomnieniem, że pociągnęły one za sobą szereg ofiar. Skrajny rozstrój nerwowy O. Hahn'a flirtującego z pokusą samobójstwa, ruina meteorycznej kariery R. Oppenheimera, ostracyzm, któremu

jako „zdrajca nauki" poddany został przez swoich kolegów E. Teller, i w końcu sensacyjna zdrada Klausa Fuchsa, są wśród tych dramatów najbardziej znanymi przykładami.

Wielka debata na temat społecznej odpowiedzialności naukowca osiągnęła szczyt natężenia w momencie trumanowskiej decyzji o przystąpieniu do prac nad bombą wodorową. Podtrzymywana jeszcze w latach sześćdziesiątych nieszczęśliwym zaangażowaniem amerykańskim w wojnę wietnamską i wynikłą z niej rewoltą studencką — ucichła wraz z nastaniem pokoju na polach bitew i na campusach uniwersyteckich.

Przyczyną tej ciszy, której jesteśmy obecnie świadkami nie jest bynajmniej zniknięcie prostytucji nauki. Przeciwnie, jest nią raczej fakt upowszechnienia się jej poza wszelką możliwość opanowania, i to w połączeniu z zejściem ze sceny protagonistów Wielkiej Debaty i zastąpieniem ich generacją młodych naukowców, o których może ze zbyt wielkim pesymizmem pisał amerykański psychiatra S. Kubie[6]: „Czyż bylibyśmy świadkami — zapytuje on — powstania nowej generacji znieczulonych, amoralnych, zgorzkniałych i zawiedzionych naukowców? Jeśli tak, to postępujące ulepszanie coraz bardziej śmiercionośnych broni dostarcza wygodnego ujścia ich niszczycielskim instynktom[7]".

Istotnie. To im, tej młodej cynicznej generacji naukowców zawdzięczamy lawinowy postęp technologii, który doprowadził do nowego, nieznanego za dawnych „idyllicznych" czasów pojęcia *overkill'u*. Albowiem wówczas, w momencie skonstruowania pierwszej bomby wodorowej, wydawało się jej twórcom, że wystarczy ich dwie: jedną na Moskwę drugą na Leningrad, a to dla prostej przyczyny, że na obszarze ZSSR nie było innych celów wartych tak kolosalnej siły zniszczenia. Wynalazek ICBM'ów (interkontynentalnych pocisków atomowych) i riposty na nie w postaci ABM'ów (anty-pocisków atomowych) pozbawiły sensu tę naiwną arytmetykę. Wprowadził on bowiem w kalkulację strategów element niepewności. Na pytanie: ile naszych pocisków dotrze do celu? — nie ma ścisłej odpowiedzi. Zależy ona bowiem od skuteczności osłony ABM wroga, znanej tylko jemu samemu. Stąd konieczność mnożenia ilości bomb wodorowych w arsenale z początkowych dwu, do cyfry przekraczającej dziś

6. *American Scientist.*

7. Ten cynizm ilustruje wypowiedź wynalazcy napalmu, który w rozmowie z dziennikarzami pytającymi go o to, czy nie miewał wyrzutów sumienia na myśl, że jego wynalazek zamieni w płonące pochodnie setki tysięcy ludzi odparł: — Niech się *inni* martwią. Ja robię co mi każą... osobiście nie mam kwalifikacji do wydawania opinii w sprawach moralności. *(Ecounter,* sierpień 1978).



tysiące[8]. Im więc, tym rzeszom sprostytuowanych naukowców zawdzięczamy, że każdy z nas ma prawo się spodziewać, że *zabici* w pierwszym uderzeniu będziemy mieli wątpliwą przyjemność być *dobitymi* kilka, a może nawet kilkanaście razy.

## III

Przechodząc do omówienia ostatniego członu — to jest do handlu bronią, chciałbym podkreślić jego ścisłą współzależność od dwóch poprzednich. Sprzężenie jest tak całkowite, że zlikwidowanie któregokolwiek z nich podważyłoby zdolność przetrwania dwóch pozostałych. Albowiem przemysł zbrojeniowy produkujący oba gatunki, to jest bronie konwencjonalne i termonuklearne dla dwóch klientów: dla Pentagonu i międzynarodowej klienteli nabywców, może istnieć tylko dzięki istnieniu naukowców finansowanych z zysków handlu bronią i z dotacji tegoż Pentagonu.

W kontraście do dwóch poprzednich członów, to jest do wyścigu zbrojeń i do prostytucji nauki, handel bronią jest zagadnieniem stosunkowo prostym i nieskomplikowanym. Przekupstwo i korupcja są jego omal jawnymi metodami działania, stąd wszelkie próby wybielania go są z góry skazane na niepowodzenie. Argument: — Handel bronią niczym nie różni się od handlu mydłem jest zbyt prymitywnie cyniczny, by mógł kogokolwiek przekonać.

Wszystko, o czym tu mówię wynika jasno ze znakomitej książki pt. „The Arms Bazaar" A. Sampsona najwybitniejszego dziś specjalisty od opracowań globalnych splotów interesów, których istnienie jest powszechnie znane, a sprężyny i metody działania — ukryte przed okiem publiczności. Studium Sampsona jest wyczerpującym źródłem informacji o handlu bronią od jego zarania w połowie ubiegłego stulecia, poprzez jego wzrost, aż do eksplozji za rządów Nixona i Kissingera, gdy naczelną zasadą ekonomii świata zachodniego stała się tak zwana „recyrkulacja petrodolarów" polegająca na ofercie skierowanej do władców arabskich i szacha perskiego[9] wykupienia przez nich wszystkiego co w świecie zachodnim do sprzedaży się nadawało, a więc przede wszystkim — nowoczesnej broni. To od wojny izraelsko-egipskiej w roku 1973 i sprowokowanej przez nią rewolty OPEC'u handel bronią rozrósł się do tego stopnia, że stał się czynnikiem w kształtowaniu

8. Por. „The Outlook for Nuclera Explosives" w zbiorze esejów pt. *Unless Peace Comes,* Allen Lane, Londyn, 1968.

9. Wydatki Szacha na zbrojenia od roku 1975 przekroczyły kwotę 20 miliardów dolarów.

polityki wewnętrznej i zagranicznej wielu państw, a już przede wszystkim Stanów Zjednoczonych. Ostatni rozdział książki Sampsona, omawiający wysiłki obecnego Prezydenta ukrócenia rozszalałych w swej bezkarności handlarzy śmierci — wnosi w ten czarny obraz iskierkę nadziei.

Epitet „handlarze śmiercią" używany przez A. Sampsona jest zdaniem moim niedość wyrazisty, a przez to grzeszy niedopowiedzeniem graniczącym z eufemizmem. Zajmujące się bowiem tym procederem wielomiliardowe koncerny zatrudniające chmary wyspecjalizowanych biurokrążców podrzucających w poczekalniach możnych tego świata błyszczące kolorami broszury zachwalające „efektywność" oferowanych przez nich broni — nie sprzedają tylko śmierci. Sprzedają swoim klientom również podpórki dla ich tyranii, skazując w dalszej konsekwencji podległe im narody na nędzę, głód i ciemnotę[10].

I na tym polega bolesny paradoks. Dziesiątki despotów z gatunku Aminów, Bokassów, Pinochetów i Somozów — by wymienić tylko najbardziej notorycznych — sprawują nad swymi narodami terror z łaski tych, co wierzą w godność człowieka — dla własnej konsumpcji.

Wygłodzenie zaś trzeciego świata karmionego armatami w miejsce chleba najlepiej ilustrują cyfry: w roku 1975 świat wydał na zbrojenia kwotę 300 miliardów dolarów, sumę która wystarczyłaby z naddatkiem by mrowie niedożywionych zamienić w sytych.

Instytucje-olbrzymy, obojętnie czy wyrosłe na cynizmie — jak produkcja broni, czy na szczytnych ideałach, jak na przykład Kościół katolicki mają to do siebie, że za utrzymaniem ich przemawiają argumenty nie tylko racjonalne, ale i etyczne. Dobrobyt tak Rzymu, jak i Kalifornii zależny jest od dalszego istnienia — w pierwszym wypadku Kościoła, w drugim — produkcji broni. Każda próba zlikwidowania ich przetłumaczyłaby się na morze łez i nieszczęścia. Nic więc dziwnego, że ambicją prezydenta Cartera jest ograniczyć handel bronią (i zarazem jej produkcję) w stopniu nie przekraczającym 8 % rocznie. Powinniśmy mu być za to wdzięczni.

10. Zamieszczony w książce Sampsona barwny opis jarmarku broni w Aldershot (1976) jest wart przytoczenia: ...wśród pawilonów z chłodnymi napojami... na przystrzyżonych trawnikach ustawione czołgi, działa, helikoptery, wozy pancerne dostosowane specjalnie do walk ulicznych... zwiedzane łapczywie przez chmary dzieciarni... nigdzie, nawet na lekarstwo nie ujrzysz słowa „zabij" czy „śmierć"... nawet w broszurach po persku i arabsku rozdawanych publiczności przez śliczne panienki... woskowe lalki udające załogi tych machin śmierci mają jakby przypadkowo, wygląd bardzo arabski, rzadziej perski...



## IV

Ufam, że tym przedstawieniem odświeżyłem w czytelniku ciekawość na temat: jaka jest reakcja wielkich religii na ten splot zagadnień, z racji ich powołania do tego by były stróżami moralności publicznej. Bo jeśli nie od nich mamy oczekiwać zdecydowanego potępienia i zachęty do przeciw-akcji, to na jakich siłach społecznych skuteczny protest ma się oprzeć?

Wiadomo, że nie na rządach. „Oczekiwać, że rządy doprowadzą do rozbrojenia świata jest równą naiwnością jak spodziewać się po słoniach, że uprawią ogród warzywny" — oświadczył w swym przemówieniu na specjalnej Sesji Rozbrojenia ONZ McKeown, działacz Międzynarodowego Bractwa Pojednania[11] światowej Organizacji pracującej na rzecz pokoju. Bractwo Pojednania, nie oglądając się na rządy mobilizuje więc opinię publiczną i fakt dopuszczenia jego reprezentanta do obrad ONZ jest, może nie wyłomem jeszcze, ale bezsprzecznym sukcesem. Doradcą Bractwa jest Philip Morris, profesor fizyki atomowej na Uniwersytecie M.I.T. Oto, jak zachęca ich do wytrwania na wybranej drodze: „Róbcie, co się da, próbujcie wszelkich środków. Przez długi czas nie będzie odzewu. Niech was to nie zniechęca. Pracujcie dalej i wtedy... najniespodziewaniej... dla powodów, których sami nie ogarniecie, wszystko naraz zacznie się dziać[12].

Profesor ma rację. Istnieje wiele precedensów na poparcie jego recepty. Najdobitniejszym z nich jest Zlikwidowanie Handlu Niewolnikami przez grupkę angielskich idealistów zrzeszonych wokoło W. Wilbeforce, która wbrew olbrzymim interesom sfer tak kościelnych, jak i finansowych *establishment'u* doprowadziła po czterdziestu latach działalności do uchwały Parlamentu brytyjskiego (1833) znoszącej Niewolnictwo. Innym, niemniej doniosłym — była akcja Gandhi'ego, która przyśpieszyła emancypację Indii o parę dekad, innym wreszcie, w pamięci nas wszystkich żywo zapisanym — była głębinowa fala odrazy i oburzenia, jaka wezbrała w społeczeństwie amerykańskim pod wpływem dzień po dniu w telewizji pokazywanych okropności wojny wietnamskiej. Fala ta nie tylko przerwała brutalnie karierę jednego Prezydenta, ale zmusiła jego następcę do zawarcia pokoju.

Na to jednak by mobilizować skutecznie opinię publiczną trzeba szukać poparcia gdziekolwiek tylko się da. Mówi o tym

11. Bractwo Pojednania — *International Fellowship of Reconciliation* jest organizacją nie-rządową, współpracującą z szeregiem podobnych, m.in. z katolicką *Pax Christi*.

12. Dwumiesięcznik *Fellowship*, lipiec/sierpień 1978.

McKeown, gdy w dalszym ciągu swego wspomnianego już wyżej przemówienia do ONZ powiedział: „Gdyby wielkie religie zechciały jasno stwierdzić, że wojna (atomowa) jest aktem przeciwnym woli Stwórcy, to tym samym wzmocniłyby niepomiernie siły działające na świecie na rzecz pokoju".

To stwierdzenie daje wiele do myślenia. Czyżby wielkie religie nie zdobyły się dotąd na jawne potępienie tych, co grożą ludzkości zagładą?

Odpowiedź na to pytanie nie jest prosta. Spróbuję po krótce na nie odpowiedzieć, prześledziwszy postawę katolicyzmu wobec tych zagadnień, jako że spośród wszystkich wielkich religii katolicyzm jest jedyną posiadającą Reprezentanta uprawnionego do przemawiania w jej imieniu.

Pierwszym uderzającym badacza faktem jest szczupłość literatury katolickiej na temat trzygłowego kompleksu zagadnień — tematu niniejszego artykułu — w porównaniu z obfitością książek, sympozjów i wypowiedzi wszelkiego gatunku świeckich naukowców (z których kilkunastu, a może i więcej jest lauretami nagrody Nobla), moralistów, filozofów i socjologów. W Wielkiej Debacie, o której mówiłem obszernie w rozdziale drugim, Kościół Katolicki nie zabrał w ogóle głosu. Pius XII nie zauważył zrzucenia bomby atomowej na Hiroszimę i pominął to wydarzenie — uznane, jak pamiętamy przez A. Koestlera za próg w dziejach ludzkości — całkowitym milczeniem. Jest to szczególnie zastanawiające u Papieża mającego niezmiernie wyostrzone poczucie misji interpretowania w świetle Ewangelii wszelkich zagadnień stawianych przed ludzkością przez rozwój technologii. Istnieją tomy wypowiedzi jego na te tematy: od kinematografii, radia, telewizji, prasy i sądownictwa, aż po reklamę i położnictwo. Na temat broni nuklearnych, wyścigu zbrojeń i prostytucji nauk jest w nich — poza ogólnie sformułowanymi ostrzeżeniami pod adresem rządzących — niezmiernie mało.

Pierwszym wyłomem w tych postawach była Encyklika „Pacem in Terris" Jana XXIII (1963). Znajdujemy w niej, sformułowane w bardzo oględny sposób, potępienie wyścigu zbrojeń i wojny totalnej. Dwa lata później Sobór Watykański II posunął się znacznie dalej. W aktach soborowych czytamy, że „akt wojenny mający na celu zagładę całych miast jest zbrodnią przeciw Bogu i ludzkości". Czego w tych dokumentach jednak brak, to zdecydowanego i kategorycznego potępienia wojny termonuklearnej — obojętnie, czy agresywnej, czy defensywnej, skoro pojęcia te utraciły wszelkie znaczenie — jak i zdecydowanego napiętnowania całego, na miliardowych kapitałach opartego przedsięwzięcia: przygotowania naukowego, konstrukcji, magazynowania, ustawiania, i wycelowywania broni termonuklearnej do momentu, gdy



palec człowieka wyposażonego we władzę *anty-stwórcy* naciśnie czerwony guzik *zagłady*.

Wielu komentatorów tych tekstów papieskich i soborowych uderza ogólnikowość sformułowań w kontraście z precyzyjnym, aż do szczegółów, opracowaniem takich zagadnień, jak na przykład moralność seksualna, czy celibat księży. Domagają się oni zrewidowania augustyńskiego pojęcia *bellum iustum* w sensie zniesienia obowiązującego do dziś rozróżnienia między wojną defensywną i ofensywną. Głoszą, że dla osiągnięcia najszczytniejszych nawet celów, takich jak obrona wolności nie wolno uciekać się do użycia niemoralnych środków. Byłoby to równoznaczne z zaprzeczeniem chrześcijaństwa.

Uważna lektura sprawozdań z dyskusji soborowych[13] wyjaśnia, przynajmniej częściowo zagadkę tej wstrzemięźliwości. Oto grupa Kardynałów i Biskupów amerykańskich, której przewodził kard. Spellman wystosowała do zebranych Ojców Kościoła list protestujący przeciw poddanemu ich rozważaniom tekstowi. Czytamy w nim, że „potępiając użycie broni nuklearnych jako niemoralne Sobór zignorowałby fakt, że posiadanie tych broni (przez Amerykę) zapewniło wolność znacznej części świata...".

List ten wywarł na Ojcach Kościoła wrażenie piorunujące. Przyrównywano żartobliwie jego efekt w kuluarach do wybuchu bomby atomowej. Do protestu amerykańskiego przyłączyło się w pierwszej chwili około jednej czwartej obradujących. W końcu jednak, dzięki autorytetowi Pawła VI udało się zażegnać kryzys, nie bez poważnych ustępstw interpretacyjnych na rzecz Amerykanów. Tak na przykład zapewniono ich oficjalnie, że w proponowanym tekście „nie zaprzeczono, jakoby wolność nie mogła być chwilowo (sic) ocalona przez fakt posiadania i akumulacji broni nuklearnych...". Tak więc, proponowany tekst został przyjęty znaczną większością głosów. Ale wrażenie pozostało. Interwencja bowiem biskupów amerykańskich, do których przyłączyło się wielu europejskich oznaczała, że należy bardzo ostrożnie podchodzić do problemu zbrojeń nuklearnych z uwagi na to, że każda mocniejsza wypowiedź mogłaby zaszkodzić Ameryce, jako *Jedynej zaporze* na drodze dalszych zdobyczy komunizmu. Innymi słowy: między interesami zachodnich demokracji a chrześcijaństwem postawiono znak równości.

Jeśli do tego dodamy wielce niefortunny fakt, że komunizm wyrwał Wolnemu Światu inicjatywę organizowania masowych ruchów Pokoju, czego wynikiem było, że każdy ruch pacyfistyczny stał się *de facto* podejrzany — to wstrzemięźliwość Kościoła

13. Szczegóły zaczerpnięte z *The Rhine flows into the Tiber* by Rev. R. M. Wiltgen; Augustine Publ. Co., 1978; która jest komentarzem Watykanu II.

katolickiego, a z nim całego chrześcijaństwa znajduje wyjaśnienie.

Nie piszę o tym, by krytykować Kościół. Do takich lub innych ocen politycznych, czy do zdolności przewidywania nie można stosować kryteriów etycznych. Jeśli Papież i większość Ojców Kościoła (bo wiele twardych słów prawdy padło w dyskusji soborowej z ust mniejszości) uważali, że rozmach ekspansji sowieckiej, który szczyt swój osiągnął w latach powojennych, jest największą w dziejach chrześcijaństwa katastrofą, i że jedyną tamą na drodze dalszego jego pochodu stanowi broń nuklearna — to dzielili oni to przekonanie z ogromną większością Wolnego Świata, którego byli przecież integralną częścią.

Bo czyż widziana z Rzymu sytuacja nie usprawiedliwiała takich sądów? Czyż w starciu z materialistyczną filozofią marksizmu dzielącą z chrześcijaństwem te same uniwersalistyczne ambicje, nie została ona pobita na głowę w osiągnięciu danej mu przez Chrystusa obietnicy o „jednej owczarni i jednym Pasterzu?". W momencie, gdy Ojcowie Soborowi zmagali się z samymi sobą, na każdych dziesięciu katolików na świecie tylko trzech było kolorowych, a siedmiu Białych, podczas gdy w komunizmie odwrotnie: na każdych dziesięciu komunistów aż siedmiu kolorowych, a tylko trzech Białych. Czyż cyfry te nie były wymowne? Czyż nie świadczyły o znacznie większej dostosowalności komunizmu, warunku niezbędnego w dążeniu do uniwersalizmu?

Możemy żałować, że Ojcowie Kościoła nie wspięli się na wyżyny myślowe, z których oceniał sytuację Einstein, ale nie możemy ich za to krytykować.

## V

Niedaleka już przyszłość miała udowodnić krótkowzroczność, a jeśli chodzi o Watykan — małoduszność tych przewidywań. W okresie zaledwie piętnastu lat dzielących nas od Soboru, sytuacja światowa komunizmu uległa radykalnej zmianie. Jego ideologia odznaczająca się w przeszłości kolosalną siłą napędową skostniała, przemieniła się w zaciekły konserwatyzm, niezdolny do stworzenia nawej myśli, w kontraście z którym chrześcijaństwo wydaje się niewyczerpanym źródłem natchnienia wiecznie żywych i wiecznie odnawialnych prawd.

Przykładu dostarczyła Polska, a co ważniejsze — sama Rosja, gdzie budzenie się tęsknot religijnych osiągnęło poziom pozwalający wielu obserwatorom oceniać, że ilość praktykujących chrześcijan na jej terenie przekroczyła analogiczne cyfry na Zachodzie. O tej odnowie pięknie pisze arcybiskup Marsylii Etchegaray: „Co stanowi o sile Kościoła rosyjskiego — czytamy w jego raporcie po objeździe Związku Sowieckiego — to niczym niewzruszona pogoda ducha tego ludu Bożego, która pozwala mu ustawicznie odradzać się z popiołów i wyciskać piętno swojej religijności na skażonej agresywnym ateizmem codzienności. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że Rosja jest dziś największym *wulkanem* w Chrześcijaństwie[14]".



W zestawieniu z równoczesnym, czyżby pozornym więdnięciem Kościoła na Zachodzie, gdzie setki świątyń (w Anglii) wystawionych jest na sprzedaż, gdzie seminaria są puste, gdzie dwanaście tysięcy księży (od Soboru) przeszło „do cywila", te wieści przychodzące ze Wschodu mają swoją wymowę. Cisną się pod czaszkę pytania: — Czyżby wahadło historii miało się wychylić do skrajnej pozycji oznaczającej przesunięcie się Centrum chrześcijaństwa z Zachodu na Wschód? Czy obserwowane na Wschodzie budzenie się tęsknoty za sakralnością, w reakcji na wzmuszany w społeczeństwo materializm, *wyprzedzi* podobne reakcje na Zachodzie, gdzie materializm, choć narzucany przez styl życia, jest w ostatecznej analizie kwestią wolnego wyboru jednostki?

Może za wcześnie jeszcze na zbyt śmiałe wnioski. Dziś jednak możemy już twierdzić, że trzydziestoletni epos Kościoła polskiego udowodnił:

1. Że z konfrontacji z komunizmem chrześcijaństwo ma znakomite szanse wyjścia zwycięsko.

2. Że Kościół katolicki może istnieć i rozwijać się w każdym układzie socjo-ekonomicznym — nie wyłączając komunizmu.

W przeszłości, i to niedalekiej, bo za Piusa XII, takie wnioski byłyby uważane za skrajnie naiwne. Dziś sformułowanie ich wydaje się oczywiste, choć upowszechnienie się o nich świadomości zabierze zapewne nieco czasu. Raz upowszechniona, świadomość ta odegra olbrzymią rolę w tworzeniu się postaw Kościoła, a już przede wszystkim w stosunku do zagadnień będących tematem tego artykułu. Znikną zahamowania przeszkadzające Kościołowi powiedzieć całą prawdę na temat trzygłowego *monstrum* zagrażającego ludzkości. Znak równania postawiony niegdyś między militarną mocą Zachodu a chrześcijaństwem zostanie przekreślony.

Tym nadziejom dali wyraz Kardynałowie zebrani na Konklawe, gdy na Głowę Kościoła wybrali jednego z głównych architektów tego zwrotu w postawach chrześcijaństwa.

*W. LEDÓCHOWSKI*

Johannesburg, grudzień 1978 r.

14. *Le Monde*, „La vie religieuse en URSS", 8 listopada 1978.

# Pochwała głuchoty

Wdzięczny temat. Można by tomy wypisać na temat głuchoty rządzących i głuchoty rządzonych, głuchoty polityków i głuchoty masy szaraczków, głuchoty mędrców i głuchoty prostaczków. Mniej wdzięczny, lecz bardziej określony i nie tak przydługi będzie temat o zwykłej głuchocie fizycznej. Jeśli pamięć mnie nie myli, to na łamach miesięcznika nikt jeszcze nie opisywał własnych dolegliwości i chorób. Lekarskich dysertacji też nie pamiętam. Powodów tego przemilczenia może być wiele. Ludzie chorzy nie chcą na ogół mówić przed dużym gronem słuchaczy, czy czytelników o ich smutnych, bo tak się to im wydaje, problemach. Nie lubią utyskiwać publicznie. Są wprawdzie też i gadatliwi w jakichkolwiek okolicznościach, ale ci będą pleść trzy po trzy. Redaktorzy, którzy już osiągnęli wiek krytyczny, niezbyt chętnie puszczą artykuł o tym, co może dla nich samych nadejść nieuchronnie. Wreszcie są to tematy, które samym czytelnikom mogą nie zawsze odpowiadać. Toteż wolę z góry zapowiedzieć, że nie będzie to jakieś smutne opowiadanie. Pragnę wydobyć coś pozytywnego i radosnego z dolegliwości ludzkich, bo może to nawet okazać się pożyteczne dla tych, którzy zupełnie niespodziewanie staną w obliczu podobnych doświadczeń.

W ciągu ostatnich dwu lat organizm mój faszerował się lekarstwami, było w tym sporo przeróżnych antybiotyków. Uwaga więc z antybiotykami! Któregoś ranka otwieram oczy i czuję się jak pod szczelnie zamkniętym niewidzialnym kloszem. Zwykle jest cicho dookoła, ale cisza, która mnie otoczyła była już superciszą. Zaczynam mówić do żony, ale nie słyszę własnego głosu. Widzę, że usta żony poruszają się, ale dźwięków brak. Jestem zupełnie głuchy. Usiłuję podnieść głowę, doznaję zawrotu i mdłości z natychmiastowymi konsekwencjami. Żona dzwoni do lekarza; telefoniczna diagnoza, dość szybka, jak na obecny stan wiedzy medycznej, oznajmia nam, że jest to *vertigo Menière*. Później usłyszymy inne określenie: „utrata funkcji vestibularnych" *(Loss of vestibulary functions)*. Jest to infekcja uszu środkowych, głuchota i utrata zmysłu równowagi. Powodów mogą być dziesiątki. Jest możliwość, że to któryś z antybiotyków. Laryngolog rozkłada ręce i twierdzi, że nic się już nie da zrobić. Aby zaatakować problem zmysłu równowagi inny doktor urządza małe konsylium. Odbywa się telefonicznie. Trzech mędrców orzeka, że potrzebne jest naświetlanie podstawy czaszki. Poddaję się z pokorą, chociaż koszt ma być bardzo wysoki. Radiolog zapewnia mnie, że po pierwszej sesji będą już wyczuwalne wyniki. Po piętnastu czuję się gorzej i na dodatek wypadają włosy. Kilka osób, które przeszły podobną chorobę, uspakaja mnie, że za jakieś 6 do 18 miesięcy będzie poprawa. Trzeba więc żyć nadzieją.



Ale miałem mówić o głuchocie. Gdy się jest zdrowym, myśli się o osobach głuchych, jako o dotkniętych wielkim nieszczęściem. Tak jednak nie jest. Znajduję wiele dobrych stron w tym rzekomym kalectwie. Zaczyna się oczywiście od opuszczenia pracy zawodowej, nazwijmy to zarobkowej. Wprawdzie w systemie kapitalistycznym, gdy chodzi o wydajność pracy, jest podobnie jak w systemach socjalistycznych „demokracji ludowych", ale nawet na te 20 % wydajności głuchota nie pozwala. Jak wiadomo 80 % spędza się na drzemkach, posiedzeniach w świątyni, dumania, rozmowach z kolegami, zawracaniu głowy szefom, telefonowaniu do domu, pisaniu listów, nawet reperacji zegarków, ale jednak jakoś trzeba zapracować na wysokie uposażenie; będąc głuchym nie da rady. A więc odmarsz z biura do domu. Miało to i tak nastąpić wkrótce z powodu emerytury, zostaje więc tylko przyspieszone. Tyle się słyszało o trudnym okresie przestawienia się z okresu pracy na okres nieczynności, ale to wszystko bzdury, trzeba mieć jakieś urazy psychiczne. Nie pracować jest rozkosznie, bardzo szybko zapomina się, że w ogóle kiedyś się pracowało. O powrocie do pracy, co przyjaciele życzą choremu, nigdy się nie myśli. Czasem jednak wydaje mi się, że widocznie jestem skończonym leniem. Oczywiście nie należy siedzieć bezczynnie, ale jest tyle rzeczy do zrobienia przez osobę siedzącą w domu, że czas jest wypełniony ku własnemu zadowoleniu.

Pożegnanie z biurem ma też i inne zalety. Jazdy tam i z powrotem w ciężkich warunkach ruchu kołowego w czasie słoty, spiekoty, kurzu, wiatrów, wdychając spaliny, denerwując się wraz z innymi kierowcami, czekając niecierpliwie w zatorach, wszystko to należy do przeszłości. Już się zapomniało o tym. Był hałas, a teraz jest zupełna cisza. Już wkrótce ocenia się tę wielką zmianę jako błogosławieństwo. Większość z nas żyje w miastach. Nie zdajemy sobie nawet w przybliżeniu sprawy z tego, jak wyniszcza nas hałas: nasze zdrowie, samopoczucie psychiczne i wreszcie stosunki między ludźmi. Iluż jest takich, którzy nawet na wakacje, zamiast odpoczywać od hałasu, jadą tam, gdzie są wielkie zbiorowiska ludzkie, gwarne plaże, gdzie można tańczyć w takt potwornie ogłuszającej muzyki, gniotąc się w tłumie. Są

rodzaje ciszy duchowej, które pozwalają na wyrwanie się z kręgu tego — pociągającego głównie młodzież — hałasu. Takimi są szum morza z dala od gwarnych plaż, poszept gór, lasów i pól. Człowiek nie wie do jakiego stopnia potrzebuje takiej ciszy. Trzeba ogłuchnąć, by nagle przejrzeć.

Pierwszym następstwem tego jest głębsze wejrzenie w samego siebie. Nie ma już tylu zewnętrznych przeszkód, by z sensem zastanowić się nad przeszłością i tym co nas czeka. Daje to duże zadowolenie. Samotność nie jest umęczeniem. Następuje pewne uszlachetnienie.

Stosunki z ludźmi ulegają poprawie. Najbliższa rodzina sublimuje swoje uczucia, stara się życie głuchego uczynić radośniejszym, chociaż to nawet nie jest tak bardzo potrzebne. Widzę dookoła uśmiechy, dzieci nie skąpią uścisków i ucałowań. Zamiast komunikacji głosowej rodzina pisze liściki. Oczywiście nie ma w nich złych wiadomości, niepotrzebnych słów i chwilowych uniesień. Wszystko jest pozytywne i radosne. Taką atmosferę jednak i sam głuchy musi wytworzyć. Iluż bowiem jest ludzi zgorzkniałych, którzy będą zamęczać otoczenie i nie dadzą spokoju bliskim. Trzeba być pogodnym i doprowadzić do tego, by inni ciebie szukali, bo Ty się nikomu nie będziesz narzucać. Mowa ludzka jest piękna, ale może też być pusta i okrutna. Gdy się tej mowy nie słyszy, można więcej zyskać, niż stracić. Poza tym są książki.

Spotkania z ludźmi nabrały innego posmaku. Każdy z obecnych stara się okazać więcej sympatii i twarze są uśmiechnięte. Myślę, że moja choroba pomaga innym wydobyć na jaw lepszą cząstkę swego ja. Jest dla wszystkich jasne, że moje zobowiązania towarzyskie zmieniły się i moje wycofanie się z grona zebranych jest zupełnie zrozumiałe. Toteż, gdy tego potrzebuję, wycofuję się do mej ciszy.

Jest jednak wielka strata, o której nie można zapomnieć w tym bardzo po krótce naszkicowanym bilansie. Jest się odciętym i to bezapelacyjnie od muzyki. Mając jednakże wiele przeżyć słuchowo-muzycznych w ciągu długich lat życia, trzeba z pokorą pozostać przy tych wspomnieniach.

Liczę na to, że wyznania głuchego będą dobrotliwie przyjęte przez grono czytelników.

*Wiktor SKIBA*

---

*Wieloletni przyjaciel* Kultury, *Wiktor Skiba, absolwent Politechniki Warszawskiej, wybitny inżynier-elektryk (m.in. elektryfikował południową Koreę) zmarł w Meksyku 6 lutego 1979 r.*

## *Wiersze*

# Wiersze z Ameryki

Henryk GRYNBERG

## LAFAYETTE SQUARE

*Michałowi Chmielowcowi*

*Na cokołach na stojąco jak konie*
*drzemią czterej generałowie*
*nie strzelają już*
*nawet oczami*
*do stuleci nad naszymi głowami*

*nagi rycerz w samej przyłbicy*
*opowiada o miłosnych turniejach*
*a z mikrofonowej mównicy*
*pederaści się zaklinają*
*że oni także potrafią kochać*

*pokażcie mi człowieka który potrafi*
*mówi młody poeta-sceptyk*
*w średnim wieku*
*który niedawno dojrzał*
*że nie jest już nieśmiertelny*
*ale nikt go nie słucha*
*zwłaszcza że jest cudzoziemcem*
*(od urodzenia)*
*i zwyczajem poetów obcym*
*przemawia językiem*

*cudzoziemcem jest także żniwiarz*
*z wysuniętą kosą na sztorc*
*czekający na śmierci żniwo*
*apatycznie bo już za długo*
*pod jego zmęczonymi nogami*
*w miejscu obraca się globus*
*cętkowany żmijami granic*
*nad którymi orzeł i wąż*
*negocjują o ciała i dusze*

*dawno zastygł spiżowy okrzyk*
*w gardle jeźdźca na spiżowym koniu*
*a nieufne spiżowe armaty*
*wypatrują oczodoły swych luf*
*w cztery strony świata-zaświata*
*i wtórują niememu jeźdźcowi*
*swoim głuchym armatnim milczeniem*
*spiżowy jeździec spiżowy koń*
*lecz prawdziwe spiżowe armaty*

*jak źrenicę osłaniają plac*
*kamieniczki* national trust
for historic preservation
*i strzeże go wielki golem*
security and trust company
*chociaż nie ma (i nigdy nie było)*
*ani* security *ani* trust
*ani* company *dla nikogo*
*a tylko ludzie stawiają ołtarze*
*temu czego nie mają*
*i czego najbardziej im brak*

*wśród cienistej zieleni czasu*
*i drzew nie pamiętających nikogo*
*trupio biały świta grobowiec*
*a gapiowaci turyści myślą*
*że to właśnie tu*
*zapadają najważniejsze decyzje*
*choć nędzarze pod płotem mówią*
*że najważniejsze już dawno zapadły*
*i to zupełnie gdzie indziej*

*pryska czar i kończą się cuda*
*milkną chóry i hurysy przestają*
*miotać się w swych pośladkach i brzuchach*



*a panowie zawracają krawaty*
*do swych zakratowanych klatek*
*tylko ptaki wciąż niefrasobliwie fajdają*
*na głowy generałom*

*i nieliczni dobrwolni nędzarze*
*dzień i noc na śpiworach czekają*
*na wigilię pokoju*
*nie widząc jak bezdenny jest pokój*
*ponad nimi*
*ponad nami wszystkimi*
*niepodzielny ostateczny powszechny*

*który czeka na nas*

Waszyngton, 1972

## W ŚWIECIE ŚWIETLIKÓW

*Urodziłem się w lipcowym zmierzchu*
*w małym świecie świętojańskich światełek*
*w szepcie owadów zapachów*
*pomruku domowych zwierząt*

*urodziłem się w świecie świetlików*
*co pojawiają się w tej samej chwili gdy gasną*
*żyję żyję i patrzę*
*jak odumierają mnie i znikają*
*w zaświatach świateł*

*żyję żyję i coraz gorszych rzeczy się dowiaduję*
*więc siłą rzeczy i sam staję się coraz gorszy*
*a tymczasem robi się późno*
*i coraz bardziej ogarnia mnie lęk*
*że nie zdążę się wytłumaczyć*
*przed gwiazdą jerozolimskiego ducha*
*i betlejemskiej drogi*
*dawidowego mojego losu*
*i czarnoleskiej mowy*

*więc się zwracam do ciepłej gwiazdy*
*lipcowego wieczoru*

Maryland, 1973

## TRUDNO UWIERZYĆ

*Trudno uwierzyć że urodzeni w dniu naszej matury*
*są dawno już po maturze*
*i że ci co dziś giną w mundurze*
*mogli być naszymi synami*
*że przemijamy nic nie zmieniamy*
*tylko sami ulegamy zmianie*

*że rządzą nami przeważnie ci sami*
*drobni oszuści i wielcy dranie*
*a do tego szantażyści i tchórze*
*mnożą się w zastraszający sposób*

*trudno uwierzyć że nikt się już nie krępuje*
*szantażować ni tchórzyć*
*kraść ani kłamać w żywe*
*telewizyjne oczy*

*trudno uwierzyć że przeminęliśmy*
*i że nie ma nawet o co się spierać*
*gdy brak ziemi powietrza i wody*
*tak dla ślubnych jak i nieślubnych*
*dzieci historii*

*że prometejskie ognisko przygasa*
*a diabeł dzisiejszy za życia*
*wokół nas piekło rozpala*
*niewiele zostawiając nam do stracenia*

*więc tym trudniej uwierzyć że nikt*
*nie zawoła uwaga tchórze*
*szantaż jest tylko brudnym chwytem*
*lecz tchórzostwo wobec szantażu*
*jest zbrodnią przeciw ludzkości*

*a najtrudniej uwierzyć*
*że nikt się nawet nie dziwi*

Waszyngton, 1974



## TRZEBA PŁACIĆ

*Z winy prostaczków co się brali za słowa boże*
*od wieków modliliśmy się o codzienny bochenek chleba*
*dopiero dziś*
*otoczeni przez hydry wielogłowicowych*
*wszechkontynentalnych katiusz*
*przeszywani tępymi spojrzeniami*
*oczodołów kolasznikowa*
*wiemy że w modlitwie nie chodziło*
*o chleb dla naszych zwierzęcych kiszek*

*mnożymy się szybciej od chleba*
*szybciej od wody szybciej od powietrza*
*i znacznie szybciej od ducha —*
*o codzienny pokarm dla ducha chodziło*
*w oryginale modlitwy*

*mnożymy się coraz szybciej*
*ale ludzi jest jak zwykle za mało*
*tylko coraz liczniejsze hordy*
*człowiekozwierząt*
*coraz ciaśniej nas otaczają*

*próbujemy ich oswajać*
*w nadziei że na uniwersytetach*
*można zrobić z chama człowieka*
*podajemy im cywilizację*
*a oni ją pożerają z talerzem*
*podajemy im wiedzę*
*potęgując ich chamstwo przez wiedzę*
*nawet wątłą bezbronną kulturę*
*wrzucamy do smoczej jamy*
*gdzie ją raz po raz gwałcą*
*zbiorowo masowo ochoczo*

*dzięki naszej cywilizacji*
*naszej kulturze i wiedzy*
*coraz łatwiej im*
*solić nasze wrzody w żołądkach*
*zatruwać śledziony wątroby*
*dobijać nas atakami serca*
*terroryzować z lądu powietrza i wody*
*dożynać bez użycia noża*

*i nie możemy mieć o to pretensji*
*nawet do samych siebie*
*bo to jest normalna cena*
*jaką musi zapłacić człowiek*
*za to że chce być człowiekiem*
*to jest normalna cena a tylko inflacja sprawia*
*że płaci się coraz drożej*

*przygotujmy się zatem że w końcu*
*trzeba będzie znów zejść do podziemia*
*i rozejrzyjmy się dobrze gdzie ukryć*
*ludzkie ziarno i słowa boże*

Waszyngton, 1974

## BÓG JEST...

*Leszkowi Kołakowskiemu*

*Bóg jest angielską królową*
*jest ale nie ma władzy*
*można być Mu posłusznym lub nie*
*kochać Go albo nie*
*można Go nawet zabić*
*w sobie*

*bo nie jest nad nami lecz w nas*
*i tylko od nas zależy co z Nim uczynimy*
*tak jak od nas zależy co uczynimy z sobą*
*(bez najmniejszych złudzeń że On*
*zechce nas w tym wyręczyć)*

*i nie ma po co Go prosić o względy*
*ani o przebaczenie*

*On i tak nam zawsze przebacza*
*mówi: słabi jesteście mali głupawi*
*ja nie mogę się na was obrazić*
*więc za świństwa wyrządzane bliźniemu*
*nie przede mną się kajajcie lecz przed nim*
*co wam bardzo pomoże zrozumieć*
*dlaczego nie trzeba popełniać*
*świństw*



*nie ma władzy*
*oddał ją*
*nam jako wolną wolę*
*i odtąd nie interweniuje nie ingeruje*
*w nasze wewnętrzne sprawy*
*a modłów i skarg naszych słucha*
*naszymi własnymi uszami*
*(ponieważ jest w nas)*

*jest naszym stwórcą lecz tworzy nas*
*naszymi własnymi rękami*
*którymi sami sobie zadajemy kary*
*i sami się wynagradzamy*
*sami siebie podnosimy z klęczek*
*i stawiamy chwilami nad sobą*
*co wydaje nam się bardzo wysoko*

*czynimy to sami*
*lecz nie przyszłoby nam to do głowy*
*gdyby Jego nie było w nas*

*jak angielska królowa*
*nie ma władzy — lecz jest*

*i to nam powinno wystarczyć*

Maryland, 1974

## TAK SAMO

*Tak samo błękitne to niebo starożytne*
*taki sam do nieba kapitol*
*i senat tak samo zdezorientowany*
*wypatruje przyszłości*
*wytrzeszczonymi oczami*
*i tak samo ogłupiały lud rzymski*
*rozwydrzony od darmochy i igrzysk*
*krwawych*
*i tacy sami barbarzyńcy u granic*

*wciąż niebo tak samo zatłoczone bogami*
*i zbawicielami*
*porozdzierane bezsilnym wołaniem*
*poorane boleśnie krzyżami*

*nawet Jezusa tak samo ukrzyżowano*
*i tak samo na naszych oczach*
*przybity do sześcioramiennej gwiazdy*
*sześć milionów razy umierał*

*więc taki sam Józef Flawiusz po rzezi*
*zagląda cezarom w oczy*
*notując losy*
*ciągle tej samej wojny*

*gdy tak samo oblężona*
*ta sama Jerozolima*
*broczy tą samą krwią*

Waszyngton, 1975

## BÓG JUŻ NIE WIERZY NIKOMU

*świętej pamięci Jonatana Netaniahu*

*Może był zbyt pewny siebie*
*może miał za wiele zaufania do swego dzieła*
*a za mało doświadczenia*
*i nie zdawał sobie sprawy że w naszych czasach*
*prócz cudów*
*potrzeba środków technicznych*
*zawczasu przygotowanych*

*dlatego oczywiście że nie mógł uratować*
*stu tysięcy dzieci warszawskego getta*
*ani nawet drobniutkiej setki Korczakowskich sierot*
*a co dopiero sześciu milionów —*
*zaskoczono Go*
*nie przypuszczał że pod Jego okiem*
*mogło tyle urosnąć zła*

*więc teraz ma się już na baczności*
*i nie dowierzając nikomu*
*ubrał maluczkich w pancerze*
*i zgodnie z wymogami techniki*
*w duralowe skrzydła wyposażył aniołów*
*i w dalekiego zasięgu silniki ponaddźwiękowe*
*i nauczył ich celnego rażenia*
*z broni maszynowej*



*i ciskania desantowego gromu*
*z zaciemnionego nieba*
*kiedy trzeba wyrywać ofiary*
*z paszczy ludożerców*

*ciężko doświadczony przez ludzi*
*Bóg nie dowierza nikomu*
*i tylko najlepszych wybiera do Swego sztabu*
*a wykonanie misji poruczа*
*najstaranniej przygotowanym*
*takim właśnie jak entebbeński*
*Jonatan Netaniahu — — — — — — —*

Waszyngton, 1976

## ZANIM ZAPOMNĘ

*(w kolejną rocznicę)*

*Najpierw było słowo*
*a potem zbrodnia*
*i nie kain lecz abel*
*umierał bezpotomnie*

*a ile bitew z goliatem daremnych*
*ile świątyń zburzonych nade mną*
*ile ark zatopionych*
*na dnie przymierza*

*z ziemi niewoli*
*nad rzeką pustki uchodźczej*
*zanim zapomnę Treblinkę*
*(maleńka mieścina gdzie moja rodzina)*
*niechaj uschnę w obelisk*
*soli z żydowskich łez*

Waszyngton, 1978

## DO DZIECI

*Niby niewiele lat a co roku wyższe*
*to wirgińskie drzewo za oknem*

*i coraz głębsze korzenie*
*i moje wirgińskie dzieci*
*poszły już do wirgińskiej szkoły*

*ale wiosną szaleją tu radoszyńskie bzy*
*piekące kaczeńce i mlecze*
*i soczysta zieleń radoszyńskiego dzieciństwa*
*gdzie rośnie trawa wysoko*
*jak mój ojciec leży głęboko*

*hejże dzieci hejże ha*
*bawcie się lepiej niż ja*
*i nie pytajcie mnie o nic —*
— — — — — — — — —

Wirginia, 1978

## VIVE LA DIFFÉRENCE

*Dysydentom*

*Do trupów można wygłaszać*
*dowolne przemówienia*
*każdego słuchają cierpliwie bez szemrania*
*można je swobodnie ganić albo chwalić*
*(ni jedno ni drugie żadnego z nich nie obraża)*
*można schlebiać im albo opluwać*
*zastygłe twarze*
*łgać a nawet prawdę mówić w martwe oczy*

*można im bez obawy udzielać głosu*
*zapraszać ich do dyskusji i pytać o zgodę*
*(milczenie jest znakiem ich zgody)*
*można odwoływać się do ich uczuć*
*można je w ich imieniu wyrażać*
*można ich bez kłopotu reprezentować*
*łechtać albo szturchać*
*jedno i drugie doskonale znoszą*
*nie sprzeciwiając się władzy*

*można nimi zawsze dowolnie dysponować*
*przenieść albo zostawić*
*uczcić pogrzebać czy wstawić*
*w ramki albo aleję*



*dla wysłużonych*
*można im wszystko przypisać*
*lub skreślić w życiorysie*
*przystroić albo obnażyć*
*podmalować albo oczernić*
*podsmrodzić albo okadzić*
*można ich skazać na zapomnienie*
*albo popularność i ciężką pokutę*
*w masowych akademiach manifestacjach pochodach*
*podręcznikach szkolnych programach*
*radia telewizji na łamach*
*środków masowego szantażu*

*trupy można łatwo skazywać na śmierć*
*bezapelacyjną pozagrobową*
*konfiskatę rodziny tradycji pamięci*
*przeszłości i przyszłości*
*można deprawować im dzieci*
*wycinać im mózgi serca jądra i charaktery*
*można ich preparować na mumie*
*wpisywać lub skreślać z listy*
*mnożyć dowolnie lub dzielić*
*w kolumnach statystyk*

*dysydent? —*
*po prostu ten kto NIE jest trupem*

Waszyngton, 1978

Henryk GRYNBERG

POD AUSPICJAMI
TOWARZYSTWA HISTORYCZNO-LITERACKIEGO W PARYŻU
z KOMITETEM WYDAWNICZYM w składzie:

Czesław Miłosz z University of California — Berkeley, Piotr Wandycz z Yale University, Henryk Wereszycki z Uniwersytetu Jagiellońskiego, Jacek Woźniakowski z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego i Czesław Zgorzelski z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego — KSIĘGARNIA „LIBELLA" W PARYŻU, rozpoczęła nową serię wydawnictw pod nazwą ogólną: „HISTORIA I TERAŹNIEJSZOŚĆ".

Druga książka tej serii (nosząca numer I-szy) ukazała się właśnie w druku. Jest to:

**HENRYK WERESZYCKI**
**„HISTORIA POLITYCZNA POLSKI"**
**1864-1918**

Stron: 336. Cena F.fr. 60,00 (lub równowartość).

---

Poprzednio ukazała się książka z tej serii (nosząca numer 2-gi):

**ANDRZEJ MICEWSKI**
**„WSPÓŁRZĄDZIĆ CZY NIE KŁAMAĆ"**
**Pax i Znak w Polsce 1945-1976**

Stron: 269. Cena F.fr. 50,00 (lub równowartość).

---

Następna książka z tej serii (nosząca numer 3-ci) jest już w druku. Będzie to:

**MARCIN KRÓL**
**„STYLE POLITYCZNEGO MYŚLENIA"**

◆

Książki do nabycia we wszystkich polskich księgarniach na Emigracji u Przedstawicieli Pism, lub bezpośrednio u Wydawcy:

**„LIBELLA"**
**12, rue Saint-Louis-en-l'Ile, 75004 Paris.**
Métro: Pont Marie lub Saint-Paul.
Telefon: 326-51-09.



# Kraje arabskie i Izrael

Ogólny wzrost cen ropy naftowej krajów OPEC od października 1973 do chwili obecnej wyniósł ok. 750 %. Obejmuje on ostatnią 14 % podwyżkę, która przy dowolnych narzutach zadekretowanych w końcu marca w Genewie może podnieść efektywną cenę ropy o dalsze 30-40 %.

Wszystko to ma miejsce w chwili, gdy kraje zachodnie, Japonia, a przede wszystkim Ameryka borykają się z gigantycznymi problemami energetycznymi i finansowymi, zaostrzonymi dodatkowo zmniejszonymi dostawami ropy irańskiej. Ale właśnie ta ostatnia okoliczność przyczyniła się do nowego, niezaplanowanego poprzednio, podniesienia cen[1]. Nie jest dla nikogo tajemnicą, że wpędzanie Zachodu i Japonii w dalsze trudności gospodarcze nie jest wcale w *interesie ekonomicznym* państw ropodajnych. Nie jest — ponieważ kraje te, będąc wciąż przemysłowo słabe, są w dalszym ciągu klientami Zachodu. Fakt, że państwa te mogą sprzedawać najbardziej obecnie poszukiwany surowiec na zasadzie niemal monopolu, nie przyczynia się do tworzenia bodźców dla własnej industrializacji. Stąd wniosek, że kraje te zamierzają pozostać nadal nabywcami towarów produkowanych w Ameryce, Europie i Japonii. Skądinąd jest rzeczą oczywistą, że jeśli podnosi się ceny ropy (będącej nie tylko źródłem energii ale i ważnym surowcem niezbędnym prawie we wszystkich gałęziach przemysłowych), to w krajach rozwiniętych działa

1. Kryzys energetyczny w Stanach dozna prawdopodobnie dalszego zaostrzenia na skutek wypadku w elektrowni atomowej w pobliżu Harrisburga w Pensylwanii. Przy skłonnej do ulegania panice opinii amerykańskiej wydarzenie w Harrisburgu utrudni częściowe przestawianie się na energię nuklearną.

to jak bodziec inflacyjny. Cykl: podwyżka cen ropy — inflacja — dalsza podwyżka cen ropy jest oczywiście błędnym kołem, z którego zdają sobie doskonale sprawę rządy państw eksportujących ropę. Z wyjątkiem jednak Arabii Saudyjskiej, która starała się ten cykl nieco zwolnić, a której pozycja w świecie arabskim ostatnio osłabła, nikt z producentów ropy nie próbował go przerwać. Nie próbował — mimo tego, że problemy ekonomiczne Zachodu odbijają się rykoszetem na przyszłości tych krajów. Jeśli Zachód pogrąży się w ruinie gospodarczej i chaosie politycznym, trudno będzie ex-pasterzy kuwejtskich czy saudyjskich, rozbijających się obecnie mercedesami i mieszkających w eleganckich apartamentach, zapędzić z powrotem do namiotów. Nie ma więc żadnych wątpliwości (i to od dawna), że podwyżki cen OPEC podyktowane są racjami politycznymi. Tak zwane kraje „radykalne" nie robią zresztą z tego tajemnicy. Pozostaje pytanie: jakie są te polityczne racje?

Krajom OPEC nie zależy przecież na uszczęśliwianiu Sowietów, którzy każdą podwyżkę cen ropy, uderzającą w świat kapitalistyczny, celebrują jako nowy sukces państw miłujących pokój i socjalizm. Arabia Saudyjska, Nigeria, Libia czy Irak nie marzą ani kolektywnie ani każde z osobna o tym, by stać się dominującą potęgą świata. Podobno dumał o tym szach Rheza Pahlewi, zaczytany w kartach historii starożytnej Persji, ale właśnie też mu to nie wyszło. Co najmniej ze 113 powodów. Przyczyny więc muszą być inne. Osobiście poderzewam, że kraje OPEC nie mają żadnego sprecyzowanego planu ani żadnej idei kierowniczej w podnoszeniu cen ropy. Saudia lub Kuwajt i połączone emiraty prawdopodobnie nie chcą zniszczyć Zachodu poprzez swą politykę naftową nie tyle z sentymentu dla Londynu, Paryża czy Waszyngtonu, ale ze strachu przed Moskwą. Natomiast nie mogą się oprzeć ustawicznej pokusie upokarzania tych potężnych niegdyś mocarstw, które decydowały jakiego władcę osadzić na jakim tronie, a jakiego — usunąć, i które płaciły za baryłkę nafty według własnego widzimisię. Gdy w roku 1973 nie zareagowały na 400 % podwyżkę cen i zadekretowane embargo wobec Ameryki — ujawniła się w pełni ich słabość. Niemoc Zachodu pozwala krajom naftowym brać obecnie odwet za dawne upokorzenia. Przy tym wszystkim sądzę, że choć pokusy upokorzenia dawnych zachodnich potęg imperialnych grają w postępowaniu władców naftowych niebłahą rolę, nie należy ich przeceniać. Albowiem chodzi tu przede wszystkim o rzecz bardziej w swym kształcie uchwytną, tkwiąca na kształt zadry w świadomości rządzących elit krajów Trzeciego Świata. Żeby nie powtarzać myśli poprzednio sformułowanych, wypada mi prosić Czytelnika o zapoznanie



się z moi martykułem pt. „Przemiany w światowym układzie sił", zamieszczonym w *Kulturze* (Nr 3/378). Uwagi zawarte w niniejszej pracy są kontynuacją myśli zawartych w wymienionym eseju.

Świat arabski, który może żyć z dala od naszej cywilizacji chętnie korzystając z jej dobrodziejstw, nie chce pogodzić się z istnieniem Izraela, który jest niczym innym jak europejską enklawą na Bliskim Wschodzie. Sukcesy i samodzielność tego państwa jest tym cięższym kamieniem obrazy dla Arabów, że jest to kraj niewielki i ludnościowo nieliczny. Gdyby Izrael liczył 50 milionów ludności i zajmował czterokrotnie większe, gęsto zaludnione przez Żydów, terytorium, byłby nieprzyjemną, ale zaakceptowaną koniecznością. Taki jaki jest obecnie, jest ciężkim upokorzeniem. Arabowie mogą wybaczyć Anglii jej panowanie kolonialne, ale nie chcą pogodzić się z istnieniem narodu, który jest kondensatem najbardziej uzdolnionych jednostek, pochodzących ze Wschodniej i Zachodniej Europy. Ci, którzy ocaleli z hitlerowskiego pogromu lub wyszli żywi z sowieckich gułagów, przeszli najcięższą selekcję doboru naturalnego. Ich potomkowie zachowali w sobie dziedziczne cechy przetrwania, które trudno odnaleźć w innych grupach etnicznych. Z tego powodu, choć ludy arabskie nie chcą pogodzić się z faktem istnienia Izraela, będą prawdopodobnie musiały to w przyszłości uczynić.

Jak dalece wyłamanie się Egiptu z frontu antyizraelskiego wpłynie na światowy układ sił, przyszłość Bliskiego Wschodu i bezpieczeństwo Izraela, zależy w wysokim stopniu od polityki rządu Begina i jego następców. Tu należy rozważyć kwestię przewlekłego antagonizmu izraelsko-arabskiego pod kątem zdefiniowania praw ludności palestyńskiej. Te ostatnie są bardzo często obiektem nie politycznego rozeznania, ale politycznej mitologii. Żeby się od niej wyzwolić, należy ostro i wyraźnie oddzielić dwie sprawy: 1) kolonizację Żydów na terenach okupowanych i uszczuplanie stanu posiadania Arabów; 2) rzekome aspiracje Palestyńczyków do własnego niepodległego państwa. Otóż wydaje mi się, że Arabom, a w szczególności arabskim rolnikom, trudno jest współżyć czy nawet sąsiadować z Żydami na tej samej zasadzie, na jakiej chłopom polskim w XIX wieku i później trudno było współżyć z kolonistami niemieckimi. Osiedleńcy Żydzi są prawdopodobnie bardziej od arabskich gospodarni i chyba bardziej pracowici. Tak jak niegdyś koloniści niemieccy — w porównaniu z zasiedziałymi tam z dawna polskimi chłopami — wykazywali więcej przedsiębiorczości, z podobnym zjawiskiem mamy do czynienia na okupowanych ziemiach Jordanii, zasiedlanych przez żydowskich emigrantów. Dynamizm i pracowitość — które cechowały i cechują nowych osadników, zawsze i pod każdą szero-

kością geograficzną — są jeszcze mocniej zaakcentowane u żydowskich osiedleńców, mających za sobą ciężką szkołę życia. Do tego dochodzi wiara, że oto po latach diaspory wracają na „swoją ziemię", przeznaczoną im przez Boga. Do podtrzymania tego mitu przyczynia się walnie polityka rządu Begina. Rząd ten, przy pomocy szeregu rozmaitych środków — jak zabezpieczenie źródeł wody na rzecz nowych osadników kosztem starych gospodarstw, oraz poprzez wykup ziemi i konfiskatę gospodarstw opuszczonych — stara się tereny okupowane nasycić nową — niearabską ludnością[2]. Otóż uważam, że o ile z zaistniałym stanem rzeczy na terenach izraelskich w granicach z 1967 roku kraje arabskie chcąc - nie chcąc będą musiały się prędzej czy później pogodzić, o tyle osadnictwo na terenach okupowanych uważam za szkodliwe i niebezpieczne dla Izraela. Sprawa ta — z uwagi na rolę Izraela jako jedynego strategicznego bastionu, na który w tym rejonie świat zachodni może liczyć — nabiera coraz większego znaczenia z punktu widzenia głównego celu — walki z ekspansją sowiecką.

Fakt, że ludność arabska zamieszkała na zachodnim wybrzeżu Jordanu stara się wszelkimi środkami przeszkodzić żydowskiemu osadnictwu, nie oznacza bynajmniej, że Palestyńczycy spragnieni są własnego państwa. Gdyby rzeczywiście pragnęli niepodległej Palestyny, mieli po temu okazję. Mogli ją stworzyć przed czerwcem 1967 roku nie tylko w Gazie i na Zachodnim Wybrzeżu, ale na znacznych połaciach Jordanii, zamieszkałej w wysokim procencie przez Arabów, uważających się za etnicznych Palestyńczyków. Nie uczynili tego. PLO, która deklaruje się jako wyrazicielka interesów i aspiracji narodowych Palestyńczyków, nie próbowała nigdy wywołać zbrojnego powstania, mimo że przy stosunkowo łatwym szmuglu broni byłoby to całkowicie możliwe, gdyby w owej imprezie mogła liczyć na poparcie mas arabskich. Miasta na Zachodnim Wybrzeżu, w których mieszka więcej niż 50 % ludności arabskiej, są gęsto zaludnione. Gdyby powstanie wybuchło (np. w tak niepomyślnym momencie dla Izraela jak pierwsze dni wojny w 1973) i objęło płomieniem wszystkie ośrodki arabskie, można sobie wyobrazić pod jak straszliwą presją znalazłby się rząd Izraela. Prawdopodobnie — mając do wyboru

2. W latach przedwojennych organizowano wysyłkę i osiedlanie emigrantów żydowskich do Palestyny, pozostającej pod władzą mandatową Wielkiej Brytanii, poprzez wykup ziemi obszarniczej, należącej do zamożnych Arabów, którzy przebywali w Syrii lub Libanie. Ci trudnili się innymi zyskownymi interesami, pozostawiając w swych majątkach drobnych arabskich dzierżawców. Organizacje syjonistyczne w owych latach skupywały te majątki, rugując z nich dzierżawców i osadzając przybyłych z Europy Żydów. W ten sposób odbyła się kolonizacja tej części przedwojennej Palestyny, zamieszkałej obecnie gęsto przez Izraelczyków.



masakrę ponad milionowej ludności lub bezwarunkową ewakuację terenów okupowanych — zmuszony byłby wybrać tę drugą alternatywę. Ani powstanie, ani masowy opór ludności nigdy jednak nie wybuchły, ponieważ PLO nie ma rzeczywistego masowego poparcia arabskiej ludności. Przy pomocy gróźb i terroru można zmusić właścicieli do zamykania sklepów, stwarzając pozór, że cała ludność Zachodniego Wybrzeża popiera PLO, ale nic nie zmieni faktu, że posługiwanie się przez PLO indywidualnym terrorem nie świadczy o jej sile, ale o słabości. PLO potrafiła znacznie efektywniej sterroryzować drobną i średnią burżuazję arabską Zachodniego Wybrzeża nie rząd izraelski. Ale terror, nawet najbardziej skuteczny, nie jest probierzem popularności w masach. Na zdjęciach ukazywanych w prasie lub amerykańskiej TV publiczność z rzadka ma okazję zobaczyć PLO-owskich demonstrantów powyżej wieku szkolnego. Ci starsi potępiają panowanie izraelskie, ale nie myślą angażować się czynnie. Cała ludność Zachodniego Wybrzeża w jednym jest tylko zgodna: nie chcą mieć u siebie, ani tym bardziej nad sobą żydowskich emigrantów. Ale państwa palestyńskiego nie pragną. Mają do tego jeszcze dodatkowy powód. W Galilei — nie będącej częścią terenów okupowanych — spory procent ludności arabskiej to chrześcijanie. Ci, choć nie lubią Izraelczyków, pamiętają o niewesołym losie swych współwyznawców w Libanie i o tym co może ich spotkać z rąk „wyzwolicieli Palestyny".

W późnych latach trzydziestych, gdy rozpoczęła się masowa emigracja Żydów do Palestyny, Arabowie wszczęli rozruchy przeciw popieraniu tej emigracji, ale bynajmniej nie przeciw panowaniu angielskiemu. Być może — odpowie ktoś — wśród Palestyńczyków nie dojrzało jeszcze wówczas poczucie odrębności narodowej i że obecnie mają takie same aspiracje do samodzielnego bytu jak Libijczycy, Irakczycy lub Jordańczycy. Jeśli „takie same" — to zgoda, ponieważ wcale nie wierzę w poczucie odrębności narodowej wymienionych wyżej pseudo-nacji. Nie kładę do jednego kosza wszystkich narodów arabskich. Przyznaję, że nie można podobnej miary stosować wobec Algierii, Maroka, Egiptu, Syrii lub Libanu. Ale spora liczba państw czarno-afrykańskich i arabskich nie powstała bynajmniej jako wyraz pragnień ludności. Zostały one zainstalowane przez miejscowych polityków i inteligentów pod auspicjami byłych mocarstw kolonialnych.

Mit o prawach Palestyńczyków do własnego niepodległego państwa, który tak łatwo i lekko przełknęło wiele krajów i rządów „ze Związkiem Radzieckim na czele", szczególnie kwalifikowanym do gwarantowania niepodległości narodów — jak każdy polityczny fenomen ma swoją genealogię. Uraz, jaki wywołuje

w arabskim świecie samo istnienie Izraela, musi być wstydliwie i skrupulatnie kamuflowany. Nie można przecież otwarcie przyznać ani wobec siebie samych, ani wobec świata, że 100 milionów Arabów nie może tolerować w obrębie swego rozległego świata mikro-kraju, który tylko dzięki swej dynamice, energii, pracowitości i poświęceniu osiągnął sukces takich rozmiarów. Odrzucenie tego sukcesu byłoby zbyt ciężkim upokorzeniem dla Arabów, dumnych ze swej tradycji i przeszłości — wprawdzie dawnej i nieco przywiędłej, ale zapisanej trwale na kartach historii. Dlatego chęć zniszczenia Izraela musi być maskowana nie tylko tym, że Izrael prowadzi politykę osiedleńczą i niezgodną z zasadami moralności i humanitaryzmu. Racja, uzasadniająca wymazanie Izraela z mapy świata, musiała być wsparta czymś nierównie bardziej druzgocącym: odmawianiem prawa do niepodległości narodowi palestyńskiemu. Zarzut, że Żydzi stworzyli własne państwo kosztem zanegowania elementarnego prawa, które przyznali sobie samym. Zarzut ciężki — bo oznaczający grabież cudzej niepodległości dla zabezpieczenia własnej. W tym kontekście zniszczenie Izraela oznaczało przywrócenie prawowitemu posiadaczowi jego własności. I to własności skradzionej nie przez sąsiada, ale przez intruza, przybyłego z obcych i dalekich stron. Pod tym więc rzekomym hasłem — walki o prawa dla niepodległej Palestyny — kraje arabskie toczyły przez blisko 30 lat wojny z Izraelem. Zdziwieniem może napawać łatwość z jaką wielu ludzi uległo temu mitowi. Mitowi — tym bardziej nieprawdopodobnemu, że choć wielu mogło w istocie wierzyć w „niezaprzeczalne prawa Palestyńczyków do posiadania własnego państwa", nikt nie powinien być na tyle naiwny, by przyjąć tę zgoła nieprawdopodobnie brzmiącą bajkę o solidarności arabskiej, która kazała im toczyć krwawe boje w obronie swych pobratymców. Znając łatwość z jaką poszczególne arabskie grupy etniczne skaczą sobie do gardła, zdrowy rozsądek nakazywał wątpić w tę solidarną miłość do „palestyńskich braci", w obronie których Arabowie gotowi byli rzekomo przelewać krew. To nie miłość do Palestyńczyków cementowała ich wspólny front, ale nienawiść. Państwa arabskie nie dlatego dążyły do zniszczenia Izraela, by umożliwić Palestyńczykom niepodległy byt, ale po to zamierzały i zamierzają stworzyć państwo palestyńskie, aby zniszczyć Izrael.

Wyłamanie się Egiptu z solidarnego frontu antyizraelskiego jest w tych warunkach manną, która spadła Żydom z nieba. Że jest to również manna, która spadła Amerykanom, jest sprawą o tyle ważną, że wszyscy trzej partnerzy powinni dbać o to, by nie została zmarnowana. Najmniej przysłużył się sprawie zachwiania tej blisko-wschodniej flanki sowieckiej, przez wyrugowanie



z niej najważniejszego ogniwa — Carter. On to właśnie ponad półtora roku temu spreparował deklarację, która oddawała sprawę Bliskiego Wschodu pod obrady Konferencji genewskiej. Treść tej deklaracji — wedle słów senatora Daniela Moynihana — była niemal dosłownym tłumaczeniem tekstu sowieckiego. Prezydent Sadat był natomiast tym, który uniemożliwił kapitulację bliskowschodnią Ameryki wobec Sowietów i rzucił wezwanie zarówno Sowietom jak i całemu światu arabskiemu.

Słusznie ocenia się pakt egipsko-izraelski jako początek niezmiernie ciężkiej drogi wiodącej do pokoju. Najważniejszy i najbardziej konfliktowy w tym traktacie rozdział — przyszłość Zachodniego Wybrzeża — ujęty został w tak wieloznacznych terminach, że jest to właściwie karta podpisana *in blanco*. A ponieważ obecne *status quo* jest stanem posiadania Izraela, Egipt był tym partnerem w rokowaniach, który poszedł na ustępstwa. Osobiście sądzę, że Sadat nie jest tym, który pragnie niepodległego państwa palestyńskiego, ponieważ po wyłamaniu się z frontu arabskiego zbyt mocno związał już swe losy z Zachodem. Natomiast należy na pewno do tych trzeźwych polityków, którzy oceniają realnie niebezpieczeństwa związane z regulowaniem przyszłości Zachodniego Wybrzeża. Sprawcą tych niebezpieczeństw — zagrażających w ostatecznym rachunku istnieniu Izraela — jest sam Begin. Jeśli będzie w dalszym ciągu realizował próby zasiedlenia Judei i Samarii przez Żydów po to, by po zmajoryzowaniu w niej Arabów uczynić z Zachodniego Wybrzeża integralną część Izraela, to w konsekwencji doprowadzi do groźnych powikłań. Ludność arabska w przeszłości udowodniła, że w walce z żydowską polityką osiedleńczą zdolna jest do ofiar i do zbrojnego oporu. Dla partii Mapai — poprzedniczki obecnego rządzącego stronnictwa Likud, zajęte terytoria, z wyjątkiem wschodniej Jerozolimy, były obszarami przetargowymi, poprzez oddanie których rząd Izraela liczył na uznanie i bezpieczeństwo swych granic. Nie jestem pewien czy rządy Goldy Meir, Rabina, Pereca uczyniły wszystko, by tę szansę wykorzystać i zjednać dla siebie Jordanię — najsłabsze wówczas ogniwo frontu antyizraelskiego[3]. Wiem natomiast, ponieważ Begin nie ukrywa swych zamiarów, że obecny rząd Izraela czyni wszystko, aby te szanse zaprzepaścić. W tych warunkach obecna administracja carterowska, działając wspólnie z europejskimi sojusznikami, powinna dołożyć wszelkich starań, aby położyć kres tej samobójczej — z punktu widzenia bezpieczeństwa Izraela i interesów strategicznych Zachodu

3. A te możliwości były dopóki konferencja państw arabskich w Rabacie nie uznała PLO jako jedynej reprezentatki wszystkich Palestyńczyków — w tym tych, którzy zachowali na ziemiach okupowanych paszporty obywateli Jordanii.

— polityce. W swoich próbach wywierania nacisku Carter może liczyć na poparcie opozycji w Izraelu. Sądzę, że jest tam wystarczająca ilość rozsądnych ludzi, którzy przeciwni są kształtowaniu przyszłości tego kraju w oparciu o proroctwa Starego Testamentu.

Myślę też, że wbrew chwilowym sukcesom nauki Mahometa i powstaniu Republiki Islamskiej w Iranie w trybie *quasi*-sowieckiego głosowania, wszystkie państwa teokratyczne prowadzą swe narody na niezmiernie śliskie ścieżki.

*Zbigniew BYRSKI*

**Nowy Jork, 2 kwietnia 1979 r.**

# Widziane z Brukseli

## A JEDNAK SIĘ KRĘCI

**Motto: „Zachód już tylko bezskutecznie szuka takiej formy agonii, która by była godna jego przeszłości..."**

**E. M. Cioran, *Sylogizm goryczy*.**

**Pisane 13 (w piątek) kwietnia 1979 r.**

Pewnego dnia roku 1934 sowiet miasta Moskwy zarejestrował związek małżeński zawarty między panią Sylwią de Bondini, malarką, obywatelką włoską, a panem Jean Monnet, obywatelem francuskim, bankierem amerykańskim, dyplomatą angielskim, urzędnikiem instytucji międzynarodowych zamieszkałym czasowo w Chinach. Tuż po ceremonii w Moskwie (panna młoda była rozwódką, a Włochy nie uznawały rozwodów), pan względnie młody (w chwili ślubu miał już 46 lat), oświadczył: „Jest to najlepsza transakcja międzynarodowa jaką kiedykolwiek zawarłem".

Jean Monnet się mylił. Zwolniony z wojska w 1914 roku z powodu złego stanu zdrowia, Monnet umarł 16 marca 1979 roku, w wieku lat 91, przeżywszy wszystkie wojny jakie przewaliły się przez świat w ciągu pierwszych trzech kwartałów XX-go wieku. W ciągu drugich 46 lat swego życia, Monnet zawarł wiele udanych transakcji międzynarodowych, ważniejszych i bardziej udanych (dla świata nie dla niego) niż jego własne małżeństwo.

### *Pierwsze gwiazdy*

Monnet był wnukiem i synem wielkich kupców winem, wyspecjalizowanych w handlu koniakiem. Jest to pochodzenie zapładniające i Monnet zwykł był mawiać, że pierwsze gwiazdy, które rozświetlały mu drogę, to były gwiadki z nalepek na butelkach ojcowskiego koniaku. Nie były to, jak się potem okazało, gwiazdy najgorsze. Monnet nie zdał nawet matury (jedyne jego tytuły naukowe to doktoraty *honoris causa* największych uniwersytetów świata) co nie przeszkodziło mu skutecznie poprowadzić interesy ojca i Europy. Starszy brat zajął się rynkiem francuskim, Jean-koniakowym rynkiem zagranicznym. Pierwsza jego podróż w 1914 roku do Kanady zadecydowała o reszcie kariery. Kiedy Princip strzela do Ferdynanda aby „wybuchnąć" pierwszą wojnę światową, Monnet jest w Montrealu. Od razu wchodzi w interesy z, bagatela, Towarzystwem Zatoki Hudsona, które już od roku 1670 ma zwyczaj robić kolosalne transakcje międzynarodowe. Monnet wymienia koniak za futra, i otrzymuje zarazem pełną lekcję ekonomiki światowej, poznaje sposób działania wielkich karteli, banków, szkodliwość barier celnej, ludzkiej, handlowej...

Reszta poszła już logicznie. Życie rzuca go w najbardziej zaskakujące sytuacje. W 1916 roku Monnet tworzy komitet współpracy francusko-brytyjskiej, który pozwala poważnie ograniczyć marnotrawstwo w dostawach na front. Po wojnie (pierwszej) Monnet jest kolejno zastępcą sekretarza generalnego Ligi Narodów (rezygnuje kiedy okazało się, że jest to tragi-komiczne nieporozumienie), uzdrowicielem finansów Polski, Chin, Szwecji (po krachu Kreugera). W czasie wojny (drugiej) stara się w Londynie sklecić unię francusko-brytyjską, ale megalomania De Gaulle'a (państwa, mawiał generał, nie mają przyjaciół, mają partnerów) oraz imperialne złudzenia Churchilla ośmieszają pomysł, więc rozczarowany Monnet wyjeżdża do Waszyngtonu jako szef ... brytyjskiej misji zakupów. Kto zna zarozumiałość Churchilla i drażliwość Albionu potrafi to ocenić. Zakupując dobrze, dużo i tanio dla Anglii, Monnet przydaje się jednak przede wszystkim Ameryce. Jest współautorem „Victory Program", planu który oszołomił nawet Amerykanów. Roosevelt nie zaakceptował planu Monnet'a aż do Pearl Harbour, ale gen. Marshall powie potem: „Jean Monnet skrócił wojnę o cały rok".

De Gaulle naturalnie nie lubi i nie ufa Monnetowi, którego podejrzewa już wtedy — i słusznie — o tendencje ponadnarodowe (później nie wymieniał go nawet z nazwiska, a tylko jako „inspiratora"), mianuje go jednak ministrem w pierwszym rządzie powojennym a następnie powierza mu stanowisko (jak zwykle wymyślone przez samego Monnet'a) pierwszego komisarza planu.

Monnet nareszcie dostał do ręki instrument niezbędny dla realizacji niektórych swych zamiarów. Jego filozofia była prosta i wynikała z nagromadzonego ogromnego doświadczenia politycznego i ekonomicznego. Na długą metę nie można, mówił Monnet, zachować pokoju i dobrobytu wewnątrz państw, stosując równocześnie siłę i przemoc w stosunkach międzynarodowych. Wielkie

sprawy powojennego świata mogą być rozwiązane wyłącznie w kolektywny sposób i w skali międzynarodowej. Trzeba skończyć z wojnami europejskimi, które prowadzą wyłącznie do zniszczeń a nie rozwiązują niczego, i trzeba stworzyć bardzo wielki rynek producenta i konsumenta. Bez pokoju i bez takiego rynku, inaczej mówiąc bez pokojowego, racjonalnego i dobrowolnego obalenia barier, nie będzie można wykorzystać i zastosować piorunujących postępów nauki i technologii. Zastosowanie tych postępów jest jednak nieodzowne jeżeli demokratyczna Europa chce ocalić *à la fois* i swe tradycyjne wartości demokratyczne i swe szanse sprostania przyszłości. Nie chodzi o sztukę, chodzi o życie. Wszystko to nie jest jednak możliwe przy użyciu wyłącznie tradycyjnych instrumentów typu trust, kartel czy firma rodzinna, a poprzez nową dyscyplinę produkcji i zbytu, poprzez planowanie postępu i jego umiędzynarodowienie, inaczej mówiąc poprzez przekazanie części uprawnień zastrzeżonych dla XIX-wiecznego typu państwa na rzecz specjalnie w tym celu powołanych nowych instytucji ponadnarodowych.

Monnet nie miał w sobie nic z dyktatora, ani technokraty, nie otaczał się papierami, ani biurokratami, nie rozkazywał, a przekonywał, nie decydował sam a namawiał innych, nie chciał rządzić, wolał mieć wpływ, wiedział gdzie jest władza, ale wolał być w kulisach. Był mało znany nawet we Francji (może przede wszystkim we Francji), ale z dyskretnego oddalenia miał więcej władzy niż politycy stale obecni w kronikach filmowych. Nie obrażał się, a nudził aż do skutku. „Moja babka, powiadał, kiedy widział znużenie rozmówców, przezywana była przez sąsiadów Marią-nudziarą. Ja to odziedziczyłem".

9 Maja 1955 roku francuski minister spraw zagranicznych Robert Schumann przygotowywał się do wygłoszenia przemówienia z okazji 10-tej rocznicy końca Hitlera. Na chwilę przed wejściem na mównicę dostał kartkę od Monnet'a. Na kartce było tylko 15 wierszy maszynopisu, trzy zdania, które Monnet proponował włączyć do przemówienia Schumanna. Tak powstała Europa. 15 wierszy Monneta zawierały projekt utworzenia Wspólnoty Węgla i Stali. Rok później wspólnota działała, a sześć lat później — nie bez udziału Monneta — w Rzymie podpisane zostały dwa inne układy o utworzeniu Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej i Euroatomu. W 1973 roku do sześciu krajów założycielskich (Francja, Włochy, RFN, Belgia, Holandia i Luksemburg) doszlusowały trzy następne (Wielka Brytania, Dania i Irlandia), w latach 80-tych dojdą już zapisane Grecja, Hiszpania i Portugalia.

### *Ślepa sytość*

Pierwsza faza działania wspólnego rynku, powitanego z nadzieją w Europie Zachodniej („idzie świetlana przyszłość" pisali edytorialiści), z wrogością w ZSSR („ramię gospodarcze amerykańskiego imperializmu" napisała natychmiast *Prawda)* i ze sceptycyzmem w USA („prosimy o 30 wierszy co to jest wspólny rynek", depeszował *New York Times* do swego korespondenta w Brukseli) przyniosła fantastyczne rezultaty.



Pokój i dobrobyt w Europie Zachodniej znalazły nareszcie teoretyczne uzasadnienie i praktyczne możliwości. „Wojna między Francją a Niemcami, to w istocie wojna domowa, niszcząca oba kraje i całą Europę", powiedział dawno Marks, ale dopiero w świetle działania EWG zdanie to nabrało sensu i wiarygodności. „Łączmy nie tylko kraje, ale i ludzi", powiedział Monnet. Żaden zachodni Europejczyk o zdrowym umyśle, z wyjątkiem kilku cynicznych demagogów z francuskiej prawicy i lewicy, nie traktuje dziś poważnie groźby niemieckiej dominacji politycznej. Padły granice, zniknęły paszporty. Normalny mieszkaniec Zachodu porusza się dziś przy pomocy skromnego dowodu osobistego (a czasem i bez), którego zresztą przeważnie nie używa, chyba, że ma bardzo długie włosy, bardzo stare jeans'y i niechlujny wygląd, co wzbudza nieufność celników.

Powstał ogromny rynek najpierw 192, potem 260 (jutro 350) milionów producentów i konsumentów. Lata 1958-1972 to okres ekspansji bez precedensu. Podarujmy sobie statystyki, część czytelników im nie wierzy, reszta ich nie rozumie, a wszystkich one nudzą, ale trzeba powiedzieć, że w ciągu tych 15 lat produkt narodowy brutto (to na Zachodzie najbardziej generalny wskaźnik) wzrósł w sześciu krajach EWG o 90 %, pociągając za sobą odpowiedni wzrost stopy życiowej. W USA, w tym samym czasie, choć i one były wszak w fazie wstępującej, PNB wzrósł tylko o 61 %, pociągając za sobą odpowiedni wzrost stopy życiowej. Samochody, telewizory, telefony, dacze itd., itp., nie warto nawet mówić. Rolnictwo, ta najbardziej, także na Zachodzie, zacofana dziedzina gospodarki, biło wszystkie rekordy wydajności. Rosły góry nadwyżek, które zamiast drogo płacić za magazynowanie, wysyłano za pół ceny na wiecznie głodny Wschód. Padły granice zawodowe, powstał wspólny i wolny rynek pracy dla obywateli EWG, nie mówiąc już o milionach robotników z krajów niedorozwiniętych (Belgowie, Francuzi i inni odmawiali czarnej roboty). Ostra ale kontrolowana konkurencja utrzymywała ceny w przyzwoitych granicach, handel wspiął się na fantastyczną wysokość, EWG stała się największym kupcem świata.

„Płuca handlowe globu", powiedział ktoś i się nie mylił: 40 % handlu światowego skupiało się w kilku krajach Europy Zachodniej, z czego połowę stanowił handel wewnątrz wspólnego rynku! Niech nikt nie wierzy w bujdę o roli USA jako lokomotywy tego zjawiska. USA kupowały w EWG mniej niż Szwecja i Szwajcaria. Sama mała Belgia kupuje w EWG więcej niż całe USA.

Zapanował dobrobyt oraz całkowita beztroska. Wszystkie sygnały z dalekiego świata, Europa odganiała jak natrętną muchę. „Moja chata z kraja", mówił syty burżuj. Syty i ślepy.

*Na kolanach*

W pewien dzień październikowy roku 1973 Europa obudziła się na kolanach. Strzelił naftowy piorun. Wszystko się zachwiało. „Nafta rządzi światem", napisał Zischka w latach 30-tych. 50 lat później potężna i skomplikowana struktura europejska o mało nie utonęła w nafcie. Strzały na Synaju oznajmiły koniec wieku taniej energii. Gigant na naftowych nogach padł od pierwszego podejścia. Zaczął się kryzys.

Bezrobocie w EWG z 2 „normalnych" milionów w latach 1960-1970 skoczyło do sześciu milionów. Inflacja z przeciętnie „normalnych" 3,3 % w latach 1957-1973 skoczyła do 13 % w 1974 i ok 8 % w 1978. Stopa rocznego wzrostu oscylująca ok. 5 % w latach 1960-1970, spadła w EWG w latach 1974-1977 do poniżej 2 %, nieco więcej w 1978 roku. Masa amerykańskich dolarów krążąca po świecie zaczęła wyczyniać zwariowane akrobacje, dezorganizując rynek walutowy i stabilność handlu międzynarodowego. Lawina petrodolarów arabskich, jak czarna chmura zaczęła grozić już nie wykupieniem a wręcz wyduszeniem kapitalistycznego świata.

Pojawiły się zatrute owoce kryzysu: ostre napięcia społeczne, gniewne masy bezrobotnych, wybuchowe nastroje wśród młodych z dyplomami ale bez zajęcia, ślepy i morderczy terroryzm polityczny, jak we Włoszech czy RFN, regionalny jak u Basków... Wszystko to rzuciło wyzwanie liberalnej demokracji, wyzwanie tym bardziej niebezpieczne, że tradycyjne struktury rządzenia nie potrafiły zdać egzaminu kryzysowego. Przykład Belgii ,która z powodu różnic flamandzko-walońskich nie była w stanie utworzyć rządu przez 4 miesiące i przykład Francji, gdzie w imię ordynarnych interesów wewnątrz-wyborczych politycy spod znaku Chiraca czy Marchais wskrzeszają straszak niemiecki, podczas kiedy oba kraje powoli ale nieuchronnie grzęzły w bagienku, są pod tym względem wystarczająco wymowne. Włochy i Anglia zafundowały sobie ekstra wybory do własnych parlamentów akurat w chwili kiedy cała uwaga powinna była się skupiać na wyborach europejskich itd., itp.

Europa roku 1973 była więc na kolanach. Wydawało się, że nic jej nie ratuje, że po prostu nie zdzierży. Wysublimowani intelektualiści zajmowali się już tylko wyszukiwaniem odpowiednich cytatów, żeby godnie wejść w agonię (patrz motto). Kafka, to jasne, wrócił do mody. „Przeżywamy już tylko długi beznadziejny upadek, przypomniano genialnego Franza. Nie żyjemy w świecie zniszczonym, żyjemy w świecie zgniłym...", E. M. Cioran, zacytowany na wstępie rumuński z pochodzenia, francuski z wyboru współczesny teoretyk „awersji wobec tych wszystkich wystarczająco naiwnych, aby wierzyć w postęp i wystarczająco ślepych aby działać z nadzieją na lepsze..." stał się bardem chwili. „Drzewo życia nie zazna już wiosny, cytowano tego natchnionego myśliciela, to uschnięte drzewo. Zrobi się z niego trumny na nasze kości, nasze sny i nasze cierpienia".

Powoli, nie na wszystkie kości.



*Wstrząsnąć przed rozsypaniem*

To prawda, że Europa zbladła i sczezła, że wygrzeczniała, że poznała gorycz zależności od feudalnych szeików, że zachowała się kilka razy niegodnie, że los niektórych jej naturalnych sojuszników, np. Izraela, tej jedynej demokracji naszego typu na południe od Sycylii i Korsyki, stał się funkcją centralnego ogrzewania w Paryżu czy Rzymie, że w nafcie, która najpierw przestała płynąć a potem poczwórnie zdrożała utonęły sny o potędze...

Ale, uwaga, choć kryzys uderzył ostro i z nienacka, Europa się nie rozsypała, tak jak to było np. w czasie kryzysu lat 30-tych. Odwrotnie, to właśnie w czasie kryzysowych napięć ujawniły się wartości i przydatność europejskiej integracji. Mimo wszystkich dramatycznych konfliktów, mimo ogłupiałych parafialnych kaftanów i hamulców, mimo biurokratycznych karykatur i niezdarności, EWG nie pozwoliła swym członkom pójść na dno, ani Włochom, które otarły się o śmierć demokracji, ani Anglii, która doszła do 30 % inflacji, ani Francji, gdzie bezrobocie rosło o 100.000 rocznie, ani całej wspólnocie, gdzie coraz mocniej ujawniały się tendencje protekcjonistyczne i nacjonalistyczne.

Nigdzie, w żadnym kraju EWG, z wyjątkiem niektórych kategorii bezrobotnych, stopa życiowa nie spadła, wszędzie rosła bardzo powoli albo mniej powoli, ale rosła. Np. sprzedaż samochodów bije wszystkie rekordy, liczba właścicieli nieruchomości rośnie bez przerwy, wszędzie następuje wzrost turystyki itd. PNB Niemiec zachodnich równy jest dziś, po 5 latach kryzysu, łącznemu PNB sześciu państw sygnatariuszy traktatu rzymskiego. Francja ma dziś PNB większy od 41 krajów na południe od Rio Grande z Brazylią włącznie i większy od całych Chin. Francja i RFN razem mają PNB większy o prawie 20 % od ZSSR. Cztery kraje europejskie, Szwecja, Szwajcaria i Norwegia, jak najściślej gospodarczo związane z EWG i Dania, członek EWG, mają już dziś stopę życiową wyższą od USA. Stopa życiowa Francji i RFN w 1950 roku sięgała zaledwie 1/3 poziomu USA, w 1976 roku, mimo kryzysu, stanowiła już 3/4, a dziś są jeszcze bliżej.

Dosyć wyliczanki, nie są to, jak na ciężki kryzys i niewątpliwe gnicie tradycyjnego kapitalizmu, referencje najgorsze. EWG pozornie się wali, ale ciągle kontroluje 40 % handlu światowego. EWG pozornie rozpada się, ale stoją do niej w ogonku Hiszpania (10-ta potęga przemysłowa świata), oraz Grecja i Portugalia. Chiny upatrują w EWG bardzo poważny czynnik w polityce międzynarodowej, w Brukseli jest coraz więcej chińskich kucharzy

z Hong Kongu i dyplomatów z Pekinu. Mimo oficjalnej pogardy dla kapitalistycznego chaosu i straszliwej doli EWG-owskiego robotnika (jak napisał Kisiel w świetnym felietonie dla brukselskiego *Le Soir* — stanowi to podstawową troskę prasy w PRL) w siedzibie EWG w Brukseli nie zamykają się drzwi za emisariuszami ze Wschodu.

Od kilku lat idzie już dialog głuchych między EWG a RWPG. Moskwa chciałaby uzyskać dla sekretariatu RWPG statut równy Komisji EWG i uzyskać uprawnienia w dziedzinie kontroli handlu Wschód-Zachód. Takiego porozumienia nie będzie, EWG, której komisja zarządzająca ma określone prerogatywy ponadpaństwowe, np. posiada formalnie wyłączną reprezentację dziewiątki w negocjacjach handlowych z państwami spoza EWG, nie ma ani powodu ani zamiaru nobilitować sekretariatu RWPG, przyznając mu takie uprawnienia, jakich mu nie chcą dać niektóre jego państwa członkowskie. Oddzielnie zaś biorąc, państwa wschodnie, m.in. Polska, zabiegają usilnie o polepszenie warunków handlowych z EWG, otwarcie rynków dla bubli ze wschodu, obniżenie taryf celnych i powiększenie kontyngentów towarowych, jakie EWG stosuje wobec państw trzecich. Nie wypada nawet wspominać o stronie finansowej: ponad 50 miliardów zadłużenia dewizowego, przede wszystkim w Zachodniej Europie (sama Polska — ok. 15 mld.). Rumunia, najbardziej drańska, ale najbardziej cwana z KDL-eli, jest obecnie w trakcie bardzo delikatnych ale i bardzo ważnych pertraktacji z komisją EWG: ostrożnie i dyskretnie Ceausescu idzie ku układowi dającemu Rumunii faktyczną niezależność od Moskwy w stosunkach gospodarczych z EWG!

Robiąc notatki do tego wypracowania, spotkałem gdzieś w uczonej prasie wschodniej *à propos* EWG długi cytat z „Rozważań nad historią powszechną" Jakuba Burckhardta (tłumaczenie i streszczenie moje): „W naturze zniszczenia są zawsze wynikiem działania z zewnątrz: katastrofy lądowej lub klimatycznej, likwidacji gatunków słabszych przez silniejsze, bardziej szlachetnych przez bardziej prymitywne. W historii jednak upadek poprzedzony jest zawsze dekadencją wewnętrzną. Lekki wstrząs zewnętrzny wystarczy wtedy, aby wszystko zburzyć...".

*Dlaczego się nie wali?*

No to na co czekają? Dlaczego nie następuje lekki wstrząs? Dlaczego nie wystarczyły nawet silne wstrząsy? Dlaczego na Wschodzie, gdzie nie ma kryzysu ani dekandencji wystarczy zima, albo podwyżka cen, aby prawie wszystko zburzyć a na zachodzie Europy bardzo ciężki kryzys niczego nie zburzył? Czyżby EWG zdała egzamin? Jak to było możliwe?

Po pierwsze, dzięki ludziom, którzy tak jak Monnet za Camusem mawiali, że „zbyt kochają swój kraj, aby być nacjonalistami". I po drugie, dzięki instytucjom, które ci ludzie stworzyli,



i u których podłoża tkwiła świadomość sformułowana przez Monneta właśnie: „Suwerenne narody nie potrafią już, jak to bywało w przeszłości, same rozwiązać problemów współczesności, nie mogą już w rozsypce ani zapewnić postępu, ani pokierować przyszłością. Tak jak kiedyś nasze prowincje, tak dziś nasze kraje muszą nauczyć się żyć razem pod wspólnym prawem i pod dobrowolnie utworzonymi instytucjami".

Takich instytucji jest bardzo dużo, ale sześć warto poznać.

**1)** Komisja zarządzająca stanowi organ wykonawczy EWG. 9 państw deleguje 13 komisarzy, wielkie po dwóch, małe — jednego. Komisarze, pełniący funkcje porównywalne z ministrami, desygnowani są w zasadzie na 4 lata, czasem na krócej, czasem na dłużej, zależy od szans w domu. (kilku obecnych premierów i ministrów przeszło przez Brukselę). Teoretycznie, komisarze działają wyłącznie w interesie wspólnoty, w rzeczywistości ciążą na nich presje narodowe i nawet partykularyzmy partyjne i rządowe państw, które ich wysłały i od których zależy w istocie ich los. Podział tek komisarycznych jest bardzo misterną operacją, często sprzeczną ze zdrowym rozsądkiem. Wicehrabia Davignon jest bardzo wybitnym belgijskim dyplomatą, naprawdę dobrym fachowcem od polityki zagranicznej (co nie zawsze idzie w parze), dobrym znajomym prof. Brzezińskiego. Davingnon „musiał" opuścić belgijski MSZ, gdzie był dyrektorem generalnym, ale za to dostał się do komisji EWG, gdzie odpowiada za sprawy... przemysłowe, z którymi jego uprzedni kontakt sprowadzał się tylko do posiadania akcji. Ministrem spraw zagranicznych EWG jest natomiast p. Haferkamp, niemiecki zasłużony działacz związkowy. Na tym fotelu p. Haferkamp zasłynął z bardzo względnej pracowitości *(he is not a morning man,* mawiają jego współpracownicy) i z ogromnej rozrzutności absolutnie nie syndykalno-robotniczej, funduszami służbowymi i reprezentacyjnymi.

Aparat komisji składa się z 8.000 urzędników, „apatrydów" według De Gaulle, „eurokratów" według Marchais, podzielonych między 21 branżowe dyrekcje generalne. Władzy na co dzień nie sprawują komisarze, a ich gabinety. Są to tajemniczy osobnicy, pozostający stale w cieniu szefów, posyłający karteczki w czasie konferencji prasowych, lub szepcący do ucha w czasie posiedzeń. Oznaką władzy gabinetów jest fakt, iż są one usytuowane na 13-tym piętrze gmachu Barlaymont (nazwa pochodzi od klasztoru, który znajdował się kiedyś na miejscu gdzie dziś wznosi się szklano-betonowa gwiazda gmachu komisji EWG), jedynym piętrze gdzie, o ludzka próżności, okna się otwierają i gdzie można oddychać świeżym powietrzem i nie być skazanym na klimatyzowane upały w lecie a mrozy w zimie. Proszę się nie śmiać! „to nie klimatologia, a polityka", mówią eksperci.

**2)** Rada Ministrów EWG stanowi organ decydujący, ustala wytyczne dla Komisji, składa się z narodowych ministrów branżowych, przewodzictwo sprawują państwa członkowskie na zasadzie 6-ciomiesięcznej rotacji. W przerwach między posiedzeniami RM, pracuje ciało stałe COREPER, czyli rada szefów misji 9-tki przy EWG oraz sekretariat generalny Rady Ministrów (1.500 apatrydów). Trzy razy do roku (dwa razy w stolicach rotacyjnych, i raz w Brukseli) zbiera się szczyt europejski lub Rada Europejska, z udziałem szefów rządów. Szczyt polega na tym, że wymyśla rzeczy mniej lub bardziej nierealne, ale niezbędne jako hasła mobilizujące masy. Nawet jednak szczyt nie potrafił wymyśleć mobilizującego sposobu pisania o tajemnicy ustalania ceny pietruszki, subwencji rolnych czy kompensat walutowych.

Rada Ministrów podejmuje decyzje w zasadzie większością głosów a tylko w najważniejszych sprawach obowiązuje jednomyślność. Ponieważ o tym co i dla kogo jest najważniejszą sprawą decyduje sam zainteresowany, więc faktycznie w RM obowiązuje prawo veta. Siedzibą RM jest gmach Charlemagne, czyli Karola Wielkiego, poprzednika Monneta w dziedzinie idei europejskiej. Charlemagne usytuowany jest tuż obok Barlaymont, z czego jednak wcale automatycznie nie wynika dobrosądziedzki charakter stosunków między Radą Ministrów a Komisją EWG. RM strzeże zazdrośnie egoistycznych uprawnień państwowych, Komisja bije się o rozszerzenie uprawnień ponadpaństwowych, bo to jej racja bytu.

Tak w Komisji jak i w Radzie ministrów funkcjonują sekretarze generalni. Mało znani na zewnątrz, na wewnątrz mocno trzymają cugle, zgodnie z prawem przez nich wymyślonym: „Ministrowie i komisarze mijają, sekretarze generalni zostają".

**3)** Trybunał Sprawiedliwości, sąd najwyższy EWG, z siedzibą w Luksemburgu, składa się z 9 sędziów i 4 prokuratorów mianowanych na sześć lat na wniosek, czyli faktycznie przez państwa członkowskie. Trybunał jest oczywiście niezawisły, ma prawo oceny praworządności każdej decyzji organów EWG i jej zgodności z traktatami rzymskimi. To z urzędu. Może ponadto jednak wypowiadać się na zaproszenie, co do prawidłowości np. układów z państwami trzecimi, i opinia jego ma wówczas moc obowiązującą. W 1977 roku Trybunał rozpatrzył 162 odwołania i wydał 118 orzeczeń. Decyzji Rady Ministrów nie anulował ani jednej.

**4)** Izba Kontroli (9 członków też mianowanych na sześć lat) kontroluje — bo co innego ma robić — budżet EWG. W 1978 roku wynosił on 12 miliardów jednostek obliczeniowych, to taki buchalteryjny trick, który oznacza, że chodzi tu o ok. 16 miliardów dolarów. To nie jest mało nawet przy obecnym kursie dolara. Budżet EWG równa się 2,7 % wydatków wszystkich państw wspólnoty i 0,8 % ich wspólnego PNB. 74 % budżetu EWG idzie na finansowanie i subwencjonowanie gospodarki rolnej, reszta to dotacje socjalne, szkolenie i dokwalifikowywanie, pomoc regionom zacofanym (południe Włoch czy północ Anglii). 6,2 % tych 16 miliardów dolarów pokrywa wydatki administracyjne i personalne, o czym będzie jeszcze mowa...



**5)** Komitet Ekonomiczny i socjalny obraduje w Brukseli, jest organem doradczym, składa się ze 144 przedstawicieli pracodawców i syndykatów oraz grup niezależnych, rolników, wolnych zawodów, konsumentów itd. Komitet formułuje swoje zdanie zanim RM podejmie decyzję, a Komisja kroki wykonawcze, a pogląd komitetu może, ale nie musi, być brany pod uwagę. Przewodnictwo się kręci co dwa lata między państwami i kategoriami zawodowymi, a także między płciami. Obecnie po raz pierwszy przewodniczy kobieta, Włoszka, działaczka związkowa, nie ma żadnych kompleksów i działa skuteczniej, a w każdym razie widoczniej od jej męskich poprzedników. Nic dziwnego, pani prezes nazywa się Fabrizia Glorioso!

**6)** Parlament europejski, z siedzibą w Strasburgu, niesłusznie zwany parlamentem europejskim. Do 10 czerwca 1979 roku będzie to zgromadzenie 198 posłów bez wyborców, delegowanych przez poszczególne parlamenty krajowe. 10 czerwca parlament europejski wybrany zostanie w głosowaniu powszechnym i bezpośrednim we wszystkich krajach wspólnoty równocześnie. Składać się będzie z 410 posłów: po 81 z Francji, RFN, Wielkiej Brytanii i, Włoch, 25 z Holandii, 24 z Belgii, 16 z Danii, 15 z Irlandii i 6 z Luksemburga.

W sekretariacie parlamentu pracuje ok. 1.500 sejmo-eurokratów. Na razie bywało do 12 sesji rocznie, posiedzenia plenarne i komisyjne odbywają się w obecności przedstawicieli organów EWG, którzy zobowiązani są udzielać ustnie lub pisemne odpowiedzi na każdy zadany temat, nie są natomiast zobowiązani respektować poglądów szanownych posłów, a tym mniej wcielać ich w życie.

Wszystko ma się teraz zmienić. Przyszły parlament to wielka niewiadoma i wielka szansa. Idea powszechnych wyborów zawarta była od razu w tekście traktatu rzymskiego z 1957 roku. Trwało jednak 20 lat zanim do decyzji o wyborach doszło. Opóźnienie to wynikło z faktu, że w niektórych krajach EWG idea parlamentu europejskiego stała się stawką w polityce wewnętrznej i zamiast być natchnieniem Europy jest czynnikiem małych parafialnych demagogii.

10 czerwca dowiemy się co z tego wynikło. Na razie jedni mają górne i chmurne pojęcia o przyszłym parlamencie: do

Strasburga wybierają się np. Brandt i Mitterand, Tindemans i Colombo. Panowie Marchais i Debré uważają natomiast, że prerogatywy parlamentu europejskiego stanowią zamach na suwerenność Francji. Zwłaszcza Marchais — który uważa Czechosłowację za państwo absolutnie suwerenne — jest na ten problem specjalnie uczulony. Niektórzy kandydaci spod znaku p. Chiraca, szefa sierot po De Gaulle'u, prowadzą kampanię wyborczą pod hasłem: „Głosujcie na mnie zrobię wszystko aby sparaliżować Europę". Inni widzą w parlamencie europejskim trampolinę do kariery gdzie indziej, inni jeszcze — złotą emeryturę.

W rzeczywistości wybory do parlamentu europejskiego stanowią unikalną szansę zdemokratyzowania, zhumanizowania i ożywienia idei europejskiej. Pewnie, byłoby lepiej, gdyby wybory te odbyły się w okresie pionierskim Europy i w okresie koniunktury. Wyłoniłyby one wtedy zapewne prawdziwy parlament, odważny, odpowiedzialny i naprawdę ponadnarodowy. Niestety, stało się inaczej, Europa zaspała, część pociągu odeszła. Obecne wybory odbywają się więc w okresie zmęczenia wyborców, mających inne zmartwienia, rozczarowanych bezradnością EWG wobec kryzysu. Powaby europejskiej panny młodej z roku 1957 opadły, ale tym ważniejsza jest stawka obecnie. Wybory z 10 czerwca to ostatnia, być może, szansa zerwania technokratycznego cienia, zasnuwającego coraz bardziej obraz Europy.

*Wieża Babel*

Cienia tym bardziej sugestywnego, że w okresie napięć i kryzysów, mocniej ujawniają się wady aparatu europejskiego, jego wyalienowany gettowy i technokratyczno-biurokratyczny charakter. Na pierwszy rzut oka, Bruksela rzeczywiście przypomina wieżę Babel, zaludnioną urzędnikami przemawiającymi niezrozumiałym językiem, prowadzącymi ponadto życie słodkie i rozpustne. Jak jest naprawdę?

15.000 ludzi stanowi dziś aparat EWG, z czego 8.000 mieszka i pracuje w pięknych dzielnicach Brukseli. W zasadzie droga do kariery europejskiej prowadzi przez konkursowy egzamin, w istocie pozycja i awans zależą od rządów państw członkowskich. To one faktycznie decydują o nominacjach na poważniejsze stanowiska. Są już niepisane tradycje, wiadomo np. że dyrekcja generalna rolnictwa należy do Francji, a ekonomii i finansów do RFN. Rzecznikiem i szefem grupy *porte-parole*'ów Komisji EWG jest z zasady Włoch, nawet jeżeli i — tak jak to jest właśnie teraz — pozbawiony on jest specjalnych uzdolnień w tej akurat delikatnej materii.

Na 8.000 urzędników EWG w Brukseli ok. 2.000 to kategoria „A", inaczej mówiąc administracyjna góra (komisarze i dyrektorzy generalni są poza siatką). Obowiązują w zasadzie proporcjonalne kwoty narodowe, ale nie jest to zawsze możliwe. Wielka



Brytania ma 20 % ludności EWG a tylko 14 % urzędników, podczas gdy Belgia (ale to gospodarz) z 3,8 % mieszkańcami ma też 14 % urzędników kategorii „A" i aż 40 % podrzędnych eurokratów i biurw.

Są jednak i minusy. Niebo jest przeważnie szare, życie monotonne, praca w ogromnej większości mało pasjonująca (kwoty połowu dorsza, ceny ziemniaków, przygotowywanie niesłychanie szczegółowych obliczeń dotacji itd.) podziały socjalne bardzo ostre, szanse prawdziwych karier bardzo niewielkie, zależą, jak wszędzie, od protekcji, partyjnej nomenklatury, kumoterstwa, mafii politycznych i kombinacji narodowych, najrzadziej — choć i to się zdarza — od kwalifikacji. Nic dziwnego, że przy komisji EWG utworzono specjalną poradnię przeciwalkoholową, a procent samobójstw wśród samotnych urzędniczek niższego stopnia jest niepokojąco wysoki. Niektórzy twierdzą, że szarm belgijskich donżuanów ma z tym coś wspólnego, ale to na pewno złośliwcy.

Poplątanie językowe stwarza dodatkową barierę dla normalnego Europejczyka. Jesteśmy na granicy paranoi. Jest to kwestia delikatna. Każdy delegat ma prawo mówić i słuchać w swoim języku. Kiedy państw w EWG było sześć — języków obowiązujących było cztery. W dziewięciopaństwowej EWG — takich języków jest sześć. W 12-państwowej EWG będzie ich 9. Czy wiecie co to znaczy? To znaczy, że przy czterech językach, było 12 kombinacji językowych (z każdego na każdy), przy 6 językach kombinacji jest 30, a kiedy będzie języków obowiązujących 9, to kombinacji będzie 72. W każdej sali EWG trzeba będzie zainstalować 9 kabin tłumaczy tłumaczących z ośmiu języków na dziewiąty. EWG zatrudnia już dziś największą armię tłumaczy na świecie, większą niż ONZ, NATO czy UNESCO. Co czwarty pracownik komisji EWG jest tłumaczem, 790 osób tłumaczy w druku, 400 w mowie. Ponad 1 % budżetu EWG i ponad 25 % personalnego budżetu idzie na płace tłumaczy stałych i *free-lance*'ów. Tak jest dziś, a co będzie po dojściu trzech nowych języków, skąd wziąć i czym płacić za tłumaczenie negocjacji cytrusowych z greckiego na portugalski i z hiszpańskiego na irlandzki?

Próbowano użyć komputera, ale okazał się za mało inteligentny. Dano maszynie do przetłumaczenia francuskie zdanie „Duch jest silny, ale ciało słabe", co wyszło po angielsku „whisky jest dobra, ale mięso złe". Może to nieraz odpowiadać prawdzie, ale w pracach EWG może być kosztowne. Ciało jest słabe, powiada językowy komputer. Nie każde ciało. Wspomniany już działacz związkowy Haferkamp, obecnie minister spraw zagranicznych EWG (135.000 dolarów rocznie plus dodatki i fundusz) bawił (to właściwe słowo) niedawno w Pekinie. Prasa angielska (niechętna Niemcom widocznie) zarzuciła mu, że wziął ze sobą tłumaczkę (według źródeł brytyjskich pełniła jeszcze inne funkcje), która znała 5 języków wspólnoty, tylko nie znała chińskiego. „To nie dla Chińczyków, odpowiedział Haferkamp, to dla porozumienia się z resztą delegacji EWG". Pozostaje whisky, która jest dobra.

*Na spotkanie jutra*

Taka Europa i w tym stanie idzie ku XXI-mu wiekowi. Nie będzie to spacerek. Europa coraz bardziej odstaje, ciągle żyje pod znakiem stali i węgla, w cieniu fabrycznych kominów, podczas kiedy Ameryka i Japonia są już w sferze telematyki i komputerów. W zmęczonej, starzejącej i rozdartej Europie zawodzą i mózg i ręce. Do lat 50 Europa, i słusznie, mogła odczuwać kompleks wyższości. Największe wynlazki były dziełem europejskich mózgów: teoria względności, fizyka kwantów i cząsteczek, większość odkryć, będących u postawy wykorzystania energii elektrycznej, aeronautyka, silnik odrzutowy, bomby atomowa i jądrowa, chemia węgla, synteza azotu, szczepienia, chemioterapia, antybiotyki, nowoczesna szkoła matematyczna, wszystko to powstało albo wyłącznie albo przy decydującym udziale geniusza Europy.

Kilka lat wystarczyło aby dobić ten kompleks i rozwiać mity. Dziś nagrody Nobla jadą przeważnie do USA. Dystans się zwiększa, zwłaszcza jeżeli spojrzeć poza teorię, w sferę wykorzystania odkryć naukowych, przede wszystkim w dziale „siła i potęga": informatyka, broń, kosmos, energia jądrowa, satelity komunikacyjne... Po raz pierwszy od stuleci świat idzie naprzód bez udziału Europy: półprzewodniki, obwody zintegrowane, *software*, te cuda nie zawdzięczają już Europie niczego.

Nadeszła chwila prawdy. Spoza ogłupiającego komfortu i tchórzliwego „aby do wiosny", spoza parafialnych podziałów i clochemerlowskich sporów, prawda zajrzała Europie w oczy. Tylko dwa przykłady.

Po pierwsze, idziemy ku zagładzie przez samozatrucie własnego środowiska naturalnego. Polacy, mimo cenzury, znają przykład Bałtyku zamienionego w trujące bagienko. Na Zachodzie jest już gorzej. W EWG gęstość zaludnienia jest największa na świecie — 170 osób na km². 42 % jej mieszkańców pracuje w przemyśle, 50 % w usługach, inaczej mówiąc jest to społeczność prawie całkowicie zurbanizowana. A tym czasem już dziś, a do końca daleko, przeciętne milionowe miasto EWG „produkuje" dziennie 500.000 ton trujących ścieków, które trzeba gdzieś odprowadzać. Już dziś przez połowę dnia w niektórych centrach miejskich hałas sięga przeciętnie (znaczy to, że bywa gorzej) 75 dBA, to znaczy tylko o 10 dBA poniżej biologicznego maksimum, już dziś z 1,5 miliarda ton ropy płynącej tankowcami co roku, 6 milionów ton pozostaje w wodzie morskiej.

Po drugie, Europa Zachodnia znalazła się faktycznie w stanie energetycznego niewolnictwa. 6 % ludności świata spożywa w EWG 16 % energii, ale jej nie produkuje. W 1976 roku EWG skonsumowała 440 milionów ton ropy, z czego wyprodukowała tylko 21 milionów. Proporcje te już się poprawiły dzięki nafcie szkockiej i norweskiej oraz gazowi holenderskiemu, ale i tak EWG



skazana jest na import przez długie lata ponad połowy swej energii, w tym Dania — 99 %, a Belgia — ponad 80 %.

Kryzys irański pogorszył oczywiście sytuację. Oszalały ajatola, uprzywilejowany do niedawna gość Francji, zajmuje się rozstrzeliwaniem ludzi szacha (świeżego doktora *honoris causa* Uniwersytetu Warszawskiego) a nie produkcją i eksportem nafty. Arabscy eksporterzy zakupili najbardziej wykwintny hotel paryski, perłę placu Vendôme „Ritz" i podnieśli w ciągu pierwszego kwartału 1979 roku ceny ropy o 20 %. Ten kaprys szeików oznacza dla EWG dodatkowy wydatek energetyczny 10 miliardów dolarów rocznie, co z kolei oznacza spadek przewidzianej i tak skromnej stopy wzrostu o 1 %, rok opóźnienia w odzyskiwaniu kryzysowego terenu i wzrost inflacji o 1 %.

EWG przeznaczyła 230 milionów dolarów na propagowanie nowych sposobów oszczędzania energii oraz 300 milionów dolarów rocznie przez trzy lata dla subwencjonowania opłacalności wydobycia węgla w RFN i w Anglii (ceny światowe są za niskie). Ale to wszystko półśrodki, prawdziwe rozwiązania mogą przynieść tylko nowe źródła energii: słońce, oceany a przede wszystkim atom. Ciepłownie atomowe pokrywają dziś zaledwie 3 % potrzeb elektrycznych EWG, w roku 1985 powinny dostarczyć ponad 13 % czyli tyle ile dziś już mają USA.

Harrisburg storpedował te nadzieje. Wypadek w siłowni Three Mile Island był katastrofą nie w USA a w Europie. Ekologowie podnieśli alarm, w Belgii burmistrz małego miasteczka nakazał po prostu unieruchomienie ogromnej siłowni atomowej, z powodu nieznajomości przepisów alarmowych. Ludzie się boją atomu, tak jak ich przodkowie bali się maszyny parowej, światła elektrycznego i samolotu. Mniejsza o to skąd idzie inspiracja niektórych spolityzowanych ruchów ekologicznych, ważne, że jak się okazało, stopień poinformowania społeczeństwa o zasadach działania i ryzyku energii atomowej równy jest zeru. W ZSSR ruchów ekologicznych nie ma, tam siłownie atomowe nigdy się nie psują, bo tam jest KGB. W demokracji KGB nie ma, ludzie mają prawo wiedzieć...

*W drugiej grupie*

Żaden kraj europejski oddzielnie takim wyzwaniom nie sprosta: ani chmurze trucizny w naturze, ani szantażowi energetycznemu, ani zachłanności firm ponad narodowych, ani klęsce głodu w trzecim świecie, żeby już nawet nie wspomnieć o sprawach obrony czy dialogu północ-południe.

Świat wymyślił dwa sposoby na ratowanie się społeczeństw przed degeneracją i samounicestwieniem. Po pierwsze, ostry nacjonalizm i totalizm, faszyzm, nazizm albo stalinizm, ale prowadzi to zawsze do katastrofy, wojny albo niewoli, i nie rozwiązuje w trwały sposób żadnego z podstawowych problemów. Drugi

sposób, to wielkie hasło polityczne, to wolna unia demokratycznych narodów, to wyrwanie się w dobrowolny i racjonalny, ale kolektywny sposób, z intelektualnego odrętwienia i konsumpcyjnej rdzy, to zryw ponad bariery ludzkie i handlowe, nacjonalistyczne i sklepikarskie. Europa jest taką szansą.

Jedność europejska ne jest celem samym w sobie. Świat jest w ruchu. Trzeba mu dotrzymać kroku, inaczej ląduje się w rowie, co nie jest miejscem przyjemnym do życia, ani wygodnym punktem obserwacji innych. Prawdziwa jedność europejska, wbrew demagogom różnej maści, to nie likwidacja suwerenności i demokracji, a jedyny sposób na ich uratowanie.

Dosyć kazań, to nie moja specjalność. Powiedzmy więc krótko. Prawdziwy kryzys Europy, to nie kryzys gospodarczy, a polityczny, ideowy i moralny. Europa była przez wieki źródłem brutalnej siły, dziś może być już tylko źródłem rozumu. Z dwóch wojen światowych i komór gazowych nie uratowała niczego poza szarymi komórkami. Dała niegdyś światu ideę podboju, imperializmu, teraz powinna dać, ideę unii i współpracy. W okrutnym świecie globalnych wyzwań, tylko Europa zjednoczona będzie mogła się liczyć. Inaczej pozostanie jej tylko finlandyzacja, samobójstwo nacjonalistyczne albo jeszcze gorzej.

Jean Omer Marie Gabriel Monnet urodził się w epoce królowej Wiktorii, kiedy prezydentem USA był niejaki Grover Cleveland a carem Wszechrosji Aleksander III. Monnet zmarł w 100-lecie urodzin Einsteina. Umierając pozostawił testament: swoje wspomnienia i EWG. Powtarzał często za Dwightem Morrowem: „Świat się składa z tych, którzy chcą kimś zostać i z tych, którzy chcą coś stworzyć". Pytany do jakiej grupy siebie zalicza, Monnet odpowiadał: „Należę do drugiej kategorii tam jest mniej konkurentów...".

*BRUKSELCZYK*

P.S. Monnet powiedział kiedyś: „Zawsze szedłem tylko jedną drogą. Nieznana była tylko jej długość". Zupełnie jak ten felieton. Od pierwszej kartki szedłem wiadomą mi drogą, nie wiedziałem tylko, że będzie taka długa.

## *Sprawy i troski*

# Nowy Prezydent R.P.

Zawsze uważaliśmy, że bardzo ważnym symbolem może być Prezydent R.P. na emigracji, który odgrywałby rolę pieczątki Rządu Narodowego z 1863 roku, reprezentował postawę polityczną i niepodległościową emigracji mając u swego boku Komitet składający się z kilku najważniejszych departamentów do spraw istotnych i dla emigracji realnych, jak np.: problemy byłych kombatantów, oświatowe, kulturalne, studium spraw krajowych etc. Taki Komitet, zamiast żenujących premierów, ministrów, naczelnych wodzów itp., miałby oparcie w szczupłej Radzie składającej się z wirylistów, mianowanych przez Prezydenta lub z urzędu (np. każdorazowy prezes Związku Kombatantów, prezes POSK-u etc.) i z niewielkiej ilości osób z wyboru.

Do głosowania upoważniałaby jedynie legitymacja Skarbu Narodowego. Trzeba bowiem skończyć już z schematem i monopolem „stronnictw historycznych" na emigracji i z efemerydami, trzeba skończyć z unikaniem zajmowania stanowiska w najważniejszych i najdrażliwszych sprawach odkładając wszystko w nieokreśloną przyszłość do „przyszłego sejmu w niezależnej Polsce". Na skutek takiego postępowania kraj z wyniszczoną myślą polityczną musi dopracowywać się mozolnie i z trudem do najprostszych rzeczy.

Jedynym sprawdzianem znaczenia i wpływów poszczególnych grup mogą być wyłącznie wybory.

Gdyby powstała tego rodzaju organizacja prezydentury, która by m.in. zahamowała inflację nadawania orderów, nominacji i tytułów, wzmocniłaby znacznie swoją pozycję moralną w społeczeństwie.

Zasługą Prezydenta Ostrowskiego jest to, że nie powtórzył błędu Prezydenta Zaleskiego, który nie mógł się rozstać ze swym stanowiskiem i ustąpić w przepisanym terminie.

Następca Prezydenta Ostrowskiego, Edward Raczyński — *grand commis*, którego wychowała Druga Rzeczpospolita — jest

dzisiaj jedyną postacią na emigracji, posiadającą tej miary staż pracy i służby całego życia Polsce, staż ambasadora Rzeczpospolitej w Londynie przed wojną oraz ambasadora i ministra Spraw Zagranicznych w chwilach, gdy najokrutniejsze ciosy spadały na Polskę. Edward Raczyński, który nigdy nie mieszał się do rozgrywek personalnych, ale zawsze patronował i chronił ośrodki polskie, tak niezbędne jak Instytut Sikorskiego, może będzie mógł się zdobyć na reorganizację reprezentacji politycznej emigracji i wyprowadzenie jej z prowincjonalnego getta.

Edward Raczyński, spadkobierca wielkiej tradycji historycznej, polityk i pisarz, może odegrać ważką rolę zamykając jeden etap „państwa na wygnaniu", rozpoczęty przez Prezydenta Raczkiewicza, i otwierając drugi, który skierowałby emigrację polityczną na drogę bardziej odpowiadającą dzisiejszej sytuacji politycznej na świecie i w Polsce, na drogę na której emigracja ta wniosłaby realne wartości dla Polski znów niepodległej: wkład koncepcyjny i polityczny, nie ograniczając się jedynie do roli służebnej w stosunku do raczkującej jeszcze opozycji krajowej.

Ale czy na to wszystko nie jest już za późno? Czy prezydent Raczyński znajdzie nowych młodych ludzi, którzy wleją świeżą krew w skostniałe emigracyjne instytucje? Zaniedbawszy przygotowania „zmiany warty" znaleźliśmy się w sytuacji, w której z braku ludzi zamierają najważniejsze placówki emigracyjne.

*REDAKCJA*

# List do Redaktora "Kultury"

Londyn, 15 marca 1979.

Szanowny Panie Redaktorze,

Pyta Pan, jaki jest mój stosunek do spraw poruszonych przez p. W. Makowskiego w jego Liście Otwartym, jak patrzy na te kwestie pokolenie „emigracyjne"

Młodość, jak zapewne orientuje się Pan, jest tu nader względnym pojęciem, co wynika chociażby z niedawnej akcji „Młodzi z POSK-iem" podpisanej m.in. przez „Koło Byłych Wychowanków Junackiej Szkoły Kadetów na Środkowym Wschodzie". Otóż nie należę do pokolenia „junackiego", nigdy z nikąd nie emigrowałem, urodziłem się tu i to zdecydowanie po. Istotne to o tyle, Panie Redaktorze, iż właśnie w tym moim powojennym pokoleniu — wychowanym już tylko w cieniu „błyskotliwego czynu zbrojnego" — zarysowują się najostrzej rozbieżności pomiędzy poglądami pokolenia kombatanckiego a tymi kształtowanymi przez świat „tu-



bylczy": kult wojskowości *versus* antymilitaryzm, katolicyzm *versus* indeferentyzm religijny itd., itd. Trudno mi komentować meandry polityki SLP, zbyt fragmentaryczne posiadam na ten temat wiadomości. Działalność Stowarzyszenia najlepiej znam od strony gastronomicznej (całkiem, całkiem), ale zbieg okoliczności sprawił iż Deklarację, którą tak krytykuje p. Makowski posiadam, a z jego Listem Otwartym zapoznałem się za pośrednictwem *Kultury* marcowej. Obydwa teksty traktuję tu jako kanwę, na której pragnąłbym odnotować kilka luźnych uwag. Piszę w imieniu własnym, ale mam czelność sądzić iż w poglądach moich nie jestem odosobniony.

P. Makowski zastanawia się dla kogo pisana była Deklaracja Ideowa SLP, kto miał być jej odbiorcą? Deklaracja Ideowa Stowarzyszenia Lotników Polskich napisana została, jak sądzę, dla znakomitej większości emigrantów polskich (wojenna przynależność w PSZ, jak i obecne miejsce zamieszkania nieistotne). Statystyczny emigrant polski ceni sobie deklaracje w ogóle, uroczyste bogu-ojczyźniane szczególnie. Taki to już naród. Lubi, bardzo lubi deklaracje. P. Makowski, któremu kanadyjska optyka, zdrowy rozsądek jak i troska o dziedzictwo SLP, kazały Deklarację zakwestionować, krytykuje ją, bo trafia w próżnię. Stanowi według niego, przykład emigracyjnego „samobujania się", a wraz z „policy" wypracowanym przez SLP daje dowód daleko posuniętej „hipokryzji". Mamy do czynienia z „onanizmem patriotycznym" powiada p. Makowski. Choć z tą metaforą coś nie tak — przecież nie w obawie przed chorobami wenerycznymi oddajemy się dyscyplinie za którą Pan Bóg tak bardzo pogniewał się na Onana — to znam, zbyt dobrze znam postawę, którą p. Makowski charakteryzuje. Mowa tu o owym dwuznacznym stanie duszy emigracyjnej, która zadawala się patetycznym krasomóstwem patriotycznym, przy inercji i brakoróbstwie w praktycznym działaniu na rzecz doraźnych potrzeb „sprawy polskiej". Zauważę jeszcze, Panie Redaktorze, że ta deformacja zawodowa zawodowego emigranta politycznego nie musi być udziałem tylko eks-lotników. Znam jednego pancerniaka i dwóch marynarzy którzy też w nią popadli.

W Deklaracji SLP figuruje cały passus który bezpośrednio mnie dotyczy. Pisze w niej:

„Służbą naszą Polsce, mając przed oczyma nadchodzące po nas pokolenie naszych dzieci, niech urabia swoje dusze, niech umacnia charaktery i niech uszlachetnia swoje życie w wierności i umiłowaniu Ziemi swoich Ojców, w zachowaniu jej mowy, w pełnej czci dumie z jej dziejowych dokonań i w szacunku dla jej obyczajów.

Okrytą zwycięskim wawrzynem sławy, a wyrosłą z krwi naszych poległych i z naszego utrudzenia, niezkazitelną spuściznę (? — J.D.) po nas naszemu młodemu pokoleniu przekazujemy obciążając je tym naszym Przyrzeczeniem, zobowiązując je nim i wiążąc trwale".

Potem jeszcze występuje „Bóg Piastów i Jagiełłów", „wspomagająca Bogurodzica", „Lwów", i dwa razy Matka Boska, Częstochowska i Ostrobramska.

Gęsta to zupa doprawdy. Rzęsista porcja paternalizmu i moralizatorstwa, arogancji i taniego patosu na zaprażce świętobliwej spreparowana. Najbardziej jednakże wadzi coś innego Panie Redaktorze. Otóż Deklaracja jest tekstem *par excellence* „polsko-katolickim". Nie miejsce tu analizować istotę tej formuły, jej dziejowe znaczenie, ale także historyczne kompromitacje. Wystarczy gdy powiem, że wśród moich polskich przyjaciół znajduje się ateista, pół-Tatar, protestant i kilku Żydów. Żaden z nich nie poczuwa się do owej arcy-polskiej, katolickiej, „polonocentrycznej" tradycji, która bije z wersetów Deklaracji SLP. Każdy z nich może legitymować się pierwszorzędną postawą obywatelską. Dlatego trudno mi formułę przyjąć. Po prostu za ciasna.

Zresztą, co tu dużo mówić, wszelkie tu podejmowane próby skodyfikowania, uszeregowania na papierze stosunku i postawy mego pokolenia do ojczyzny za siódmą rzeką i za siódmym lasem na ogół wychodzą niewdzięcznie. Rzadko kiedy potrafią uporać się z tak kompleksowym zjawiskiem jak *identité* człowieka urodzonego na pograniczu kilku kultur. Na ogół wydają się zaspakajać psychologiczne potrzeby swych autorów, zamiast duchowych swych adresatów. Najgorsze z nich, w drobnej karykaturze, wyglądają następująco: mamy wsłuchiwać się w świst skrzydeł husarskich (lub w szum silnika Spitfire'a), z nabożeństwem spozierać na kindżały przodków, i to na ogół nie wiedząc w stu procentach czy minione glorie „naszego narodu" zawdzięczamy kindżałom i skrzydłom, czy też sile nadprzyrodzonej która kiedyś opowiadała się po naszej stronie. Otóż w schemacie takim — bliższym autentyczności niż by się wydawało — nie tylko nie występuje żaden ukłon względem naszej dwukulturowości (apriorystycznie zakłada się, iż dziecko Polaka musi czuć się Polakiem, i to tylko Polakiem) ale uprawia się to co można by było nazwać eskapizmem historycznym, rozświetlaniem mroków teraźniejszości fajerwerkami przeszłości. Niby rozumiem motywacje tego zabiegu, ale nigdy mnie on nie koił, wręcz przeciwnie rozdrażniał. Za duży kontrast pomiędzy polskim dzisiaj, a polskim wczoraj.

Czy uważam że SLP powinno porać się działalnością polityczną? Oczywiście, że nie! Zbyt często w polskiej społeczności londyńskiej mikropolityka środowiskowa udawała makropolitykę państwową. Nie znaczy to abym nie chciał żeby lotnik polski posiadał świadomość polityczną. Posiada ją zresztą, o to dba p. Prof. Ścibor-Rylski na łamach *Skrzydeł*. Co zaś do „lojalności w stosunku do kraju pochodzenia i obowiązku pomocy w jego zmaganiach w walce o wolność" (cyt. W.M.), której wymaga się od dzieci i wnuków to pozwolę sobie wtrącić tutaj dwa słowa na temat testamentu SLP w projekcie p. Makowskiego.

Otóż w pełni doceniając intencje p. Makowskiego, idące po linii jego zainteresowań zawodowych, nie sądzę jednakże aby



*high standing* polskiego lotnictwa sportowego należał do priorytetowych zapotrzebowań kraju. Ważniejsze chyba aby polski Londyn, w tym SLP, poparł *en masse* wolnościową działalność krajowej opozycji demokratycznej, która z tak wielką determinacją usiłuje poszerzyć zakres swobód obywatelskich w Polsce. Gdyby więc w ewentualnym Testamencie SLP uwzględnić także KSS „KOR" lub ROPCiO lub Towarzystwo Kursów Naukowych? Spieszę dodać iż w przypadku TKN mamy do czynienia z instytucją latającą w bardzo dosłownym znaczeniu tego słowa.

W projekcie testamentowym, *furthermore*, istnieje jeden bardzo poważny lapsus. Nie został uwzględniony Instytut Polski i Muzeum im. Generała Sikorskiego. Widać iż p. Makowski nie orientuje się w pełni w geografii polskiego Londynu. Otóż w Instytucie powyższym powstało świetnie zorganizowane archiwum Polskich Sił Powietrznych. Doprawdy dziwne by było, gdyby SLP przyszło rozdzielać swój majątek a zapomniało o instytucji która zabezpiecza archiwa i dokumenty lotnika polskiego.

List Otwarty p. Makowskiego uważam za bardzo cenną inicjatywę Panie Redaktorze. Nie tyleż dlatego iż przeprogramuje z dnia na dzień SLP. W to, to wątpię. List jest dlatego ważny, moim zdaniem, iż wprowadza w krwiobieg naszej myśli pytanie „Co dalej?" i to w kontekście całego polskiego Londynu. Boć Londyn polski to nie tylko Sprawa Bergu, dwa rządy R.P., frakcje i frondy. Londyn Polski to także POSK, biblioteka przy POSKU-u, to wyżej wspomniany Instytut, to cały rozdział w piśmiennictwie polskim, słowem to bardzo poważny dorobek polskiej emigracji wojennej. Jeśli List Otwarty p. Makowskiego skłoni tutejszych Prezesów i Skarbników do bardziej perspektywicznej orientacji, to strzał z dalekiego Rockburn okaże się arcy-pożyteczny.

Łączę wyrazy szacunku,

*Jan DOŁĘGA*

---

## PIERWSZY UNIWERSYTET LETNI WSPÓLNOTY POLSKO-FRANCUSKIEJ

UNIWERSYTET LETNI organizowany przez WSPÓLNOTĘ POLSKO-FRANCUSKĄ pod auspicjami Ministra Uniwersytetów i z udziałem POLSKIEGO TOWARZYSTWA HISTORYCZNO-LITERACKIEGO odbędzie się w Paryżu w pierwszym tygodniu lipca br. (od poniedziałku 2 do soboty 7 lipca).

Program zajęć przewiduje pięć godzin WYKŁADÓW dziennie (Historia Nowoczesna Polski i Francji, Socjologia społeczeństwa polsko-francuskiego, Językoznawstwo i dwujęzyczność polsko-francuska, Literatura, Sztuka itd.) oraz OKRĄGŁE STOŁY poświęcone sprawom wspólnoty polskiej we Francji

z udziałem osobistości ze świata naukowego, politycznego, społecznego i kulturalnego. Przewidziane są także ODCZYTY oraz różnego typu WYSTAWY (książek, malarstwa...).

Zajęcie UNIWERSYTETU LETNIEGO będą miały miejsce w jednym z Uniwersytetów Paryskich i w Bibliotece Polskiej.

Językami roboczymi będą polski i francuski. Aczkolwiek UNIWERSYTET LETNI jest bezpłatny i otwarty dla wszystkich, zachęca się szczególnie młodzież związaną z życiem Polonii lub studiującą na Uniwersytetach czy innych zakładach naukowych.

Zgłoszenia oraz wszelkie sugestie dotyczące organizacji UNIWERSYTETU prosimy kierować przed 4-tym czerwca 1979 na adres:

COMUNAUTÉ FRANCO-POLONAISE
SECRÉTARIAT DE L'UNIVESITÉ D'ETÉ
20, RUE LEGENDRE, 75017 PARIS.

Zapisy przyjmuje także:

BIBLIOTHEQUE POLONAISE
6, QUAI D'ORLÉANS, 75004 PARIS.

Prezes „Wspólnoty Polsko-Francuskiej"
*Prof. Henri ADAMCZEWSKI*

◆

Na prośbę KSIĘGARNI POLSKIEJ W PARYŻU zamieszczamy poniższe wyjaśnienie:

„W związku z ostatnio urządzoną przez instytucję francuską *Maison des Jeunes et de Culture de Vallée de Chevreuse* manifestację, poświęconą propagandzie kultury polskiej, KSIĘGARNIA POLSKA W PARYŻU wyjaśnia, że nie była współorganizatorką wspomnianej imprezy.

Rola KSIĘGARNI w realizowaniu tej manifestacji ograniczyła się — jak zwykle w podobnych wypadkach — do dostarczenia organizatorom w formie depozytu lub w drodze sprzedaży — pewnej ilości książek polskich w języku francuskim oraz polskich płyt i afiszów".

## *Kraj*

# Młode pokolenie księży

Poniższa wypowiedź ma na celu zwrócenie uwagi na pewien aspekt — humanistycznej — powojennej formacji księży w polskich Seminariach Duchownych. Łączy się on z ich osobistą postawą ideową i realizacją celów duszpasterskich Kościoła w Polsce, której duchowni ci przewodniczą. Wypowiedź jest pewną sumą spostrzeżeń i refleksji na podjęty temat, wyrażonych w sposób bardzo skrótowy, z zamiarem wywołania dyskusji.

### *1. Religijno-społeczna rola duchowieństwa polskiego w XIX-tym i XX-tym wieku*

Jest rzeczą widoczną i uznaną, że Kościół katolicki w Polsce spełnił w okresie zaborów i dążenia do niepodległości, jak również i po drugiej wojnie światowej, wybitną rolę w dziedzinie obrony wartości narodowych. Opierała się ona na ścisłej identyfikacji ze społeczeństwem w jego dążeniach religijnych i patriotycznych oraz dobrym wyczuciu jego dążeń w tej dziedzinie. Wprawdzie znajomość historii kraju, jego bogatej kultury i osiągnięć wykluczona była z instytucji szkolnych zaborców (z wyjątkiem zaboru austriackiego), to jednak zdobywana była na drodze samorzutnej, mniej lub bardziej zakonspirowanej działalności oraz wychowania rodzinnego. W okresie między powstaniami młodzież chłonęła potajemnie poezję trzech wieszczów, a historii uczyli ją Lelewel, Mochnacki i inni. Potem przyszła wielka powieść historyczna Sienkiewicza, Kraszewskiego, T. T. Jeża i Żeromskiego. Dawało to doskonałe wyniki. Zresztą sytuacja była jasna: oficjalne nauczanie było nauczaniem zaborczym i na pewnym stopniu rozwoju świadomości przychodziła refleksja, że trzeba szukać innych źródeł prawdy o narodzie, niż urzędowe.

Jeśli szeregowe duchowieństwo polskie, rekrutujące się w większości z warstwy chłopskiej, nie odznaczało się wysokim poziomem umysłowym w tym okresie (wykluczam tu zabór pruski), to jednak posiadało ideową postawę patriotyczną i społeczną. Jej dowodem była prowadzona przezeń praca i cały szereg cennych, dziś zapomnianych, inicjatyw społecznych, podejmowanych przez jego wybitniejszych przedstawicieli (szkolnictwo, spółdzielczość, opieka społeczna, ukryte zgromadzenia zakonne w zaborze rosyjskim). Historia tych inicjatyw nie została do dziś napisana...

O międzywojennej formacji duchowieństwa świadczy najlepiej jego postawa w czasie drugiej wojny światowej, bezpośrednio po niej i później. Nie wolno jednak zapominać, że opierała się ona, w swoim chronologicznie pierwszym etapie, na programie szkoły średniej i polskich organizacjach młodzieżowych o wysokim poziomie ideowym i patriotycznym, na czele z harcerstwem. Przypomnijmy jak określano zadania przedmiotu „historia" w programie szkoły średniej z roku 1925: „Po zaznajomieniu się z przeszłością i teraźniejszością narodu polskiego, stopniowe przyswajanie sobie ogólnych pojęć gospodarczych i politycznych; wyrobienie rzetelności i sprawności myślenia w dziedzinie spraw ludzkich; zainteresowanie się sprawami ogólnoludzkimi i narodowymi; w ostatecznym zaś wyniku osiągnięcie wychowania człowieka i obywatela". W oparciu o ten program wychowywało się dwadzieścia roczników. Sprawdzianem jego wartości był wzorowo zdany egzamin z patriotyzmu całego społeczeństwa w okresie okupacji.

## 2. *Formacja duchowieństwa po drugiej wojnie światowej*

Na wstępie warto przypomnieć, że dziś Seminarium Duchowne jako uczelnia wyższa przyjmuje kandydatów po maturze. Podejmują oni w niej studia specjalistyczne, obejmujące, ogólnie mówiąc, wykształcenie filozoficzne i teologiczne, zdobywane w ciągu sześciu lat. Obok przedmiotów należących wprost do tych dwu dziedzin, wykładanych jest kilkanaście przedmiotów pomocniczych, przynajmniej w podstawowym zakresie. Należą do nich: historia Kościoła, prawo kanoniczne, katechetyka, psychologia, pedagogika, dydaktyka, religiologia i antropologia, elementy socjologii i ekonomii, homilektyka itd.

Tradycyjnie, od czasów przedwojennych, zakłada się, że średnie wykształcenie w zakresie humanistycznym, to znaczy znajomości literatury i języka polskiego oraz historii powszechnej i historii Polski, kandydaci mają już za sobą. Przez kilkanaście lat, jak gdyby nie docierało do świadomości osób odpowiedzialnych za uczelnie kościelne fakt, że w PRL historia Polski i jej kultury, wykładana w szkołach podstawowych i średnich została poddana zasadniczej, deformującej ją i pozbawiającej wpływu wychowawczego operacji. Przez zastosowanie kryteriów materializmu historycznego, programowego laicyzmu i względów na ZSRR, pozbawiono historię tych wartości, które, jak mówił program z roku 1925, miały wychować także „człowieka i obywatela".



Pomimo wszystkich zmian programowych (żaden rocznik po wojnie nie skończył szkoły średniej według programu, w jakim rozpoczynał szkołę podstawową), te zasadnicze kryteria nie uległy zmianom i nadal bardzo skutecznie zrażają młodzież do historii. W różnych dyskusjach historyków, publicystów i nauczycieli od lat powtarzają się niepokojące stwierdzenia, że maturzyści kończą szkoły średnie nie znając podstawowych dat i faktów z naszych dziejów oraz wybitnych postaci, i że pogłębia się u młodzieży kryzys zaufania do oficjalnie nauczanej historii. W wyjaśnieniach nie sięgano jednak do przyczyn najgłębszych, choć wiele wypowiedzi zwracało uwagę, że chodzi tu przecież o decydujący czynnik w kształtowaniu się poczucia więzi z narodem, postaw osobistych wobec jego losów, problemów, czy patriotyzmu w ogóle.

Należy sobie uświadomić, że od wielu już lat młodzi ludzie wstępujący do Seminariów Duchownych w Polsce, są obciążeni tym podstawowym brakiem formacyjnym. Co więcej, w ich programach nie przewiduje się żadnych uzupełnień tej rażącej i niepokojącej luki, rzutującej zarówno na kulturę ogólną przyszłych księży, jak i ich postawy społeczne. Wydaje się, że mniej więcej do końca lat pięćdziesiątych Seminaria nieświadomie korzystały w jakiejś mierze, z dawnego, międzywojennego kapitału ideowego i wiedzy. Było to starsze pokolenie nauczycieli historii, którzy, choć skrępowani programem, potrafili przemycić coś ze swej postawy patriotycznej, tradycje rodzinne kandydatów i częściowo harcerstwo, niecałkowicie jeszcze upolitycznione. Obecnie te czynniki wychowawcze przestały już oddziaływać na młodzież, z pewnymi wyjątkami zapewne, gdy chodzi o niektóre rodziny inteligenckie. Z tych jednak wywodzi się najmniejszy procent kandydatów.

Pod koniec lat sześćdziesiątych podjęto w niektórych Seminariach próby pewnych wykładów z literatury polskiej (czy katolickiej), mające na celu uzupełnienie widocznych braków w tej dziedzinie i podniesienie poziomu umiejętności posługiwania się językiem polskim. Były one prowadzone poza programem, dorywczo i w minimalnej ilości. W sumie była to instytucja raczej przygodna i mało znacząca, która szybko przestała istnieć. Być może istnieje jeszcze w niektórych zakładach i nie spełnia roli na miarę potrzeb.

Należy dodać, że pewien procent seminarzystów stanowią młodzi ludzie po szkołach wieczorowych lub technikach (elektryczne, samochodowe, ogrodnicze itp.), gdzie poziom przedmiotów humanistycznych jest dużo niższy niż w liceach, a niekiedy żenująco niski. Zdarzają się wypadki, wcale nierzadkie i coraz częstsze, że uczniowie kończą te szkoły z nad wyraz niską znajomością historii kraju, i bez przeczytania trylogii Sienkiewicza, nie mówiąc już o Mickiewiczu, Słowackim itd. Do zdobycia odpowiednich stopni wystarczały tzw. „bryki". Przy przeładowanym programie Seminariów, ciągle nowymi i nowoczesnymi przedmiotami, do których doszła tzw. formacja apostolska (praktyczne zajęcia para-duszpasterskie w parafiach), nie ma już miejsca na uzupełnianie tych braków. Zresztą nikt o nie zwykle nie pyta. W rezultacie, po zdaniu w ciągu sześciu lat, całego szeregu egzaminów z obowiązującego pensum z wielu różnych przedmiotów, nowowyświęcony kapłan często nie zna bliżej historii, literatury i kultury narodu, wśród którego podejmuje pracę. W czasie długich studiów w dążeniu do wypełnienia rozbudowanego programu specjalistycznego nie rozbudzono w nim zainteresowania tą dziedziną. Pozostaje to zwykle trwałą cechą jego postawy umysłowej, w odniesieniu do tych zagadnień.

Nie od rzeczy będzie tu dodać, że na początku lat 60-tych biblioteki seminaryjne zostały poddane niespodziewanej i ścisłej kontroli państwowej, w czasie której skonfiskowano setki publikacji przedwojennych, poświęconych nowszej historii Polski, krytyce komunizmu itp. (na czas nocnej przerwy w pracy wejścia były pieczętowane). Pozycje te są dziś w bibliotekach tych nieosiągalne.

Na poziom formacji humanistycznej ma również wpływ bardzo duże obniżenie poziomu nauczania łaciny i związanej z nią kultury klasycznej. Szkoły techniczne wcale, a ogólnokształcące w bardzo nikłym stopniu podają jej znajomość. Niechęć do uczenia się łaciny w Seminariach jest rzeczą znaną. Studenci nie widzą bezpośredniego, czy nawet pośredniego jej pożytku, bo brewiarz i mszał jest już po polsku. O roli łaciny w kulturze polskiej i europejskiej słuchają zwykle bez zrozumienia i przekonania Do Seminariów zdaje się nie docierać wiadomość o renesansie studiów humanistycznych w świecie.

Na tworzenie się negatywnych postaw społecznych ma wpływ pewien fakt, na który chyba nie zwracano dotychczas uwagi. Oto istniejące w szkołach średnich upaństwowione i upolitycznione organizacje młodzieżowe należące do Federacji Socjalistycznych Związków Młodzieży Polskiej (ZMS, ZSMW, SZMW, SZSP, ZHP, SZMW — legitymacja jest wspólna dla wszystkich), swoją



„socjalistyczną" ideologią nie pociągają młodzieży. I nie może być inaczej. Wystarczy zacytować fragment zawartego w każdej legitymacji członkowskiej uroczystego oświadczenia. „Kontynuując najlepsze tradycje polskiego ruchu rewolucyjnego, aktywnie uczestnicząc w życiu politycznym kraju udowodnię, że jestem godny, wraz z całym młodym pokoleniem Polaków, podjąć się realizacji zadań, jakie stawia przed nami Polska Zjednoczona Partia Robotnicza, skupiająca w sobie siłę i wolę ludzi pracy całego narodu". Z różnych względów jednak do organizacji należy się: ze względu na zamierzone dalsze studia, praktyczne korzyści i „świętego spokoju". Jest to przynależność nominalna, pseudoideowa, która skutecznie uczy postawy pozorowanego zaangażowania społecznego i to w okresie kształtowania się osobowości człowieka. Przechodzą przez nie także i kandydaci do Seminariów i nie może to pozostać bez wpływu na ich przyszłe postawy życiowe. Być może jest to jedna z przyczyn urzędniczego traktowania obowiązków duszpasterskich przez dużą część młodych księży, na co skarżą się ich proboszczowie.

Jest rzeczą oczywistą, że u młodzieży istnieje duża wrażliwość na ideał i gotowość służenia *sprawie*. Dzieje kraju, do którego należymy i ich postacie miały przedziwne właściwości ich wyzwalania. Jakie są powody, by z możliwości tych tak łatwo rezygnować?

### *3. Niektóre oznaki braków formacyjnych*

W ostatnich latach, zarówno katolicka, jak i laicka inteligencja polska bardzo często podkreśla niezastąpioną rolę Kościoła w obronie wartości narodowych w Polsce. Chodzi tu szczególnie o znaczenie jego pracy dla zachowania ciągłości kulturowej i procesu identyfikacji narodowej w okresie powojennym. O świadomym pełnieniu tej roli świadczą wystąpienia Prymasa Polski i Episkopatu.

Daje się jednak zauważyć duży dystans między tymi wystąpieniami o charakterze narodowo-patriotycznym (niektóre listy pasterskie), a ich zrozumieniem i akceptacją ze strony najmłodszego pokolenia księży. Nie jest to tylko kwestia terminologii i języka, którego młode pokolenie w Polsce w ogóle już nie używa, ale przede wszystkim odczucia i zrozumienia poruszanej problematyki. Można tu łatwo dostrzec zarówno inny typ skojarzeń i mentalności, co jest rzeczą naturalną przy różnicy pokoleń, ale i brak wspólnej płaszczyzny odczuwania i motywacji. Wynika to z zupełnie innego stopnia znajomości historii, tradycji i innego do niej stosunku.

Jest to widoczne na przykładzie jednego z bardzo ważnych problemów historii kraju i Kościoła, jakim jest ścisłe zespolenie katolicyzmu i polskości. Biskupi widzą w tym, słusznie zresztą, źródło zaskakującej i niezwykłej siły Kościoła w Polsce wobec uderzenia sekularyzacji i totalizmu komunistycznego. Ostatnio odkrywają to także niektórzy katoliccy działacze świeccy, którzy dotychczas mieli inną orientację. Tymczasem duchowni młodszej generacji wydają się tego nie dostrzegać i nie rozumieć. Często wydają się tym faktem zażenowani i uważają go za dowód niższości katolicyzmu polskiego w porównaniu z zachodnim. Nie pasuje on bowiem zupełnie do socjologiczno-religijnych teorii zachodnich, które tu zostały przyjęte jako obowiązujące przez młodych specjalistów z tej dziedziny. Zdają się nie dostrzegać, że osłabianie zespolenia poczucia narodowego z religijnym, prowadzi do tej słabości Kościoła, jaką można obserwować na Zachodzie.

Łatwo jest oczywiście wysunąć zarzut, skądinąd słuszny, że hasło: naród katolicki — może prowadzić do samousypiania się. Ale chodzi o to, by pojmować je tu jako głębokie zobowiązanie moralne w nowoczesnym sensie, a nie jako powrót do epoki już minionej. Wizja chrześcijaństwa diaspory, tak popularna na Zachodzie — w naszych warunkach geograficznych może być tylko totalną klęską religijną i narodową. Patriotyzm, o którym tu mowa nie chce mieć nic wspólnego z nacjonalizmem, ale ma swój fundament w nauce chrześcijańskiej i uprawnionej samowiedzy narodowej, o którą zaczyna się toczyć u nas coraz bardziej świadoma walka w środowiskach inteligencji świeckiej. W wielu krajach zachodnich można by wskazać na przykłady dążeń do odnalezienia własnej identyczności narodowej i kulturalnej różnych regionów i grup.

W dniu 28 stycznia 1979 roku czytany był w kościołach wspólny list biskupów polskich. Jego celem było ukazanie roli Polski w obronie chrześcijaństwa w nawiązaniu do określenia: Polska przedmurzem chrześcijaństwa i przedstawienie tej roli w nowym świetle po wyborze Papieża z Polski. List wywołał dyskusję w pewnym gronie młodych księży, gdzie został krytycznie oceniony jako nie do przyjęcia hurra-patriotyzm. Jeden z nich, z przekonaniem o słuszności swego zadania, stwierdził, że czytając go opuścił fragmenty o bitwie pod Legnicą i o odsieczy wiedeńskiej, jako bez sensu i areligijne w liście pasterskim. Bez zbytniej przesady można stwierdzić, że nie jest to znak indywidualnego niezrozumienia pewnych wydarzeń, lecz wyraz symptomatycznej ignorancji pokolenia w dziedzinie historii własnego kraju. Przedstawicieli duchowej grupy przywódczej, której zadaniem jest również zrozumienie ducha narodu, by tym łatwiej wyzwalać ukryte w nim siły moralne — ta ignorancja musi bardzo niepokoić. Można by snuć długą listę przykładów z tej dziedziny. Trudno jednak pominąć uwagę, że taka sytuacja stwarza doskonałą okazję do manipulowania świadomością. Bezkrytyczne przyjmowanie zręcznie reżyserowanych filmów historycznych, takich jak „Przed burzą" (o Polsce międzywojennej), czy „Polskie drogi" (okres okupacji) przez przedstawicieli tego pokolenia, jest tu dobrą ilustracją.



Wydawałoby się, że długoletnia formacja intelektualna w Seminarium powinna owocować w formie dużego krytycyzmu w tej dziedzinie. Okazuje się, że tak nie jest i duchowni dzielą ten brak z innymi kategoriami społecznymi ich generacji, jak inteligencja, robotnicy i chłopi. Tłumaczy się to tym samym stopniem ignorancji historii i skutecznością państwowego na nią (historię) monopolu.

Niektórzy wychowawcy stwierdzają wprost dziwną „nieprzenikalność" na motywacje o charakterze patriotycznym, które jak gdyby nie znajdują odzewu w psychice młodych ludzi w Seminarium. Jest rzeczą ciekawą, na jakiej płaszczyźnie dokonuje się wewnętrzna identyfikacja z narodem, i jego dążeniami, tak ważna dla osobistej moralnej i społecznej postawy kapłana.

Przygotowanie do kapłaństwa oznacza, obok zdobycia odpowiedniej wiedzy, także uczenie miłości do człowieka i służby jemu w tym co najważniejsze, „w sprawach odnoszących się do Boga" — napisze św. Paweł (Hebr. 5,1). Lecz to przygotowanie o tyle jest prawdziwe i realne, o ile umiejscawia tego człowieka w konkretnym narodzie i kraju, w całej jego własnej, oryginalnej kulturze i historii. Po Soborze Watykańskim II zwrócono na tę prawdę szczególną uwagę. Dawna i najnowsza historia Kościoła w Polsce pokazuje, że podstawą jego niezastąpionej roli w społeczeństwie, była ideowość religijna i patriotyzm jego duchowieństwa.

Istnieją dwa wielkie źródła duchowej siły, wspólne zresztą wszystkim: miłość Boga i ojczyzny. W obecnej formacji prowadzonej przez Seminaria Duchowne zabrakło jak gdyby tego drugiego źródła. Zakładano bowiem, jakże niesłusznie, że kandydaci do nich znaleźli je już gdzie indziej. Zrodziła się w ten sposób jakaś dysproporcja w wychowawczym traktowaniu poszczególnych etapów przygotowania do kapłaństwa: człowieka, Polaka i kapłana. Czy nie tutaj leżą przyczyny bolączek niemałej części najmłodszej generacji księży polskich? Nie po to je tu podnoszę, by budzić podejrzenia. Sprawa jest po prostu zbyt ważna, by pomijać ją milczeniem. Chodzi o takie problemy, jak upowszechnianie się postaw konsumpcyjnych, interesowność w pracy duszpasterskiej, sprawa alkoholizmu, brak zainteresowań umysłowych

— objawy zbyt często spotykane u najmłodszej generacji duchownych, by nie budziły pytań i niepokoju. Można je tłumaczyć „duchem czasu", który w każdej epoce na swój sposób oddziaływał. Jest to zapewne także swoisty objaw „małej stabilizacji", królującej w środowiskach inteligencji polskiej (samochód, mieszkanie, wyjazd za granicę).

*4. Niektóre postulaty*

W świetle powyższych uwag nasuwają się pewne postulaty. Jest rzeczą niezwykle pilną wprowadzenie w Seminariach Duchownych poważnego, dobrze przygotowanego i systematycznego kursu historii i kultury polskiej (oczywiście na zarysowanym ogólnie tle historii powszechnej). Uzasadnienie tego postulatu wyjaśniano wyżej. Ponieważ młodsza kadra wykładowców i wychowawców w dużej mierze sama cierpi na brak wykształcenia w tej dziedzinie (pomimo wysokiego niekiedy stopnia specjalizacji w różnych dziedzinach), nasuwa się konieczność odpowiedniego jej przygotowania i korzystania z pomocy zajęć specjalistów świeckich. Wprowadzenie takich wykładów wymaga oczywiście formalnego polecenia ze strony odpowiednich władz kościelnych, w tym wypadku Komisji Episkopatu do Spraw Nauki i Seminariów.

Niespełnienie tego postulatu będzie pogłębiać niebezpieczeństwo rozmijania się istotnych i najgłębszych dążeń ideowych społeczeństwa polskiego z odczuciami i postawą dużej części duchowieństwa młodych generacji (fakt, który niekiedy można obserwować na emigracji). Tym samym w okresie wytężonej walki o wartości chrześcijańskiej kultury narodu, będzie ona schodzić na margines z nieobliczalną szkodą dla sprawy.

W ostatnich latach w Seminariach polskich podjęto duży wysiłek podniesienia poziomu studiów przez afiliacje do wydziałów teologicznych, odpowiednie stopnie naukowe wykładowców (habilitacje), umożliwienie zdobywania stopni magisterskich przez alumnów. Nie pomniejsza to jednak wysuwanych powyżej zarzutów. Co więcej, tym tak ważnym dla Kościoła i kraju instytucjom zagraża nadmierny praktycyzm formacji, który osłabia i spłyca postawy duchowe. Coraz bardziej studia traktowane są przez studentów i często przez wykładowców nie jako w pierwszym rzędzie i nade wszystko droga do poznania PRAWDY, którą poznawszy będą się dzielić, ale utylitarnie, jako bezpośrednie przygotowanie do pracy duszpasterskiej, jak gdyby Seminarium miało być rodzajem Politechniki Duszpasterstwa, czy Wyższego Technikum z tej dziedziny.



Chodzi o właściwe położenie akcentów, a nie o rezygnację z odniesienia praktycznego.

*Zakończenie*

Wypowiedziane wyżej opinie sygnalizują jedynie narastające coraz bardziej problemy i stan faktyczny w poruszanej tu dziedzinie. Są one przedmiotem dyskusji w kręgach katolików świeckich i środowiskach kościelnych. Powyższe uwagi są próbą powiedzenia „na dachach" tego, co jest szeptane „w komorze".

*J. OŻAROWSKI*

**Uwagi J. Ożarowskiego znajdują potwierdzenie w naszych obserwacjach, a zwłaszcza w rozmowach z księżmi, którzy przyjeżdżają z Kraju, aby prowadzić działalność duszpasterską w ośrodkach emigracyjnych, przede wszystkim zamorskich. Sugerowaliśmy parokrotnie aby ci księża przechodzili na Zachodzie krótki okres przeszkolenia, głównie w zakresie historii Polski, literatury i specyfiki emigracyjnej. Ze względu na koszty i trudności zorganizowania takich kursów można by je było w pewnym sensie zastąpić przez wydanie odpowiednich skryptów. Są przecież znakomicie funkcjonujące katolickie ośrodki wydawnicze na Zachodzie, jak np. Ośrodek OO. Pallotynów we Francji, czy Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas" w Londynie. Na pewno nie rozwiązałoby to problemu, ale miałoby swoje duże znaczenie. Niestety nasze sugestie nie tylko nie znalazły żadnego echa, ale nawet spotkały się z oskarżeniami przez czynniki kościelne o ignorację, demagogię czy nawet o złą wolę.**

***REDAKCJA***

# Szkielet w szafie

## LIST DO JACKA BIEREZINA

Drogi Panie,

Nasza rozmowa telefoniczna trwała zbyt krótko, by można w niej było wyjść poza samo postawienie sprawy. Postawił ją Pan w ten z grubsza sposób: lektura *Pamiętnika moich książek* Bratnego wywołuje zgrzytanie zębów, ale nie można zaprzeczyć że jego pomysł godny jest, w takiej czy innej formie, naśladowa-

nia; chodzi o rozrachunek pisarza z samym sobą, z komunistyczną opcją w Polsce powojennej, przez pryzmat własnych książek; w wypadku Bratnego ta opcja nie uległa przerwaniu, mniejsza o to z jakich powodów; powinni odezwać się pisarze którzy ją w roku 1956 odepchnęli, powinni opisać, opowiedzieć, zanalizować, wyjaśnić swoją drogę i swój odwrót; jeżeli tego nie zrobią, pozostawią w historii naszej literatury szereg białych plam, plam książek skazanych wstydliwie przez nich samych na nieistnienie, budząc tym zabiegiem autoamputacji nieufność wśród młodszych zwłaszcza czytelników; miał Pan oczywiście na myśli pisarzy, których Bratny nazywa drwiąco „obecnymi chorążymi liberalizmu".

Ponieważ poprosił mnie Pan równocześnie o napisanie czegoś do *Pulsu*, postanowiłem tę właśnie sprawę potraktować jako temat listu otwartego do Pana. Zacznę od wypunktowania jej z pomocą trzech epizodów.

Wkrótce po 1956 roku przyjechał do Neapolu pewien znany pisarz polski, dość ściśle w „okresie błędów i wypaczeń" związany z oficjalną polityką kulturalną (nie wymieniam jego nazwiska, bo nie żyje). Przegadaliśmy pół dnia we wszystkim prawie zgodni, z wyjątkiem paru zanadto już na mój gust kawaleryjskich szarż „październikowego" herolda. Na wychodnym zaproponował mi przysłanie swoich powojennych książek, pytając które z nich czytałem. Odpowiedziałem że niestety żadnej, pytając z kolei co po wojnie wydał. Powiedziałem nieprawdę, znałem cały jego powojenny dorobek pisarski. Chwyt był nieładny, zaintrygowało mnie jednak ile pozycji sam zamierza ocalić ze swej „przedpaździernikowej" twórczości. Z jego listy wynikało, że plus minus połowę.

W roku 1971 spotkałem w Sztokholmie młodego studenta z Warszawy, świeżego emigranta w ramach „syjonistycznego" *Exodusu*. Zanotowałem jego wybuch w moim *Dzienniku pisanym nocą*, ale myślę że warto to powtórzyć w liście do Pana: „Dlaczego *Kultura* drukuje autorów, którzy jeszcze do niedawna pisywali w Warszawie z identycznym fajerem w odwrotnym kierunku? Nie twierdzę, że nie powinno się ich wcale drukować, ale czy nie łaska wprowadzić czytelników w tajniki tej akrobacji intelektualno-politycznej? Nie łaska opowiedzieć, jak się kiedyś hasało i na jaką melodię śpiewało? Co było a nie jest, nie pisze się w rejestr? Szach prach, zaklęcie magiczne, było nie było, przywidziało się? Niech źli wychowawcy na nowo wychowują źle wychowanych? Niech oszukiwani wierzą odtąd na słowo honoru ex-oszukującym?".

I wreszcie trzeci epizod, tym razem nie bezpośredni lecz z cudzej relacji. Pamięta Pan zapewne świetny rozdział o Tadeuszu Juliuszu Krońskim w *Rodzinnej Europie* Miłosza. Opowiadano mi jak na ten rozdział zareagował ktoś, kto był słuchaczem Krońskiego na Uniwersytecie Warszawskim. Rzecz jasna, nie ręczę po latach za dosłowność relacji, darujmy sobie ewentualne luki czy retusze we wspomnieniu, skoro nie to jest tutaj najważniejsze.



Więc reakcja byłego słuchacza Krońskiego brzmiała w przybliżeniu tak: „No pięknie, pięknie, Tygrys uprawiał subtelną grę, Miłosz równie subtelnie ją opisał. Za dnia Tygrys karmił nas przepisaną papką filozoficzną, wieczorem wracał do domu, brał pewnie prysznic żeby obmyć się z brudów swego nauczycielstwa i zasiadał do ulubionych lektur: Prousta i *Estetyki* Hegla. Sęk w tym, że nikt nam nie zwróci straconych lat słuchania Tygrysa".

W przytoczonych przeze mnie epizodach główną rolę odgrywa aspekt wychowawczy literatury, czy w ogóle myśli. I na ten aspekt położył też nacisk Sulik w artykule o książeczce Bratnego, ogłoszonym w kwietniowej *Kulturze* (przeczytałem artykuł Sulika teraz, w Maisons-Laffitte, w kilka tygodni po Pana telefonie do Neapolu). „Nie wolno — powiada słusznie Sulik — na własnej drodze pozostawiać niezbadanych kraterów, nie starać się zrozumieć najgłębszych swoich klęsk, swojej hańby". I dodaje: „Bratny tego nie zrobi; nadzieje na takie dzieła należy dzisiaj wiązać z jego byłymi kolegami, a obecnymi chorążymi liberalizmu". Próby dotychczasowe — *Literaturę* Woroszylskiego, *Nierzeczywistość* Brandysa, fragmenty *Kalendarza i klepsydry* Konwickiego — uważa Sulik za „zbyt defensywne i wąskie". Użyłbym mocniejszego określenia, dorzucając jeszcze *Miazgę*, której Andrzejewski nie zdecydował się nawet wydać bez cięć cenzury. Sulik kończy swój rozumny artykuł wezwaniem do pisarzy *ex*, by przekazali „treść doświadczeń na dnie polskiego stalinizmu", gdyż „potrzebna jest Polakom szczerość świadków".

Potrzebna jest Polakom. I potrzebna samym pisarzom *ex*. Przesuwam tu akcent z różnych powinności literatury na jej wewnętrzne konieczności. Co Pan nazwał zjawiskiem białych plam w historii naszej powojennej literatury, jest w procesie twórczym każdego z pisarzy o których tu mowa zjawiskiem szkieletu w szafie. Usiłowali go długo przysłaniać podartymi fatałaszkami (jak Broniewski, który mnie przekonywał, że bohater *Słowa o Stalinie* był co prawda okropny, ale sam poemat jest bardzo dobry) i oglądać przez lekko tylko uchylone drzwi szafy. Skończyli już z tym procederem, są rzeczywiście w większości wypadków niekłamanymi chorążymi liberalizmu, a przecież z szkieletem nie mogą sobie jakoś poradzić w obrębie własnej twórczości. Brak im czy odwagi czy dojrzałości, by zamiast uchylać z każdym dniem ciut ciut szerzej drzwi szafy, wywlec go definitywnie w całej okazałości na światło dzienne. Stoi więc w kącie, świeci w półmroku pustymi oczodołami, schnie i gnije, zatruwa ich samych i otoczenie. Ile czasu może to jeszcze potrwać? Literatura Wschodniej Europy znajduje się na etapie, wytyczonym w Rosji nazwiskami Sołżenicyna i Zinowiewa. Przyszłość i godność naszej wymagają przyśpieszenia i wydłużenia kroku, przezwyciężenia połowiczności. Oto jest ważna i pilna sprawa, którą postawił Pan w naszej rozmowie telefonicznej; i która podyktowała mi ten list do Pana. Uścisk dłoni —

*Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI*

# Przegląd prasy niezależnej

Ukazał się drugi numer kwartalnika politycznego *Krytyka*. (Omówienie pierwszego numeru patrz *Kultura* nr 11/78).

Ważną innowacją w stosunku do pierwszego numeru jest publikacja nazwisk członków zespołu redakcyjnego: Konrad Bieliński, Miklos Haraszti (Węgry), Vaclav Havel (Czechosłowacja), Jacek Kuroń, Jan Lityński, Adam Michnik, Stefan Starczewski (redaktor naczelny), Jan Walc i Roman Wojciechowski. Ten międzynarodowy skład należy odczytać jako deklarację kierunku dążeń niepodległościowych i demokratycznych reprezentowanych przez grupę wydawców *Krytyki*, kierunku który ujmuje polskie aspiracje niepodległościowe i demokratyczne w łączności z podobnymi dążeniami innych narodów uzależnionych od ZSSR. Trudno powiedzieć na ile, ze względu na trudno przekraczalne granice, wspólna praca redakcyjna jest możliwa, tym nie mniej numer ten, publikując wybór tekstów czechosłowackiej opozycji demokratycznej pokazuje, że obecność zagranicznych członków redakcji nie jest tylko symboliczna.

Teksty czeskie (dokumenty Karty 77, artykuły i felietony Pavela Kohouta, Ladislava Hejdanka, Jana Patocki, Jiri Hajka, Zdenka, Mlynara i Ludvika Vaculika) wypełniają ok. 1/3 numeru i poprzedzone są wstępem Andrzeja Kijowskiego. Jego refleksje kończą się dość pesymistycznym akcentem: „Główni akcjonariusze w podziale władzy nad światem są zadowoleni z systemu, (tzn. ładu ustanowionego w Jałcie), który w roku 1968 zdał doskonale egzamin. Operacja się udała — pacjent umarł. Wszyscy podzielili się odpowiedzialnością i wszyscy — i ZSSR, i bratnie kraje, i zachodni obrońcy suwerenności oraz praw człowieka — mają od dziesięciu lat w szafie trupa, który straszy. Może to trwać jeszcze bardzo długo i powtórzyć się w każdym kraju tej strefy, albowiem w systemie bez alternatyw jest wiele stopni wiodących w dół".

Nie jest to pierwszy wybór materiałów z Czechosłowacji. Po spotkaniach reprezentantów KSS „KOR"-u i Karty 77 latem ubiegłego roku i w związku z 10 rocznicą najazdu na Czechosłowację podobne materiały ukazały się w 9 numerze *Głosu*, w 6 numerze *Zapisu* i w 23 numerze *Biuletynu Informacyjnego*. Publikacje te spełniają ważną rolę przełamywania izolacji i budowania solidarności we wspólnej walce. W pozostałej części tego numeru *Krytyki* pomieszczono bardzo różnorodne materiały. Lech Dymarski, młody literat z Poznania, plastycznie opisuje atmosferę zastraszenia w środowisku studenckim w Poznaniu w maju 1977 roku, kiedy to po śmierci Pyjasa i wydarzeniach krakowskich służba bezpieczeństwa postawiona została w stan alarmowy i dokonywała groteskowych wysiłków by wykryć spisek, którego nie było. Bohdan Cywiński w artykule „Między filozofią a zbrodnią" pyta w jakiej mierze współczesna myśl filozoficzna dysponuje filozofią na czas pogardy, filozofią wspierającą człowieka i przywracającą mu utraconą nadzieję. Stanisław Krajewski i Konrad Bieliński opisują prowadzoną przez siebie w 1973 roku akcję przeciwko zjednoczeniu organizacji młodzieżowych i zaliczają to swoje działanie do tradycji *non-violence*. (Dokumenty na ten temat publikowała *Kultura* w numerach 3 i 10 z 1973 roku) Konrad Bieliński publikuje w tym samym numerze *Krytyki* jeszcze jeden artykuł „O wartościach i działaniu". Nie brak niestety jeszcze ludzi, w kraju i na emigracji, którzy w działalności opozycji demokratycznej widzą polityczną grę mniej lub bardziej dla nich sympatycznych sił. Nie dostrzegają oni wartości tworzonych co dzień w niezależnych organizacjach, komitetach, uniwersytecie latającym, czasopismach niecenzurowanych. Wartości te, jak prawda, godność człowieka, solidarność wszczepiane są wszystkim uczestnikom tych inicjatyw i mają walor trwały niezależnie od tego jak dalej potoczy się polityka.



Autor pod pseudonimem Bilbo omawia nieopublikowaną rozprawę habilitacyjną „Antynomie organizacji" Jadwigi Staniszkis. Jest to, według autora, najciekawsza chyba pozycja w dorobku polskiej socjlogii ostatnich lat, praca, o której wszyscy mówią, a mało kto czytał. Poświęcona jest podstawowym sprzecznościom systemu społecznego w Polsce, oraz analizie niejawnego przebiegu konfliktów rodzących się w tym ustroju. Roman Wojciechowski w niesłychanie drastycznym artykule „Stopień trzeci odczłowieczenia" opisuje polskie więzienia jako instytucje wychowujące przestępców, paczące charaktery i wyzuwające człowieka z jakiejkolwiek godności. Tekst ten był przesłany w 1974 roku do redakcji partyjnego tygodnika *Polityka*, która uznając wagę poruszonego problemu, zorganizowała redakcyjną dyskusję z udziałem wybitnych przedstawicieli nauk społecznych i prawnych. Jedyną osobą spośród zaproszonych, która nie przybyła na spotkanie był ówczesny dyrektor Centralnego Zarządu Zakładów Karnych gen. Filipiak. W nadesłanym do redakcji *Polityki* piśmie, informował, że tekst ten jest stekiem zmyśleń, które przedstawiają w fałszywym świetle więzienia polskie. Gen. Filipiak stwierdził też w swym liście, że nie tylko nie weźmie udziału w dyskusji, lecz powiadomi KC PZPR o spotkaniu, które uważa za szkodliwe. W efekcie nastąpiła interwencja odpowiednich czynników i nie opublikowano ani tekstu autora ani stenogramu z dyskusji.

Najważniejszą jednak pozycją drugiego numeru *Krytyki* jest zamieszczony w dziale „Polemiki" długi esej Krzysztofa Kwietnia „Ofensywa propagandowa i rezygnacja z wartości" w związku z artykułem Jana Drewnowskiego pt. „Kapitulacja ideologiczna i ofensywa polityczna", zamieszczonym w grudniowym numerze *Kultury* z 1977 roku.

Ostatni numer pisma *Głos* jakim dysponujemy, oznaczony jest numerem dziesiątym i datowany jest październik 1978. W rzeczywistości numer ten dostępny był w Warszawie dopiero na

przełomie grudnia i stycznia tego roku. Następny, o ile wiadomo, jeszcze się nie ukazał. Pismo to boryka się ze znacznymi kłopotami techniczno-dystrybucyjnymi, a szkoda bo zawiera zwykle wiele ciekawych materiałów.

Marek Tarniewski w artykule „Niepodległość od wewnątrz" czyni m.in. następujące uwagi godne odnotowania: „Ograniczoną suwerenność odczuwa się w życiu codziennym, mówi o niej gazeta, plakat, sklep. Odczuwa się ją w gospodarce, oświacie, w wojsku. Doktrynie, która te ograniczenia postuluje, można jednak przeciwstawić inną: doktrynę ograniczania niesuwerenności. Nie tylko Breżniew realizuje swoje — i poprzedników — idee. Ideom tym przeciwstawia się niepodległość obywateli i instytucji. [...] Niepodległość zaczyna się w ludziach i instytucjach suwerennych, nie-podporządkowanych władzy partyjnej, w niezależnym organizowaniu się i wypracowywaniu trudnych czasem do osiągnięcia porozumień. Niesuwerenność ulega ograniczeniu wewnątrz instytucji i stowarzyszeń oficjalnych — tam, gdzie ludzie opierają się narzucanym z zewnątrz decyzjom niekorzystnym dla interesów kraju, gdzie usiłują — choćby tylko w swojej dziedzinie zawodowej — coś zmienić na lepsze, uratować od zagrożenia lub zagłady. Takie starania nie są bezsensowne. Od ich powodzenia zależy, jak w najbliższej przyszłości będą żyć ludzie w Posce. Realizacja polskich interesów jest ciągle jeszcze możliwa w pracy nauczyciela lub inżyniera. Jest możliwa także poza oficjalnymi instytucjami i poza strukturą władzy: w niezależnym życiu społecznym. W ten sposób tworzy się w działaniu warunki sprzyjające niepodległości. Łatwiej będzie w przyszłości osiągnąć niepodległość państwa i wypracować zgodny z wolą narodu kształt niepodległości, jeśli niesuwerenność ludzi i instytucji zmniejszy się już dziś. Podległość państwa może być ograniczona, jeśli ludzie mniej skwapliwie będą ją realizować i upowszechniać. Groźne jest działanie instytucji przekazujących społeczeństwu niesuwerenność. Ale tę groźbę może zmniejszać opór rozmaitych warstw społecznych, realizowanie w życiu społecznym wartości wbrew instytucjom nadzoru i kontroli".

W dziale „Kultura polityczna" Jan Kamiński pisze o niektórych aspektach moralności w polityce, tak jak to rozumiano w okresie Drugiej Rzeczpospolitej. Wojciech Zbrucz w artykule „Jak myślą Polacy?" zastanawia się jakie idee i postawy ujawniłyby się w Polsce masowo, gdyby mogły się kształtować swobodnie. Jego wniosek: „Sądzę, że byłaby ich ogromna ilość. Opadłaby łącząca dziś odruchowa postawa oporu wobec władzy. Sądzę, że byłyby to stanowiska słabo zwerbalizowane, choć może posługujące się wielką ilością słów, emocjonalnie traktowane, odwołujące się do instynktownie rozumianej swojskiej większości, która miałaby je poprzeć, a przy tym nie rozumiejące się wzajem i wypominające sobie wszystkie grzechy, jakich tylko można było dopuścić się przez ostatnich trzydzieści lat podległości".



W dziale historii najnowszej Wacław Pański omawia dorobek Polskiej Partii Socjalistycznej w latach Drugiej Rzeczpospolitej i wyraża m.in. taką refleksję: „W każdej z tych myśli politycznych (tj. reprezentowanych przed wojną) znajdowały się elementy warte nadal refleksji, choć prowadzić ona może zarówno do twórczego przyswojenia, jak do odrzucenia przez znalezienie alternatywnego rozwiązania. Natomiast deklarować się Anno Domini 1978 w szeregach ND, sanacji, SL czy PPS nie ma po prostu sensu, świadczyłoby tylko o braku samodzielnego myślenia, o epigonizmie. Ludwik Cohn w następnym artykule kontynuuje opis ruchu socjalistycznego, przedstawiając działalność WRN w czasie wojny. Najdłuższy, ponad dwudziestostronicowy artykuł tego numeru *Głosu to* „17 września 1939" Leopolda Jerzewskiego. Jest to gwałtowny atak na postawę i poczynania, a właściwie ich brak, sanacyjnej ekipy rządowej w związku z agresją Rosji Sowieckiej w dniu 17 września 1939 roku. Jerzewski oskarża Wodza Naczelnego, Prezydenta i Premiera o karygodną ślepotę i zamroczenie własnymi ambicjami do tego stopnia, że dopuścili się oni „najcięższej zbrodni przeciwko Narodowi i interesom Rzeczypospolitej". Zapędzeni z własnej inicjatywy w zapadły kąt kraju skąd droga już tylko wiodła do granicy w Zaleszczykach i do opuszczenia walczącego Narodu zaniedbali wykonania choćby tylko symbolicznych aktów, np. wydania deklaracji stwierdzającej, iż wskutek niesprowokowanej agresji Armii Czerwonej współdziałającej z wojskami niemieckimi, Rzeczpospolita Polska znalazła się w stanie wojny z ZSSR. Według Jerzewskiego brak takiej deklaracji wprowadził w błąd społeczeństwo polskie, uniemożliwił Polskim Siłom Zbrojnym stawienie demonstracyjnego — dla celów jedynie politycznych — oporu zbrojnego Armii Czerwonej i skłonił tysiące polskich oficerów do poddania się władzom sowieckim co w rezultacie zaprowadziło ich do Katynia. Są to bardzo ciężkie oskarżenia i ciekawe będzie jak zareagują na nie historycy darzący sanację większą sympatią.

Na koniec zacytujmy jeszcze fragment felietonu Jana Walca pt. „Czy Polacy mogą się wybić na niepodległość?":

„Pomiędzy rozmaitymi grupami opozycyjnymi dochodzi od pewnego czasu do różnicy poglądów w kwestii tak fundamentalnej jak niepodległość Polski. Są tacy, którzy uważają, że walka o nią jest obecnie sprawą najistotniejszą, są inni, przekonani iż hasła niepodległościowe są dziś tylko wywoływaniem wilka z lasu czy raczej czołgu z bazy, są wreszcie i tacy, którzy współczesną Polskę uważają za państwo niepodległe a tylko niepraworządne i dążą do przywrócenia owej utraconej praworządności.

Wydaje mi się, że ta różnica zdań opiera się na nieporozumieniu — na tym, iż pojęciu „niepodległość" przypisuje się zupełnie rozmaite znaczenia"...

*J. Ś.*
Sztokholm

# Problemy przywództwa grup etnicznych

Istniejący od kilku lat Zakład Duszpasterstwa i migracji polonijnej Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego zorganizował w dniach 27-29 grudnia 1978 roku sympozjum na temat podany w tytule niniejszej noty. Była to pierwsza większa impreza naukowa tego Zakładu z udziałem osób z zewnątrz. Przede wszystkim, jeśli nie wyłącznie, zajmuje się on problematyką migracyjną w związku z Kościołem i oczywiście w ramach polskiej grupy etnicznej.

Kościoły wszystkich wyznań odegrały olbrzymią rolę w życiu imigrantów różnych narodowości. Duchowni byli ich przewodnikami, opiekunami, doradcami i rzecznikami. Niektóre grupy opuściły swój kraj ze względów religijnych i dla nich duchowni ci mieli jeszcze większe znaczenie.

Jeśli chodzi np. o polskich imigrantów do Stanów Zjednoczonych, to pierwsza grupa przybyła z księdzem Leopoldem Moczygembą, a jeśli chodzi o późniejsze, to albo duchowni wchodzili w ich skład, albo rychło do nich dołączali. Jest sporo materiałów dotyczących tego problemu i mnóstwo hagiograficznych przyczynków, ale mało, bardzo mało obiektywnych opracowań naukowych. Dobrze więc, że utworzony został przy KUL-u specjalny ośrodek, który prowadzi odpowiednie badania.

Sympozjum wywołało duże zainteresowanie wśród ośrodków krajowych zajmujących się zagadnieniami migracyjnymi, natomiast udział ośrodków zagranicznych był bardzo ograniczony. Ze Stanów Zjednoczonych nadesłali referaty Thomas Lindsey Baker i Konstanty Symmons-Symonolewicz; prof. Daniel Buczek, Alojzy Mazewski — prezes Polonii Amerykańskiej i Edward Różański usprawiedliwili swoją nieobecność, a prelekcje ich zostały skreślone. Z Kanady było też tylko dwóch prelegentów: prof. Adam Bromke i niżej podpisany. W sympozjum wziął także udział p. Sławomir Pikulski, działacz Związku Polaków w Niemczech.

Konferencja miała charakter akademicki tak z uwagi na poziom prelekcji, jak i osób biorących w niej udział. Tylko referat p. Pikulskiego, który mówił o trudnościach grupy polskiej w Niemczech Zachodnich, miał charakter społeczny.

O problemach Polonii Amerykańskiej mówił jeszcze ks. dr Piotr Taras; o Polonii francuskiej — ks. dr Roman Dzwonkowski, a o niemieckiej — ks. dr Anastazy Nadolny i dr Jerzy Oleksiński, zaś problematykę australijską przedstawił O. dr Zdzisław Konosiński. Wszyscy ci referenci, podobnie jak i inni uczestnicy sympozjum są pracownikami naukowymi KUL-u względnie innych ośrodków naukowych.



W sympozjum uczestniczyło około 100 osób, z tym że na poszczególnych sesjach było sporo młodzieży, zapewne studentów KUL-u oraz księży. Ze Stanów Zjednoczonych przybyła ponadto grupa przyjaciół KUL-u. Dyskusje były bardzo ożywione i świadczyły o znajomości zagadnień migracyjnych. Zabierali w nich głos polscy specjaliści, autorzy opracowań socjologicznych i historycznych o emigracji polskiej w różnych krajach jak np. pp. Brożek, Drozdowski, Groniewski, Kubiak, Morawska i Taras.

Jeden z dyskutantów (nie zanotowałem niestety jego nazwiska) zauważył, że we wszystkich krajach grupa polska oraz inne grupy etniczne mają możliwość kultywowania języka ojczystego, utrzymywania szkół, zachowania identyczności. Tak samo mniejszości w Polsce: ukraińska i białoruska mają te same możliwości, istnieją szkoły itp. Natomiast co się dzieje z mniejszością polską w ZSSR, dlaczego nie korzysta ona z tych samych praw, co obie mniejszości słowiańskie w Polsce? Prof. Drozdowski, w formie niezmiernie delikatnej, usiłował zareagować na tak niedyskretne uwagi, wskazując iż problem ten w ZSSR przedstawia się — niestety — inaczej i że nie można go rozpatrywać w ten sam sposób, jak w innych krajach, w tym również i w Polsce. Nikt więcej do tego tematu nie powrócił. Na każdej konferencji naukowej, gdy pada pytanie w sprawie mniejszości polskiej w ZSSR, po kłopotliwym milczeniu pada jakaś zawstydzająca odpowiedź-wyjaśnienie, najczęściej że strona polska nie posiada żadnych wiarygodnych i ścisłych danych statystycznych.

Tematyka sympozjum, zapewne wbrew oczekiwaniom organizatorów, nie była zbyt interesująca i nie mogła się stać polem dyskusji porównawczej. Nawet gdy chodzi o duchownych jako przywódców, to inaczej kształtowało się to w poszczególnych okresach czasu i w różnych krajach, a często nawet okręgach. W grupach polskich trudno byłoby wskazać osobę, która byłaby niekwestionowanym przywódcą całości. Odnosi się to zarówno do duchownych jak i do świeckich. Natomiast byli — czasem nawet bardzo wybitni — przywódcy poszczególnych organizacji, przywódcy lokalni, osoby bardzo wpływowe, które wiele zdziałały i miały poważny wpływ na rozwój wypadków w danej grupie. Nie należy tu zapominać, że grupy imigrantów tylko przez krótki okres czasu tworzą zwartą całość, tj. nie różnią się w swoich dążeniach, warunkach życia codziennego itp. Mylne jest więc traktowanie ich stale, w każdym okresie, jako grupy homogenicznej, nie dostrzegając różnic, a nawet sprzeczności, występujących już po prowizorycznym zapuszczeniu korzeni.

Niektórzy referenci i dyskutanci mówili o właściwościach, jakie powinni posiadać przywódcy, wskazywali jak powinni wywiązywać się ze swych obowiązków, zadań itp. — zdawali się jednak nie wiedzieć, że nawet najlepsza recepta nie stworzy przywódcy.

W przeszłości, szczególnie w Stanach Zjednoczonych, kilku duchownych odegrało wybitną rolę w życiu polskich imigrantów, ale jej obecna ocena niekoniecznie pokrywa się z dawniejszą. Zresztą

na przykładach dawnych osiągnięć nie można budować jutra. Odmienne są realia, odmienna struktura społeczna polskich grup, inne warunki życia, inne nastawienie większości społeczeństwa w krajach osiedlenia itp. Zasadnicze cele, przyświecające dawnym przywódcom na wszystkich szczeblach, obecnie nie mają takiego samego odzewu. Duża zwartość polskiej grupy w USA wynikła m.in. z masowego osiedlenia się w jednym rejonie — np. w Chicago, Buffalo, Detroit i to w pewnych dzielnicach, na tych samych ulicach. Powstawały swego rodzaju getta. Polscy imigranci odznaczali się brakiem mobilności *(social mobility)* — ruchliwości społecznej. Najdłużej pozostawali na jednym poziomie, nie włączyli się w ogólny nurt życia społecznego, wyżywając się wewnątrz własnej grupy. Czołowi działacze, przywódcy, uważali utrzymanie odrębności grupy polskiej za swoje najważniejsze zadanie. Sądzili, że można w ten sposób zapobiec asymilacji, zachować w całej rozciągłości jedność religijną, uchronić imigrantów od wpływów wyznań protestanckich. Wszystkie osiągnięcia na tym polu były przejściowe i krótkotrwałe, gdyż po prostu założenia były błędne. Asymilacja jest procesem naturalnym, któremu ulegają absolutnie wszystkie grupy narodowościowe w każdym kraju osiedlenia i wobec tego zadaniem przywódców powinno być raczej dbanie, aby proces ten przebiegał bez zgrzytów, aby służył grupie jak najlepiej w jej zmienionej postaci tj. jako części społeczeństwa kraju osiedlenia.

W niektórych krajach imigracja była zbyt niska liczebnie, aby mogła utrzymać się nawet mając wybitnych przywódców, lub jak np. w Kanadzie, gdzie obszar kraju i rozmieszczenie na nim polskich imigrantów przesądziły problem przywództwa: po prostu nie było warunków dla jednego ogólnokrajowego przywódcy, prawdziwego reprezentanta całości grupy. Natomiast byli i są obieralni prezesi wielkich i małych organizacji na szczeblu krajowym, prowincjonalnym, okręgowym i lokalnym.

Grupy polskie — ich struktura organizacyjna — znajdują się w stanie przemian. W jakim pójdą kierunku?

*B. HEYDENKORN*

## *Sąsiedzi*

# O kościele katolickim w ZSSR

Z dużym opóźnieniem zapoznałem się z relacją XYZ na temat sytuacji Kościoła katolickiego w ZSRR, zamieszczoną w numerze 3/4, 1978 wychodzącego w Londynie *Przeglądu Powszechnego*. Znalazło się w niej, niestety, kilka rażących nieścisłości i fałszywych informacji, które domagają się sprostowania.

1. Autor relacji stwierdza słusznie (str. 6), że sytuacja Kościoła katolickiego na Białorusi jest najgorsza. Wymierają bowiem dotychczasowi, starzy duszpasterze, pracujący tu od czasów przedwojennych na dawnych terenach Drugiej Rzeczypospolitej. W ostatnich kilkunastu latach pozwolono podjąć tu pracę zaledwie kilku młodszym kapłanom. Jeden z nich otrzymał święcenia kapłańskie w Rydze po okresie długiego na nie oczekiwania od chwili ukończenia Seminarium. Dwaj inni otrzymali je potajemnie, jednakże uzyskali ostatecznie pozwolenie na pracę duszpasterską w wielkich parafiach pozbawionych kapłanów (Brasław, Żołudek, Baranowicze).

W ub. roku rozeszły się pogłoski (1978) o rzekomych obietnicach władz wyznaniowych na Białorusi, co do możliwości przyjazdu tam tych księży z Polski, którzy pochodzą z tych terenów i mają tam swoje rodziny. Wiadomości te przekazał jeden z księży z Białorusi, przebywający w Polsce na kuracji. Przed wyjazdem wezwał go „pełnomocznyj" od spraw kultu i polecił powiedzieć o tym w Polsce. Polecenie zostało gorliwie spełnione. Z kolei wiadomość podano na zebraniu księży dziekanów diecezji lubelskiej, bez żadnych komentarzy. Pogłoski przeniknęły na tereny wschodnie i zostały skwapliwie podchwycone przez wiernych. Wydają się one jednak być obliczone na neutralizowanie jakichś energiczniejszych starań ze strony ludności o zdobycie księży dla opuszczonych, licznych parafii, przez podtrzymywanie nieokreślonych nadziei.

Warto dodać, że jeden ze znanych mi księży, pochodzący spod Mińska, podjął w ub. roku śmiałą próbę wykorzystania tych pogłosek, które zresztą podawano jako wiadomości autentyczne. Z okazji pobytu u rodziny udał się do samego ministra kultu na Białoruś, oświadczając gotowość pozostania, zgodnie z wyliczanymi warunkami (pochodzenie z konkretnej parafii, istnienie otwartego kościoła, istnienie komitetu). Ponieważ udał się tam z dwoma przedstawicielami uznanego przez Moskwę komitetu parafialnego (tzw. dwudziestki, której skład zatwierdzany jest w Moskwie) i powołał się na konkretną obietnicę czy rozporządzenie, wywołał tym konsternację i zamieszanie na każdym etapie jej przedstawiania (sekretarki ministra, jego zastępcy i wreszcie samego ministra). Usłyszał naturalnie odpowiedź odmowną. Doszły do mnie wiadomości o dwóch jeszcze podobnych staraniach na niższym jednak szczeblu, także z wynikiem negatywnym.

Nie jest prawdą co pisze autor (str. 6), że na Białorusi pracuje tylko „paru wiekowych duchownych katolickich". W roku 1977 było ich tam bowiem łącznie 50 (pięćdziesięciu). W guberni grodzieńskiej, obejmującej największą część dawnych ziem polskich pracowało 37 księży, w mińskiej — 7, a w witebskiej — 6. Liczba ta zmniejszyła się o kilku ostatnio zmarłych. Zupełnie fałszywe i w dodatku bardzo szkodliwe jest zdanie, że „ludność wyznania rzymsko-katolickiego jest bardzo nieliczna" (tamże) na Białorusi. Według bowiem szacunkowej oceny samego ministra kultu republiki, Zaleskiego, rezydującego w Mińsku — która znana jest księżom, choć nigdzie jej oficjalnie nie podano — na Białorusi żyje obecnie 2250 tys. rzymsko-katolików (dwa miliony dwieście pięćdziesiąt tysięcy). Jeśli uważać, że republika ta liczy niemal 10 milionów ludności, to 20 % katolików nie stanowi zbyt wiele.

Należy pamiętać, że włączono do niej dużą część dawnej wileńszczyzny o przewadze katolików, następnie nowogródzkie, gdzie w roku 1931, na ogólną liczbę ok. miliona chrześcijan, było tylko 107 tys. więcej prawosławnych. Wojenny i powojenny exodus ludności polskiej i białoruskiej objął tylko jej część. Jeszcze obecnie w dawnym powiecie oszmiańskim są całe wioski czysto polskie, które dużym przyrostem naturalnym nadrobiły powojenne straty ludnościowe. Podobnie bywa i gdzie indziej.

Inna sprawa, że młodsze i najmłodsze pokolenie nie zna już prawie języka polskiego, wobec bezwzględnego odcięcia ludności od współczesnej kultury polskiej. Jednak związane jest ono, z kościołem katolickim, gdzie cała liturgia, poza nielicznymi wyjątkami, sprawowana jest w języku polskim. Dlatego twierdzenie o niewielkiej liczbie katolików na Białorusi, jest wyjątkowo szkodliwe, bo odbiera argument żądaniom o tak bardzo potrzebnych tam duszpasterzy. Ci, którzy dotychczas pracują są przeciążeni zajęciami ponad siły, gdyż obsługują po kilka, kilkanaście lub nawet kilkadziesiąt, daleko od siebie położonych, czynnych jeszcze parafii (położonych tuż nad dawną granicą wschodnią RP). Np. ks. J.P. z Rubieżewicz ma pod swoją opieką aż 24 parafie.



Poza nielicznymi wyjątkami (np. Brasław) katolicy tutejsi nie potrafią podejmować starań o większe swobody religijne i o kapłanów. Starzy i zmęczeni ciężkimi przejściami księża nie są już w stanie inspirować takich starań i skarżą się jedynie na brak odpowiednich ludzi do tego rodzaju akcji, na marazm, zastraszenie, pijaństwo i praktyczny materializm kołchoźników. Z każdym rokiem sytuacja staje się więc coraz bardziej dramatyczna. Można się spotkać z cichym, po ludzku beznadziejnym oczekiwaniem starszego pokolenia na jakąś nieokreśloną pomoc i zmianę.

Wspomniano wyżej o pewnych wyjątkach dotyczących języka liturgii. Stanowią go parafie obsługiwane przez ks. Włodzimierza Czerniawskiego, który jest gorliwym, lecz bardzo nieroztropnym i krótkowzrocznym patriotą (by nie użyć innego i zapewne właściwego określenia) białoruskim. Przed dwoma laty w rozmowie ze mną ks. Czerniawski stwierdził, że jeśli w tej chwili nie przejdzie się w pracy duszpasterskiej na język białoruski, to za 10 lat Kościół katolicki na Białorusi przestanie istnieć, ponieważ ludność nie rozumie po polsku. Dlatego on sam od wielu już lat pracuje nad wprowadzeniem tego języka do liturgii. Jego dziełem jest przygotowanie tłumaczeń nowych tekstów liturgicznych, którym ks. Kazimierz Kułak (ostatni kułak w ZSRR, jak sam o sobie mówi) nadawał formę literacką. Pisałem już gdzie indziej o protestach ludności przeciwko wprowadzaniu języka białoruskiego do liturgii w kościołach, gdzie od wieków panowała łacina i język polski. Wszyscy zebrani w kościele kilkakrotnie go opuszczali gremialnie. Pozostawało jedynie kilka głuchych już staruszek. Protesty te były bezskuteczne i wobec braku w pobliżu innego kapłana i kościoła, ludność zobojętniała wobec tej praktyki. Pomijam tu inne przykłady dotyczące *forum internum*.

Należy jednak odpowiedzieć na stwierdzenie o załamaniu się Kościoła w wypadku nieprowadzenia języka białoruskiego. Otóż według zgodnej opinii księży pracujących na tych terenach, nie jest to bynajmniej sprawa języka, lecz obecności kapłana. Generalne przejście na język białoruski, który jest konsekwentnie zastępowany rosyjskim w najważniejszych instytucjach społecznych, byłoby ciężkim ciosem duchowym dla ludności. Byłoby bowiem odebrane, jako ostateczne oddanie jej imperium panującemu. Język łaciński czy polski stał się tu symbolem nie tylko odrębności religijnej i kulturalnej katolików, ale także nadziei na zmianę i wyzwolenie. Doświadczenie ostatnich 40 lat pokazuje, że język białoruski w polityce narodowej rosyjskiej jest jedynie etapem do rosyjskiego. Widać to szczególnie na przykładzie wielu szkół, które jeszcze 20 lat temu miały język wykładowy białoruski, a obecnie mają rosyjski. Wystarcza żądanie nawet niewielkiej grupy uczniów Rosjan, czy nie Rosjan, że chcą się uczyć w języku rosyjskim, by wprowadzić go dla całej szkoły. Polityka ta jest bardzo zręcznie i konsekwentnie realizowana.

2. Nie jest zgodne z prawdą, że od Zbrucza po Kaukaz pra-

cuje tylko 15 duchownych katolickich (str. 6). Jest ich bowiem w tej chwili co najmniej dwudziestu. Na Kaukazie tzn. w Gruzji, a raczej w jej stolicy Tbilisi, pracuje nie jeden, lecz dwóch księży: Ks. Jan Śnieżyński, i ks. Józef Kornaszewski. Pierwszy z nich pochodzi z Ukrainy, a drugi z Łotwy. Obaj kończyli Seminarium Duchowne w Rydze.

Ośrodkiem religijnym jest tzw. kościół polski w Tbilisi pod wezwaniem św.św. Piotra i Pawła, zbudowany przed stu laty z inicjatywy Polaków i doskonale utrzymany. Czuwają nad tym, w pewnym sensie, same władze wyznaniowe, bynajmniej nie z troski o sam kościół. Powodem jest fakt, że wśród osobistości oficjalnych i turystów trafiają się katolicy, którzy pytają o kościół katolicki w stolicy. Policja wtedy uprzedza o wizycie i zaleca zadbanie o kościół, co zresztą jest rzeczą zbyteczną.

Jest to także przykład wszechpanującej fasadowości. Istnieją bowiem w Gruzji w Armenii skupiska katolików, gdzie nawet księża miejscowi nie mogą dojeżdżać. Ostatnio jeden z takich ośrodków w Gruzji, po długich staraniach uzyskał pozwolenie na sprowadzenie księdza. Wobec braku księży w ogóle, wierni nie mogą znaleźć kandydata.

Słusznie XYZ zwraca uwagę, że prawny i społeczny status księży jest najniższy z możliwych. Pomimo bowiem płacenia stosunkowo dużych podatków od swoich skromnych pensji (wypłacanych przez komitet kościelny) nie mają oni prawa korzystania z ubezpieczeń nie będąc na pracy państwowej. Nie oznacza to jednak wcale ciężkiej sytuacji materialnej. Ta bowiem jest dobra lub bardzo dobra (gorsza jest natomiast z reguły, a niekiedy zła sytuacja mieszkaniowa). Jest tak dzięki ofiarności wiernych. KGB dobrze zna te sprawy i czasem w rozmowach z księżmi podkreśla nawet, że mają dużo lepiej niż w Polsce.

Comiesięczne kontrole i przesłuchania, o których wspomina autor (str. 7), są raczej czymś zupełnie wyjątkowym, a nie regułą i zależą od indywidualnej pozycji księdza. Czasem nawet są rzadkie, jeśli ksiądz potrafił sobie wyrobić mocniejszą pozycję przez swój spokój, rozwagę oraz inteligentną i dowcipną nieustępliwość. Zawsze jednak wspomniane rozmowy stanowią bardzo ciężkie przeżycie, gdyż zmierzają do moralnego i psychicznego załamania lub podchwycenia na czymś rozmówcy. W stosunku do młodszych wiekiem księży dotyczą one często najbardziej intymnych spraw (np. możliwości zachowania celibatu, trudności itp.). Z reguły też częste wezwania KGB stosuje wobec młodych księży licząc na ich niedoświadczenie i wrażliwość. Starsi i znani mają pod tym względem większy spokój.

Obok kontroli oficjalnej, istnieje ukryta w postaci kolaborantów KGB, zwerbowanych już to wśród członków komitetu parafialnego, już to wśród osób w jakiś sposób związanych blisko z kościołem i księżmi. Zwykle, choć nie zawsze, kolaboracja ta jest znana lub podejrzewana. Nie można jednak na nią nic



poradzić poza ostrożnością w najbardziej niewinnych sprawach. Wszystko bowiem może być przedmiotem donosów.

3. Nieścisłe są relacje dotyczące wiernych w niektórych miejscowościach na Podolu. Otóż w Kamieńcu Podolskim, gdzie na 60 tys. mieszkańców żyje 6 tys. katolików i Polaków, udało się otworzyć miejsce kultu. Kosztowało to trzy lata starań, w czasie których wysyłano setki listów z podpisami do najwyższego urzędu wyznaniowego w Moskwie, wysyłano delegacje, udawano się zbiorowo do miejscowego urzędu i pod pomnik Lenina (po otrzymaniu odpowiedzi odmownej), do którego kierowano głośne *quasi* prośby o wysłuchanie, skoro urzędnicy okazali się twardzi. W ten sposób uzyskano kaplicę na cmentarzu. Jest to niewielka, lecz bardzo solidna budowla, którą w ub. roku adaptowano dla celów kultu. Otwarcie nastąpiło we wrześniu.

W Mukarowie Podleśnym (ok. 30 km. od Kamieńca) przed 19 laty, grupa kolaborantów z komitetu podstępnie przekazała klucze policji i kościół zamknięto. Jest to budowla neogotycka, okazała i dobrze zachowana. Po trzech latach, podobnych jak w Kamieńcu starań, otrzymano zgodę z Moskwy na piśmie (przywiózł ją specjalny wysłannik), zezwalającą na zajęcie kościoła. Jednakże władza miejscowa nie zgodziła się na zajęcie świątyni i poradziła delegacji zająć jakąś chatę na dom modlitwy *(waźmijcie chatu)*. W kościele urządzono nie tyle muzeum ateizmu, jak wspomina autor, co sztuki ludowej, organizowano jakieś imprezy dla dzieci i młodzieży itp. Z okazji tych ostatnich przy kościele miały miejsce wielokrotne utarczki, gdyż katolicy chcieli kościół zająć mając po temu podstawę prawną. Działo się to w r. 1977 i 1978. Ludność była zdecydowana dochodzić swoich praw. Nie wiadomo jaki jest w tej chwili wynik tej walki.

Sprawa jest o tyle ciekawa, że ilustruje podwójną niewątpliwie grę władzy państwowej. „Góra" jest dobra i zgadza się. Natomiast władza miejscowa usiłuje ograniczyć i zmienić jej polecenie. Trudno uwierzyć, by nie działała z cichego pozwolenia wyższej instancji, a raczej z jej polecenia. Przypomina to znany schemat rosyjski: car jest dobry, tylko czynownicy są źli.

4. Sprawa cerkwi unickiej jest bardzo złożona i bolesna zarazem. Władza sowiecka, zgodnie z tradycją carską, zlikwidowała ją bezwzględnie, postarawszy się o cyniczne pozory legalności. Życie kościoła unickiego zeszło w pewnym sensie do podziemi, gdzie zresztą bujnie się rozwija. Ponieważ istniejące kościoły łacińskie mają pewną swobodę pracy, ludność unicka kieruje się do nich tam gdzie są dla niej osiągalne, lub idzie do prawosławnych, często byłych unickich (na dawnych ziemiach polskich).

Poziom uświadomienia religijnego unitów jest jednak bardzo niski, pomimo objawów żywej wiary. Duchowni katoliccy bardzo ofiarnie służą unitom, nie czyniąc żadnych różnic, a tam gdzie to możliwe respektując ich odrębności.

Niepokoi głucha, nierzadko manifestowana niechęć i wrogość niektórych, ukrytych duchownych unickich, pomimo ciągłej wielostronnej pomocy od łacinników. O ile ich starsze, przedwojenne pokolenie posiada odpowiednie wykształcenie, o tyle poziom najmłodszego, uformowanego „po cichu" kleru, jest wyjątkowo niski. Łatwo to zrozumieć wobec braku pomocy naukowych, wykładowców i dogodniejszych możliwości formacji.

Trudno w tej chwili rozwijać ten pasjonujący i skomplikowany problem kościoła unickiego. Narzuca się jednak jeden zasadniczy postulat. Jeśli duża żywotność tego kościoła ma być siłą budującą jedność chrześcijańską między od tylu wieków żyjącą tu razem ludnością ukraińską i polską, unicką i łacińską, wobec wspólnego przecież niebezpieczeństwa — musi być prowadzona wielka praca nad uszlachetnieniem uczuć narodowych duchem Ewangelii, tzn. miłości bliźniego i szacunku dla innych, nieukraińców i katolików. Musi to podjąć przede wszystkim ten ciągle żywy, choć milczący tam i ukryty Kościół. Uzasadniona ze wszech miar walka o własne prawa bez tych warunków może prowadzić tylko do gorszych, niż dotychczasowe nieszczęść. Nie trzeba chyba wskazywać komu zależy na takiej ewentualności.

*J. MIRSKI*

Rzym, 1. III. 1979

P.S. Dołączam modlitwę z Białorusi po stracie księdza.

Parafia Żeladź, Białoruś od roku 1946 brak kapłana.

## MODLITWA PO STRACIE DROGIEJ OSOBY

O Panie Jezu tak Ty chciałeś i tak stać się musiało, abyśmy przez odebranie kapłana, tej najdroższej istoty dla całej parafii naszej, którego dałeś nam jako przedziwny skarb życia, utracili tak wiele.

Odebrałeś nam Panie tak wiele, i mimo tego, że Ty sam o Jezu jeszcze z nami zostajesz od czasu do czasu tu w tym ołtarzu, czujemy się ogołoceni z naszego dobra zupełnie i ból straszliwy jest nam niezmiernie dotkliwym.

Zaciążyła nad nami ręka Twa o Jezu i odjąć tej przemocy nie możemy.

Chcemy jednak przyjąć pokornie ten cios jakim złamałeś nam serca.

Tylko o Panie Jezu niosący krzyż dla miłości naszej, wejrzyj na tę niemoc naszą z jaką usiłujemy krzyż Twój dźwigać i podaj nam rękę byśmy pod nim nie upadli.

Zamknij o Jezu usta nasze na słowa skargi i żalu, a otwórz serca nasze na przyjęcie pociechy, jaka jedynie z krzyża Twego



może spłynąć do dusz naszych parafian smutkiem i żalem znękanych.

Pociągnij nas ku sobie, byśmy u stój Twoich mogli złożyć boleść, która tak boli każdego parafianina, pozostającego bez duchowej pociechy, bez kapłana, którą to tak trudno nam zwalczyć przychodzi.

O Zbawicielu nasz, któryś płakał nad stratą swego przyjaciela Łazarza, przebacz i nam łzy nasze, wylewane nad stratą przyjaciela całej naszej parafii — kapłana — i żalu naszego za grzech nie poczytuj.

Cierpimy niewysłowionym cierpieniem, ale chcemy je połączyć z Twoją męką i wszystkimi życia i śmierci Twojej bólami aby to nasze cierpienie stało się jakoby ogniem wypalającym wszystko to co nas przygniata do ziemi.

Chcemy Cię chwalić, a nie obrażać swym bólem.

Chcemy Ci go złożyć w ofierze na intencję uproszenia innego kapłana, który by znów w naszym ubogim kościółku mógł sprawować ofiarę Mszy św.

O Matko Cudowna z Góry Karmelu, Ty która jesteś Patronką i Opiekunką naszej parafii, wstaw się za nami grzesznymi do Syna swego, by On gniew swój cofnął nie pomnąc na nasze grzechy, aż z miłosierdzia Swego dał nam znów kapłana, który by nadal dusze nasze prowadził do Ciebie, o Matuchno nasza...

Serca nasze spodziewają się tego od Ciebie Matuchno Szkaplerzna, że Twój obraz nie zechce być osamotnionym, a dzieci Twe, które Cię Matko o to proszą, będą Cię chwalić wraz z kapłanem, którego od Twej nieskończonej dobroci spodziewamy się.

Zlituj się Matko, dodaj nam siły i odwagi do zwyciężenia serc naszych, które znękane żalem i tęsknotą co chwila łamią przyrzeczenie dobrowolnego zgadzania się z wolą Bożą.

Pokrzep nas, przemów do nas tym słowem co koi, ucisza i leczy.

Jesteśmy obciążeni, więc o Jezu stań się naszym przyjacielem, naszą dźwignią, naszą radą i osłodą życia naszego.

Pomóż nam Jezu dźwigać krzyż wolą Twoją na nas włożony, aby nas nie zgniótł swym ciężarem.

Przygarnij nas do swego krzyża, byśmy się mogli na nim oprzeć, i w jego ramionach znaleźć utulenie i spokój.

Niech opieka Twoja o Jezu ukrzyżowany stanie się nam tarczą od grzesznego zwątpienia, od tych gorzkich myśli, które odpychają prawdziwą w miłości Twojej pociechę.

Niech dolę swoją znosimy mężnie i cierpliwie, aby zasłużyć na połączenie się z Tobą w chwale szczęścia wiecznego przez Twe bóle i cierpienie, o zbolały Chryste. Amen.

CCPP, sierpień 1969

# W sowieckiej prasie

*Izwiestia* zareagowały na to wydarzenie długim artykułem. Co dziwniejsze — natychmiast. 28 marca br. 29-letni sowiecki marynarz Jurij Własienko sam rozerwał się granatem na terytorium poselstwa Stanów Zjednoczonych w Moskwie. Artykuł w *Izwiestiach* ukazał się następnego dnia. W ciągu dziesięciu lat napisałem sto przeglądów prasy sowieckiej, ale ani jedno z setek poruszanych w tych przeglądach wydarzeń nie wywołało u mnie takiego zdziwienia, oburzenia i pogardy.

Jurij Własienko przeskoczył koło cerberów pilnujących ambasady amerykańskiej w Moskwie i poprosił o azyl. Ma się rozumieć spotkał się z odmową. Po półgodzinnych namowach Własienko odmówił dobrowolnego powrotu w objęcia agentów KGB, niecierpliwie czekających na niego przy bramie. Wtedy poseł amerykański — mimo że człowiek poszukujący azylu groził rozerwaniem się granatem w wypadku wydania go władzom sowieckim — zaprosił „władze sowieckie" tj. KGB do ambasady. Jurij Własienko wolał zginąć.

Kiedy niecały rok temu szach wydał władzom sowieckim pilota, który szukał azylu w Iranie, można było tłumaczyć, że zrobił to dyktator, mający do tego długą wspólną granicę z ZSSR. Ale cóż można powiedzieć o pośle amerykańskim który, być może, działał w myśl wskazówek Departamentu Stanu? W *Izwiestiach* zachowanie Amerykanów określono jako tchórzliwe i trudno w tym wypadku nie zgodzić się z sowieckim oficjalnym pismem. Gazeta sowiecka przypomniawszy sobie zapewne tekst książki, której się w Moskwie nie sprzedaje, pisze że Amerykanie „umyli ręce" i wezwali władze sowieckie, aby pozbyć się kłopotliwego uciekiniera.

Amerykański poseł Malcolm Toon oświadczył, że decyzję wydania Własienki powzięto dlatego, że okazał się chorym psychicznie, zagrażał życiu i mieniu Amerykanów (u paska uciekiniera wisiał granat), przede wszystkim zaś dlatego, że był obywatelem sowieckim. *Izwiestia* zgodziły się z posłem, że Własienko był chory psychicznie. W Związku Sowieckim już od dość dawna stan psychiczny obywateli jest określany przez współpracowników KGB od pierwszego spojrzenia a często nawet i zaocznie. Będąc stosunkowo niedługo w Moskwie Malcolm Toon nabył widocznie tych umiejętności widzenia obywateli sowieckich na wskroś.

Tylko z pamiętników dowiemy się w jaki sposób Malcolm Toon podjął decyzję umycia rąk. Możliwe, że z własnej inicjatywy. Niedawno sowieccy nadzorcy czystości rasowej wciągnęli go na listę „syjonistów". Albo jego żona nie całkiem jest tutaj w porządku, albo z jego przyjaciółmi jest jakoś niedobrze. Jak



by tam nie było, nie można wykluczyć, że poseł chciał wykazać, że nie jest żadnym syjonistą, a wprost przeciwnie — jest za *détente*.

Niewykluczone również, że było polecenie Departamentu Stanu. Od amerykańskiego Departamentu Stanu można spodziewać się wszystkiego. Dziennikarze amerykańscy Rowland Ewans i Robert Nowak pisali niedawno o „dziwnym gościu w Departamencie Stanu": na posiedzenie robocze biura do spraw sowieckich w Departamencie Stanu został zaproszony pierwszy radca sowieckiego poselstwa w Waszyngtonie, Wasiew. Można zresztą zrozumieć logikę tego zaproszenia: któż może najlepiej znać sprawy sowieckie? — Ma się rozumieć odpowiedzialny urzędnik sowieckiego poselstwa. Tymczasem jeszcze nie wiadomo, czy towarzysz Wasiew będzie stałym konsultantem Departamentu Stanu. Ale zaproszenie go jest tym bardziej znamienne, że ma on na imię Władilen. Dziennikarze amerykańscy widocznie nie wiedzą, że jest to skrót od Władimir Iljicz Lenin. Można by więc powiedzieć, że wódz partii bolszewików w nowym wcieleniu zjawił się by udzielać rad Departamentowi Stanu USA.

Zresztą rady towarzysza Lenina przekazywane są nie tylko za pośrednictwem owego Władilena, ale również bezpośrednio przez tego, który stał się „Leninem dnia dzisiejszego" — przez Breżniewa.

18 marca br. Leonid Iljicz Breżniew zwrócił się osobiście do narodu amerykańskiego. Ściślej do amerykańskich czytelników. Jeśli amerykańska statystyka nie oszukuje, to ludność Stanów Zjednoczonych prawie w całości jest piśmienna, a więc wszyscy mogą (a nawet powinni) stać się czytelnikami książki L. I. Breżniewa „O pokoju, odprężeniu i sowiecko-amerykańskich stosunkach", wydanej przez wydawnictwo amerykańskie Harcourt, Brace, Jovanovic. Leonid Breżniew na wszelkie sposoby wychwala swoją książkę twierdząc, że pozwoli ona czytelnikom amerykańskim zapoznać się z pierwszego źródła z punktem widzenia „drugiej strony" w ramach tak szanowanej przez Amerykanów „uczciwej gry". Ale reklamiarskie wystąpienia Generalnego Sekretarza zawierają jedynie zużytą propagandę i nie zasługiwałyby na uwagę, gdyby nie przyszła natychmiast amerykańska odpowiedź. 25 marca br. *Izwiestia* zamieściły sprawozdanie z uroczystej ceremonii zorganizowanej przez amerykańskiego wydawcę z okazji ukazania się (w masowym nakładzie) książki Breżniewa. Wystąpienia cytowane przez moskiewski dziennik cofają czytelników o 30 lat wstecz do starych, dobrych czasów ojca narodów i całej ludzkości. I jeśli wypowiedzi jednego z właścicieli tego wydawnictwa — Jovanovica — o „wybitnym przywódcy sowieckiego państwa", o wydarzeniu „wielkiej wagi" (tak określił publikację tej książki), o tym że „wybitny przywódca" znów „potwierdził przywiązanie Związku Sowieckiego do odprężenia" itp., itd., można by sobie wytłumaczyć tym, że wydawnictwo chce możliwie najwięcej zarobić, to chyba dość trudno usprawiedliwić

wystąpienie senatora McCarth'ego, byłego kandydata na prezydenta USA.

W okresie stalinowskim chwalono Stalina przez ignorancję, głupotę i ze strachu. Ale dlaczego dzisiaj amerykański senator mówi: „Praca L. I. Breżniewa jest przeniknięta najwyższą troską o pokój", „książka świadczy o szczerym dążeniu Związku Sowieckiego...", „L. I. Breżniew wyjątkowo na czasie wysunął..." itd. Styl, język, pochwały Breżniewa i potępienie „określonych kręgów w USA" są tak standardowe dla każdego artykułu sowieckich dziennikarzy na tematy międzynarodowe, że czytelnik nigdy by się nie domyślił, że są to słowa amerykańskiego senatora — gdyby go o tym nie uprzedzono.

„Wszyscy myślący ludzie byli wstrząśnięci książkami L. I. Breżniewa", „L. I. Breżniew dał przykład tego...", „książki L. I. Breżniewa miały i mieć będą dalszy pozytywny wpływ na wzmocnienie potencjału myślowego..." — to już mówi nie amerykański senator, a przewodniczący Związku Pisarzy Sowieckich, G. Markow *(Litieraturnaja Gazieta* z 31, 3. br.) Jak jednakże podobny jest ton, a przede wszystkim uczucia którymi kierują się i G. Markow i senator McCarthy! Czy więc można się dziwić postępowaniu amerykańskiego posła w Moskwie?

Niewątpliwie byłoby niesprawiedliwością oskarżać wszystkich Amerykanów o miłość wbrew naturze do Generalnego Sekretarza. Bardzo niedawno 2.400 amerykańskich uczonych zaapelowało o bojkot międzynarodowej konferencji w Związku Sowieckim i do zerwania osobistej współpracy z nauką sowiecką do czasu uwolnienia Ju. Orłowa i A. Szczarańskiego. Informację o tym wystąpieniu podano w *Litieraturnoj Gaziecie* (31. 3. br.) w następujący sposób: „Grupa uczonych amerykańskich (nie podano liczby — A.K.) niedawno wezwała do zamrożenia wymiany naukowej między USA a ZSSR w odpowiedzi na skazanie w Moskwie kilku wrogów naszego ustroju" (nazwisk nie podano — A.K.). Prasa sowiecka odpowiedziała na apel uczonych amerykańskich potokiem artykułów stwierdzających — bez wspominania o tym apelu — korzyści płynące dla USA z naukowych kontaktów Ameryki z ZSSR. Tylko przy pomocy uczonych sowieckich, tylko dzięki osiągnięciom nauki sowieckiej USA mogą jakoś egzystować. I nawet w osobnej uchwale KC „O 50-letniej rocznicy pierwszego planu pięcioletniego" podkreśla się, że „co czwarty pracownik naukowy i co trzeci lekarz na naszej planecie jest obywatelem sowieckim" *(Prawda,* 18. 3. br.).

Tym niemniej, nie chcąc widocznie by amerykańska nauka całkowicie zwiędła bez pomocy sowieckiej, korespondent *Litieraturnoj Gaziety* bez wielkiego wysiłku znalazł amerykańskiego biochemika, dr. Allan Silverstona, który z wielką przyjemnością udzielił odpowiedzi na pytanie dlaczego uczeni przeciwni są kontaktom? Dr Silverston — tak jak wypada człowiekowi, którego pyta sowiecki dziennikarz — wyjaśnił, że: „Jakiekolwiek próby bojkotowania Związku Sowieckiego w dziedzinie nauki będą szkodliwe dla zawodowych interesów amerykańskich uczonych". Amerykański biochemik twierdzi nawet, że profesorowie socjologii uniwersytetu w Maryland „poddali go ostracyzmowi", gdyż ośmielił się „głośno wspomnieć o konieczności studiowania marksizmu". Doktor Silverston potwierdził w ten sposób rozpowszechnione w Związku Sowieckim przekonanie, że na Zachodzie Marks i Engels czytani są jedynie w zakonspirowanych grupach, przy świecach, w obawie przed nalotem policji. Ostatnie pytanie korespondenta *Litieraturnoj Gaziety* - śledczego brzmiało: A kto był prowodyrem? (tego rodzaju pytanie KGB formułuje trochę inaczej: „Kto was wciągnął do antysowieckiej organizacji?"). I tu doktor Silverston ze specjalnym zadowoleniem wyjaśnił, że osobnikiem, który wciągnął uczonych amerykańskich w tę ciemną machinację był „konserwatywny senator Robert Dole ze Stanu Kansas".



Mówiąc obiektywnie nauka sowiecka niewątpliwie nie potrzebuje amerykańskiej pomocy. Sowieccy przywódcy znaleźli wewnętrzne rezerwy, które pozwalają na rozwiązywanie bez trudu światowych zagadnień. Do nauki rzucono pracowników KGB. Sowiecki pisarz Mark Popowskij, który niedawno opuścił ojczyznę, w książce pt. „Kierowana nauka" pisze o coraz większym przenikaniu pracowników organów do Akademii Nauk. Pisze na przykład o W. Winogradowie, który przeszedł z KGB do Akademii, gdzie go natychmiast wybrano członkiem korespondentem w dziale ekonomiki; pisze o O. Barojanie, który jak się zdaje zachował stopień pułkownika KGB, a jednocześnie zajmuje stanowisko dyrektora Instytutu Epidemiologii, Mikrobiologii i Immunologii. Ma się rozumieć są również i nieetatowi współpracownicy. 2 kwietnia br. francuska Akademia Nauk uroczyście przyjęła w skład swych członków korespondentów sowieckiego astronoma, akademika Wiktora Ambarczumiana. W przededniu tego uroczystego dnia paryski *Le Monde* zamieścił list sowieckiego astronoma Kronida Lubarskiego, który odsiedział 5 lat w łagrze za „działalność antysowiecką", ale do chwili uwięzienia pracował razem z Ambarczumianem. Kronid Lubarski cytuje nazwiska kolegów i przyjaciół akademika Ambarczumiana, których wydał w ręce KGB.

W marcu 1979 roku miały miejsce kolejne wybory do Akademii Nauk ZSSR. Wśród wybranych na rzeczywistych członków zwraca uwagę Dziermen Gwiszjani, zięć Kosygina i wysoki funkcjonariusz KGB, na pewno w stopniu generała. Wybór Gwiszjaniego można uważać za symboliczny: ojciec obecnego akademika, bliski współpracownik Berii, nadał swemu synowi imię Dziermen utworzone z pierwszych liter nazwisk najdroższych mu ludzi — Dzierżyńskiego i Mienżyńskiego.

Razem z Władilenem Wasiewem wszedł do Departamentu Stanu założyciel państwa, razem z Dziermenem Gwiszjani do Akademii Nauk weszli twórcy *organów.* Dziermen Gwiszjani objął stanowisko w dziale filozofii i prawa.

Zachowanie się Amerykanów i w ogóle Zachodu wobec Związku Sowieckiego jest nie całkiem zrozumiałe — chociaż jest masa wyjaśnień. Bardziej zrozumiałe jest zachowanie ludzi sowieckich, choć i tu jest wiele wyjaśnień: strach, ideologia itp. Pismo *Nauka i religia* dodaje jeszcze jedno wyjaśnienie. Wielu zachodnich socjologów i sowietologów oraz sowieccy dysydenci zaczęli w ostatnich czasach mówić o upadku ideologii w ZSSR, o tym że „nikt tam nie wierzy". W zasadzie to jest słuszne. Nikt nie wierzy, ale to nie ma żadnego znaczenia. Ideologia stała się dla sowieckich ludzi obrzędem. Można nie wierzyć w Boga, ale zachowywać wszystkie religijne obrządki i pozostawać w ten sposób w kręgu wpływów religii. Właśnie takie zjawisko obserwujemy dziś w Związku Sowieckim.

*Nauka i religia* (nr 2 z 1979 r.) zamieszcza obszerne sprawozdanie z drugiej wszechzwiązkowej narady-seminarium na temat socjalistycznej obrzędowości. Pierwsza miała miejsce w 1964 roku, a druga 15 lat później. W latach poprzednich osiągnięto duże wyniki w dziedzinie „teorii socjalistycznej obrzędowości". „Obrzędotwórczość" — mówi się w sprawozdaniu — jest sprawą ważną, państwową. Zajmują się nią etnografowie, socjologowie, a przede wszystkim specjaliści od tzw. „naukowego ateizmu". W okresie między tymi dwiema naradami „obrzędotwórczość" zinstytucjonalizowała się: w Republikach przy radach ministrów republik powstały „Komisje nowych obrządków i świąt". Tak jak w Watykanie istnieje Kongregacja Obrzędów, tak i w Związku Sowieckim stworzono podobne kongregacje. Jak dotąd nie ma jeszcze — i na tę lukę zwracano uwagę na zebraniu — centralnego organu koordynującego tj. wszechzwiązkowej komisji do spraw obrzędów. Nie ulega jednak wątpliwości, że zostanie niebawem stworzona.

Zadanie, które postawiono przed sowieckimi kapłanami, strażnikami obrzędów i obrzędotwórcami, sprowadza się do tego, by „zgasić w świadomości wierzących iluzoryczne słońce" — jak wiadomo tak właśnie określił Marks religię — i zapalić prawdziwe sowieckie słońce.

Na zebraniu wiele mówiło się o „nowych sowieckich obrzędach". Wznosi się pomniki z tym, że dla sowieckich „obrzędotwórców" wszystkie miejsca są dobre, aby tylko pomnik został postawiony przez władzę sowiecką: na Kurhanie Mamaja — na pamiątkę zwycięstwa nad Hitlerem, na Polu Kulikowym — dla upamiętnienia zwycięstwa nad Tatarami, w Jasnej Polanie — dla upamiętnienia urodzin Lwa Tołstoja, w Szumiensku — na pamiątkę szczęśliwego przebywania tam na zesłaniu Lenina. Tak jak sekciarze, wierzący że wystarczy wywiercić dziurkę w suficie izby, aby można było modlić się do wszechobecnego Boga, tak i sowieccy „obrzędotwórcy" są przekonani, że każdy sowiecki pomnik wywołuje u sowieckiego obywatela prawidłowy odruch warunkowy — modlitwę dziękczynną, choćby nawet nieświadomą, do sowieckiego ustroju. Duże sukcesy osiągnięto w walce ze ślubami cerkiewnymi: wszędzie tworzy się domy małżeństw, gdzie



po zawarciu małżeństwa nowożeńcy idą pomodlić się pod jakimkolwiek pomnikiem; w Moskwie idą do Mauzoleum Lenina, w innych miastach różnie to się urządza, ale wszędzie jest jakiś pomnik. Jak dotąd nie pokonano jeszcze trudności z chrztem — nie wymyślono zastępczego obrzędu. Za to uroczyście obchodzi się wręczanie 16-latkom paszportu. Można by powiedzieć, że jest to święto obroży nakładanej obywatelom przez państwo.

Wielu występujących na zebraniu skarżyło się, że niektóre nowe obrzędy wymykają się spod kontroli kapłanów. Obywatele sowieccy dodają do ustalonego przez komisję obrzędu również i coś niecoś od siebie. Jeden z występujących zastanawiał się na przykład co zrobić z postacią folkloru uralskiego, panią Góry Miedzianej, która zaczęła występować w sowieckim obrzędzie zaślubin. Władczyni Miedzianej Góry to zła czarownica; cóż ona ma do roboty na sowieckim ślubie? — a jednak przychodzi!

Całe życie sowieckich obywateli regulowane jest obrzędami i walką, którą prowadzą z kapłanami; to walka nie przeciwko samym obrzędom, ale o włączenie do tych obrzędów czegoś osobistego. Obrzęd spotykania drogich gości zagranicznych jest obowiązujący i każdy wyznaczony do spotkania musi się na nie stawić. Od niedawna za czas spędzony na ulicy w tłumie innych spotykających i za machanie odpowiednimi chorągiewkami, robotnikom i urzędnikom zaczęto dawać *odguł*. Przestałeś dzień — jeszcze jeden dzień masz wolny. Obrzęd *czerwonej soboty*, kiedy to robotnicy i pracownicy powinni zjawić się w pracy, jest surowo przestrzegany, ale nikt w tę *czerwoną sobotę* nie pracuje. Pisarz Aleksander Kron w swojej powieści „Bezsenność" pisze o wyjeździe dwóch wybitnych uczonych sowieckich na konferencję naukową do Paryża. Nikołaj Lejkin w świetnym *best-seller*'ze rosyjskiej przedrewolucyjnej literatury pt. „Nasi za granicą" — pisze o podróży rosyjskiej pary kupieckiej do Paryża w 1900 roku. Biegali po sklepach, chodzili do cyrku, do restauracji — krótko mówiąc intelektualnych potrzeb nie mieli, i z tego powodu pisarz się z nich wyśmiewa. No, ale mimo wszystko to byli ludzie normalni. Sowieccy uczeni z powieści Krona zachowują obrządek: przede wszystkim biegną na cmentarz Père Lachaise, a następnie — niemniej gorliwie — na ulicę Marie Rose, gdzie w 1912 roku mieszkał Wódz i Nauczyciel. I dopiero potem, pomodliwszy się gdzie potrzeba, idą tam dokąd ich ciągnie dusza: na Pigalle. Ma się rozumieć wyłącznie dlatego, aby zobaczyć jak rozkłada się świat kapitalistyczny i współczuć jego ofiarom — nieszczęsnym dziewczynom zmuszonym sprzedawać to, na co w sowieckim języku nie ma określenia...

James Jones, który nie zdążył wywieźć swojej sekty do Związku Sowieckiego, odczuwał pokrewieństwo kultu własnej osoby z kultem panującym w ZSSR. Nie rozumiał jedynie tego, że sowieccy kapłani nienawidzą konkurencji.

Mnóstwo nowych obrządków tworzy się dzisiaj w Moskwie także w związku z przygotowywaniami do Olimpiady. O jednym z najbardziej wspaniałych poinformowało sowieckie radio. Przo-

dująca nauka sowiecka dała kategoryczną obietnicę, że w lipcu 1980 roku, w dni zawodów, we wszystkich miastach olimpijskich nie będzie padał deszcz! Uczeni sowieccy powiedzieli — niech zawsze w dniach zawodów olimpijskich będzie słońce!

I nie ma wątpliwości, że obietnica zostanie dotrzymana. W najgorszym wypadku jeśli iluzoryczne słońce na niebie zasłonią chmury, po staremu będzie świecić prawdziwe słońce komunizmu. Być może, że nawet na obliczu Generalnego Sekretarza.

*Adam KRUCZEK*

# Kronika niemiecka

Udział Polski w obrotach handlowych RFN pozostaje nieproporcjonalnie mały. Niemcy Zachodnie zajmują czołowe miejsce wśród partnerów handlowych Polski (drugie miejsce wśród dostawców Polski i czwarte wśród importerów polskich towarów), natomiast znaczenie Polski jako partnera RFN jest znacznie skromniejsze. Ostatnio Polska zajmowała 17 miejsce wśród odbiorców zachodnioniemieckiego eksportu, będąc dopiero 37 dostawcą gospodarki RFN. Do czynników instytucjonalnych ograniczających rozwój współpracy gospodarczej z RFN zaliczyć również należy niewymienialność waluty polskiej oraz relatywnie mały stopień zaangażowania przedsiębiorstw oraz spółek mieszanych z udziałem kapitału polskiego w rozwoju kooperacji i współpracy naukowo-technicznej z partnerami z Zachodu *(Sprawy Międzynarodowe, nr 2/79)*. ■ Obradujący w Kilonii zjazd zachodnioniemieckiej Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej (CDU) wybrał ponownie Helmuta Kohla przewodniczącym partii. W referacie Kohla znalazły się słowa ostrej krytyki pod adresem czołowych polityków SPD — Brandta, Wehnera i Bahra — zmierzających, zdaniem chadeckiej opozycji, do ułożenia *specjalnych stosunków* ze Związkiem Sowieckim i osłabienia tradycyjnych więzi RFN z jej partnerami w ramach Sojuszu Atlantyckiego. Przewodniczący CDU zwrócił również uwagę na intensywne zbrojenia krajów wschodnioeuropejskich i niebezpieczeństwa grożące RFN z tej strony. ■ Przewodniczący frakcji parlamentarnej SPD Herbert Wehner zadeklarował, że sowieckie zbrojenia mają charakter *obronny*, wystąpił również przeciwko powiększeniu arsenału amerykańskiego w RFN, i przy okazji zaatakował nadające z terenu Niemiec Zachodnich rozgłośnie *Radio Free Europe* i *Liberty*. Już wcześniej Amerykanie napotkali na trudności w uzyskaniu zgody niemieckiej na budowę czterech nowoczesnych nadajników. Po przewlekłych rozmowach Niemcy zgodzili się niechętnie zastrzegając, że nie dopuszczą w przyszłości do dalszej rozbudowy radiostacji amerykańskich emitujących programy do krajów wschodnioeuropejskich i Związku Sowieckiego. Ustępstwa niemieckie zostały skrytykowane przez Wehnera. ■ Berthold Beitz, zarządca koncernu *Krupa:* „We współczesnym świecie nie można zbyt długo czekać. Projekty nie wcielone szybko w życie, starzeją się, a zarazem powodują wzrost kosztów". W związku z kooperacją RFN-PRL w dziedzinie gazyfikacji węgla, Beitz zwrócił uwagę na konieczność przyspieszenia przez Polskę terminów realizacyjnych. Otto Wolff von Amerongen, prezes zachodnioniemieckiego Związku Izb Przemysłowo-Handlowych i przewodniczący *Komisji Wschodniej Przemysłu:* „Polska nie ma aż tyle surowców, które mogłyby wyrównać deficyt w handlu z RFN, który wprawdzie zmniejsza się, ale jedynie przez ograniczenie importu z RFN. Nie docenia się w praktyce w stosunkach polsko-niemieckich roli małych i średnich przedsiębiorstw. Zbytnio koncentrowana jest uwaga na wielkie projekty. ■ W RFN pracuje spora grupa polskich specjalistów-restauratorów. Prasa zachodnioniemiecka pisze dużo i życzliwie o ich działalności. ■ Nakładem *Wydawnictwa Poznańskiego* ukazała się praca naukowa Czesława Łuczaka — *Polityka ludnościowa i ekonomiczna hitlerowskich Niemiec w okupowanej Polsce*. Publikacja jest próbą przedstawienia całokształtu życia społeczno-gospodarczego na ziemiach polskich w latach drugiej wojny światowej. ■ W monachijskim wydawnictwie *Przemiany (PPS)* ukazała się broszura *mgr* Tadeusza Folka pt. *Azyl polityczny w Republice Federalnej Niemiec*. Jest to zbiór ważniejszych przepisów oraz wyjaśnień, które powinni znać uchodźcy pragnący pozostać w RFN. ■ W propekińskim tygodniku *Rote Fahne* (centralny organ *Komunistycznej Partii Niemiec)* ukazał się obszerny artykuł Eriki Olivier omawiający memoriał *Polskiego Porozumienia Niepodległościowego* pt. *Polska a Niemcy*. Autorka bardzo pozytywnie ocenia dokument *PPN*, stojąc na stanowisku, że zjednoczenie obu części Niemiec prowadzić będzie do uszczuplenia terytorialnego „sowieckiego imperium"; poszanowanie — przez Niemcy — suwerenności Polski i jej granicy zachodniej na Odrze i Nysie, są warunkami pokojowego współżycia obu narodów; „likwidacja hegemonii Związku Sowieckiego" leży w interesie Polski i Niemiec. „Prowadzona przez niemieckich socjaldemokratów polityka odprężenia — pisze Erika Olivier — nie sprzyja tym dążeniom". ■ Istniejący od 10 lat we Frankfurcie nad Menem *Instytut Marksistowskich Studiów i Badań*, współpracujący ściśle z *Instytutem Podstawowych Problemów Marksizmu-Leninizmu* przy *KC PZPR*, wydał ostatnio pracę zbiorową polskich i niemieckich autorów: *Sozialismus und Arbeiterklasse in der Volksrepublik Polen (Socjalizm i klasa robotnicza w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej)*. Jeden z zachodnioniemieckich recenzentów zauważa sarkastycznie: „35 lat nieprzerwanego pasma sukcesów, historia partii słońcem pisana, o permanentnych trudnościach ani słowa; żeby polscy komuniści w podobny sposób potrafili reklamować za granicą swoje towary...". ■ *Kehrmann-Institut* w Hamburgu przeprowadził na zlecenie tygodnika *Quick* ankietę na temat, jaki niemiecki polityk nadaje się najbardziej na kanclerza RFN. W wyniku ankiety 45,1 % respondentów wskazało na Schmidta, 18,7 % na przywódcę *CDU/CSU* Kohla. W czerwcu ub. roku w podobnej ankiecie 40,3 % było za Schmidtem, natomiast 20,3 % za Kohlem. Na trzecim miejscu ostatniej ankiety uplasował się Strauss z 11,2 % Willy Brandt uzyskał zaledwie 3,5 %. Wyniki ankiety wskazują, że szanse wyborcze *SPD* w przyszłych wyborach do *Bundestagu* łączą się wyraźnie z osobą obecnego kanclerza Schmidta. ■ W wydawnictwie *Verlag Bonn Aktuell* (Stuttgart) ukazała się książka Heinza Geyera *Auf dem Wege zur Aussöhnung. Bonn, Warschau und die humanitären Fragen (Na drodze do pojednania.* Sprawy humanitarne na linii Bonn-Warszawa), str. 166. ■ Hans-Henning Hahn opublikował w monachijskim wydawnictwie *R. Oldenburg-Verlag* pracę — *Aussenpolitik in der Emigration. Die Exildiplomatie Adam J. Czartoryskis 1830-1840 (Polityka zagraniczna Wielkiej Emigracji. Działalność Dyplomatyczna Adama J. Czartoryskiego na emigracji w latach 1830-1840)*, str. 316. ■ Socjaldemokraci *(SPD)* i *Partia Wolnych Demokratów (FDP)* utrzymały swoją większość w wyborach w Berlinie Zachodnim (razem 50,7 %) i omal nie odniosły zwycięstwa nad rządzącą w Nadrenii-Palatynacie *CDU* (50,1 %). Promoskiewscy komuniści *(SEW)* uzyskali w Berlinie Zachodnim zaledwie 1,1 %

(1975 — 1,8 %). Natomiast w Nadrenii-Palatynacie komuniści uzyskali 0,4 % (1975 — 0,5 %); neonaziści stracili 40 % głosów; głosowało na nich tylko 0,7 % wyborców (1975 — 1,1 %). Prasa PRL starannie przemilcza rezultaty uzyskiwane w wyborach w RFN przez komunistów i neonazistów. ■ Oskar Neisinger jest autorem książki *Stefan Kardinal Wyszyński, Karol Kardinal Wojtyła — Begegnungen in Deutschland (Echter-Verlag*, Würzburg, 1978, str. 99). ■ *Fundusz Społeczny Oddziałów Wartowniczych* (Mannheim) wydał w ciągu 33 lat działalności prawie 4 mln. marek. Na opiekę nad b. wartownikami przeznaczono 680.200; wydatki na pomoc finansową wartownikom wyniosły 370.500; na pomoc uczącej się młodzież wydano 959.600 (24,5 %); wydatki na utrzymanie *Ostatnich Wiadomości* opiewają na sumę 999.800 (25,5 %; na nagrody, dotacje kulturalne, oświatę, sport i wydatki administracyjne przeznaczono 904.300 marek (23,1 %). Zestawienie wydatków *FSOW* zostało ogłoszone w *Ostatnich Wiadomościach* (23 marca br.). ■ *Darmstädter Jury* podało do wiadomości, że antologia Karla Dedeciusa *Polnisches Lesebuch des 20. Jahrhunderte (Literatura polska XX wieku. Wybór tekstów)*, została wybrana książką miesiąca (marzec 1979). ■ Konsulat PRL Kolonii nie udzielił wizy wjazdowej prof. Hans-Adolf Jacobsenowi, dyrektorowi *Seminarium Nauk Politycznych* na Uniwersytecie w Bonn, członkowi *Polsko-Niemieckiej Komisji do Spraw Podręczników UNESCO* i zdeklarowanemu zwolennikowi zbliżenia niemiecko-polskiego. Jakie były powody? Dziennik boński *General-Anzeiger* opublikował list przewodniczącego *Sądu Najwyższego* ZSSR — Lwa Smirnowa, w którym pisał on o stosunkach sowiecko-niemieckich przed- i w czasie drugiej wojny światowej. Redakcja poprosiła prof. Jacobsena o przedstawienie tych wydarzeń w niemieckim ujęciu. Jacobsen w swoim artykule wspomniał m.in. o sowieckiej odpowiedzialności za mord katyński oraz o „partnerstwie Stalina w napaści Hitlera na Polskę w 1939 roku". I to wystarczyło. Już po dwóch dniach poproszono prof. Jacobsena do konsulatu PRL w Kolonii, gdzie zawiadomiono go, że nie otrzyma prawa wjazdu do Polski z grupą 25 studentów; podobno z uwagi na „oburzenie i protesty polskich kolegów", wywołane „wrogim artykułem"... ■ Kandydatura Prymasa Polski kard. Stefana Wyszyńskiego, wysunięta do tegorocznej *Nagrody Pokojowej Nobla* przez *Katolicki Uniwersytet Lubelski*, została poparta przez *bp.* Heinricha Tenhumberga (Münster), przewodniczącego *Katolickiego Koła Pracy na Rzecz Rozwoju i Pokoju (KAEF)*. Rzecznik *Koła Pracy* oświadczył, że *bp* Tenhumberg, w piśmie do *Komitetu Nagrody Nobla* podkreślił „długotrwałe i aktywne poparcie udzielane przez Prymasa Polski sprawie zrozumienia pojednania między Polakami i Niemcami". ■ W I-szym kwartale bież. roku przybyło do RFN 2.063 przesiedleńców z Polski. Akcja „łączenia rodzin" ma zostać zakończona w przyszłym roku. ■

*Andrzej J. CHILECKI*

# Kronika białoruska

Redakcja nowojorskiego *Biełarusa* otrzymała niedawno tekst listu otwartego znanego dysydenta rosyjskiego Wiktora Niekipiełowa ze Związku Sowieckiego do Janki Chanienki, b. sowieckiego marynarza-Białorusina, któremu udało się w 1974 roku zbiec ze statku sowieckiego podczas postoju



w porcie Erie w Pennsylvanii i po uzyskaniu azylu pozostać w Ameryce. Z listu tego dowiadujemy się, że dysydent białoruski Michał Kukabaka został ponownie (po raz czwarty) aresztowany przez KGB.

◆

Jak podaje czasopismo mińskie *Rabotnica i Sialanka (Robotnica i Włościanka*, nr 12, 1978) kobiety Białorusi stanowią 53 % robotników i urzędników, 56 % kołchoźników. W dziedzinie pracy umysłowej udział kobiet wyraża się w 57-miu procentach. 41 % pracowników inżynieryjno-technicznych, a spośród nich co trzeci inżynier i główny specjalista to kobiety. One stanowią 16 % dyrektorów fabryk i zakładów przemysłowych, sporą część kierowników kołchozów, sowchozów, szkół. W Akademii Nauk Białoruskiej SSR spośród uczonych — 40 % kobiet.

◆

Biskup Czesław Sipowič w asyście 4-ch białoruskich księży podczas audiencji, udzielonej w połowie stycznia bież. roku przez Jana Pawła II przedstawił Papieżowi potrzeby katolików białoruskich. Biskup przeczytał *résumé* łacińskiego tekstu wręczonej Papieżowi prośby po białorusku — „po raz pierwszy w historii Kościoła nie uciekając się do tłumaczenia", jak się wyraził jeden z obecnych na audiencji kapłanów. Biskup Sipowič wręczył Papieżowi w prezencie egzemplarz swej świeżo wydanej przez Bibliotekę Białoruską im. Franciszka Skaryny w Lonydnie monumentalnej pracy „Liturgia pontyfikalna św. Jana Złotoustego. Manuskrypt słowiańsko-łaciński z XVII-go wieku.

◆

Dr Aleksander Barszczewski, literat, kierownik katedry filologii białoruskiej na Uniwersytecie Warszawskim, który przybył do Anglii na zaproszenie Reading University, wygłosił 4 lutego br., w lokalu Biblioteki Białoruskiej im. Franciszka Skaryny w Londynie, referat o życiu kulturalnym białoruskim w dzisiejszej Polsce. W swoim referacie dr Barszczewski poinformował, że zorganizowanego życia białoruskiego w powojennej Polsce początkowo nie było. Istniał wówczas fałszywy pogląd, że wszyscy Białorusini wyjechali po wojnie do ZSSR, a z BSSR do Polski przybyli tylko Polacy. Dopiero w 1956 roku władze PRL uznały istnienie Białorusinów w Polsce za fakt. Trudno dokładnie ustalić prawdziwą liczbę Białorusinów w Polsce. W Białostockim jest ich około ćwierci miliona. Bardzo mało wiadomo o tych Białorusinach, którzy po ostatniej wojnie „repatriowali się" z ZSSR jako Polacy i osiedlili na Ziemiach Odzyskanych. Białorusini-katolicy z nielicznymi wyjątkami za Białorusinów się nie podają. W 1956 roku w Białymstoku zostało założone Białoruskie Towarzystwo Kulturalno-Oświatowe i zaczął ukazywać się tygodnik białoruski *Niwa*. Powstało wówczas i białoruskie szkolnictwo: około 200 szkół podstawowych i 2 liceum — w Bielsku i Hajnówce. Ale od 1956 roku liczba szkół zmalała o połowę.

◆

18 lutego br. zmarł w BSSR, w wieku 74 lat, poeta białoruski, pedagog i działacz teatralny Jurka Hauruk, tłumacz na białoruski utworów scenicznych Shakespeare'a, Molière'a, Victora Hugo, Lwa Tołstoja, Czechowa, Leonida Leonowa.

*Włodzimierz BRYLEWSKI*

# Wołanie na puszczy

Warszawa, koniec marca 1979.

## GORCZYCY DWA ZIARNA

Pewien mój korespondent napisał mi niedawno, po przeczytaniu mojej książki o gospodarce socjalistycznej, że nikt tego nie będzie czytał, bo Polacy wierzą, że wybawi ich Papież i Penderecki... Żart żartem, ale nasi rodacy „niepodległościowcy" naprawdę wierzą w cuda i to rychłe. Zepsuło ich chyba 20-lecie międzywojenne, to naprawdę był cud, że mocarze Europy tłukli się między sobą, trzy cesarstwa padły jak długie, a Polska powstała, wolna jak nigdy. Ale liczenie, że taki cud czyli „fuks na torze" powtórzy się za naszej pamięci po raz drugi, to może trochę przesada, zwłaszcza że nowa wojna powszechna za wolność ludów mogłaby zamienić Europę w kupę gruzów, czego jak się zdaje nikt się nie domaga, nawet i w Polsce nie. Przeczytałem osobliwy artykuł p. Jana Drewnowskiego „Władza i opozycja" (*Zeszyty Historyczne* Nr 46) i zadziwiłem się mocno: że taka to w Polsce potężna jest i wspaniała wola oporu całego narodu z klasą robotniczą na czele, że tylko patrzeć, jak obalą ustrój i odzyskają niepodległość, a jedyne zmartwienie, to żeby opozycja nie była „frakcyjna" i jakoś tam związana z reżymem, żeby nie domagała się żadnej zdradzieckiej finlandyzacji lecz pełnej, absolutnej niepodległości, suwerenności, demokratyczności, pluralistyczności et caetera, et caetera.

Ja bajki tak lubię ogromnie... Zwłaszcza w dzisiejszej Polsce, gdzie jest prawie 3 miliony członków partii (policzcie to wraz z rodzinami), gdzie obojętny, oduczony od myślenia tłum wali namiętnie a bez przymusu do urn wyborczych, nie widząc nic upokarzającego w głosowaniu na jedną, przez kogoś ułożoną listę, gdzie wśród inteligencji odwaga cywilna zanikła zupełnie a anonimowe donosy do władz stały się chlebem codziennym,



gdzie... I owa święta klasa robotnicza (jak długo ten zdezaktualizowany marksowski termin pokutować będzie w naszej publicystyce?!), egoistyczna i pochłonięta sobą, rozdęta nadmiernie przez ogromne, sowietyzacyjne inwestycje, którą sensowne ukrócenie tych inwestycji (przed jakimi umieli się obronić Czesi i Węgrzy) musiałoby uderzyć pierwszą, redukując przede wszystkim absurdalny przerost zatrudnienia.

Tak więc to z bliska i bez złudzeń widziane może wyglądać, drogi, daleki panie Drewnowski! Jedyną rzeczywiście niezależną manifestację, jaką nasz naród zawsze uprawia, to tłumne udawanie się w niedzielę na mszę do kościoła. Ale to już w tej chwili niczym nie grozi, bo władze się z tą sprawą oswoiły, co więcej, przemyśliwają, jakby nakierować ten przeciwny niegdyś wiatr na swoje własne żagle. Przyjazd Papieża to na pewno dla partii ciężki orzech do zgryzienia, ale zdarzyć może się wszystko: są już teraz ludzie niepokojący się, iż partia zechce zrobić sobie z tego gigantyczną reklamę, jaka to ona jest wspaniałomyślna i liberalna, że łaskawie pozwala Ojcu Świętemu przyjechać do marksistów — wszak ascetyczny Gomułka w 1966 na to się nie zgodził... Już ludziska snują wizje, jak to pan Jabłoński służyć będzie do mszy, a pan Gierek puszyć się, cały w uśmiechach, na królewskim zamku... zaś wszystko pójdzie w telewizji. Opisane to będzie potem i obfotografowane przez parę tysięcy zagranicznych dziennikarzy i wtedy klamka zapadnie: Polska Ludowa dostąpi beatyfikacji, Kościół z Państwem zawrze przymierze i cześć pieśni... Już teraz komunikat o przyjeździe do Polski arcybiskupa Agostino Casaroli zawierał znany passus, iż dostojnik watykański (22. III) w Polsce przeprowadzi „rozmowy z ministrem spraw zagranicznych i z innymi osobistościami w sprawach interesujących obie strony". OBIE STRONY, czyli ponad głowami tak zwanej u nas pogardliwie ludności, która z zasady mało wie i mało się dowie: nie jest wszakże żadną stroną.

Oczywiście: przesadzam, żartuję, bluźnię. Papież Wojtyła to człowiek mądry i głęboki a także Polak doświadczony. Wielokrotnie już partia próbowała zażyć go i wykołować tak czy inaczej, a on, jako Metropolita Krakowski, umiał unikać sideł i wychodzić z opresji taktownie, lecz stanowczo. Sądzę, że i teraz zrozumie niebezpieczeństwo, jakim grozi wyczerpanie całej porcji swobodnego dynamizmu narodowego w podniosłej i pięknej lecz jednorazowej manifestacji: miliony ludzi zadepczą Polskę, okazując swą miłość do Papieża i Zachodu, ale co potem?! To samo lub jeszcze gorzej. Papież jest biskupem nie samej tylko Polski opozycji, zresztą to nie jego cel, królestwo Jego nie z tego jest lecz świata, Kościół nie zastąpi nam ani życia politycznego ani świata. A więc?

I tu powracam do pana Drewnowskiego. Jego wielkie zmartwienie jest, czy aby nasza opozycja nie była „frakcyjna", „partyjna", inspirowana przez kogoś, czy aby na pewno wyraża tendencje świętego polskiego narodu. Dziwne to są zmartwienia, dziwnie też zgodne z policyjno-plotkarskimi intryżkami, jakich

terenem jest zawsze totalistyczna Warszawka. Zaś świętych narodów i świętych klas nie ma, zwłaszcza po trzydziestopięcioletnich, wyrafinowanie degenerujących rządach totalnych (czytajcie Orwella, to prorok lepszy od Marksa). Natomiast tych kilka setek młodych ludzi, co nie zważając na prześladowania, bicie, szantaże, wypędzanie ze studiów, ufundowało nam namiastkę wolnej prasy, literatury, nauki, umożliwiło wielu twórcom odzyskanie godności własnej, umożliwiło nawet p. Drewnowskiemu dyskutowanie o czymś, o czym jak widać z drugiej części jego artykułu (po roku 1957), dość słabe ma on pojęcie — tych kilka setek młodych ludzi ratuje nasz honor (honor świętego proletariatu też) i należy im się za to duża wdzięczność całej Polski. A czy i jak wywodzą się z jakiejś frakcji (co jest zresztą roboczym policyjnym mitem) czy nawet z samego piekła — to naprawdę nie sprawa tych, co przez lata gardłowali o prawdziwym socjalizmie, a narobiwszy szkód i zamieszania, dziś nie potrafią nawet rozstać się z tym zbankrutowanym, wieloznacznym słowem, na którego obrotowej wieloznaczności opiera się właśnie gigantyczna akcja tumanienia tzw. ludu w Polsce. Bo któż by śmiał odrzucić święte słowo socjalizm?! Także p. Drewnowski nie ośmiela się wymienić nawet tego słowa w swoim artykule chyba ani razu! Póki zaś nie rozprawimy się z tym słowem i pojęciem, to o jakichże tajemniczych frakcjach dyskutować będziemy? Że Kuroń był w partii — prawda. Ale Drewnowski też był — i nic nie mówi!

Ale nie zapędzajmy się w kłótnie, w inwektywy, ani w szarganie świętości (a dużo tych świętości: naród święty, lud święty, klasa święta, socjalizm święty...). Zejdźmy na ziemię, gdzie chcę zaofiarować Wam nieco oczyszczającej porcji pesymizmu, moje gorczycy dwa ziarnka. Rozmawiam w Warszawie sporo z ludźmi Zachodu, politykami i dziennikarzami, Amerykanami, Francuzami, Anglikami, Niemcami. Wszyscy w głos mówią mi: w Polsce jest bardzo dobrze, Gierek to świetny ekonomista i pragmatyk, lud jest dostatni, partię macie bardzo liberalną, znacznie u was lepiej niż w Czechach, czy na Węgrzech, nie mówiąc o krajach Azji czy Ameryki Południowej. Gadacie co chcecie (np. w tej chwili), wyjeżdżacie za granicę (p. D. też ma o to pretensję), macie dewizy i półtajne gazetki, dużo samochodów i telewizorów, czego wy właściwie jeszcze chcecie?! Żeby wam przenieść Rosję w inne miejsce globu?! Ale Rosja też się zliberalizowała, nie ma Stalina, poza tym potrzebuje pomocy amerykańskiej, ma kłopoty na Wschodzie, chce lepiej żyć, my jej w tym pomożemy. A bez Rosji to by was przecież Niemcy zjedli! Więc nie podskakujcie, siedźcie cicho i bądźcie zadowoleni, nic innego wam się nie należy, a wojny w Europie nie będzie, wszczałby ją tylko wariat, ale czasy Hitlerów się skończyły.

Tak nam mówią WSZYSCY ludzie z Zachodu. Co najwyżej niektórzy Niemcy milczą dyplomatycznie: to prawdopodobnie ci, co marzą skrycie o neutralizacji i finlandyzacji za cenę zjednoczenia (patrz mój felieton „Moje proroctwo" — *Kultura*, listopad 1977). Wielkie demokracje Zachodu zależą od wyborów, ludu,



nafty i dobrobytu, walka o świat przeniosła się do Azji, gdzie się toczy bez udziału tegoż trawiącego i konsumpcyjnego Zachodu, sprawa polska (czeska, węgierska, rumuńska, bułgarska, albańska) dla świata wielkiej polityki nie istnieje. Zamknięci jesteśmy decyzją całego świata w klatce z rosyjskim tygrysem, a ten, choćby zdychał, to na nas jeszcze długo dobry, wystarczy, że od niechcenia zawadzi pazurem. W tej sytuacji uzasadniony pesymizm polityczny mógłby się przerodzić w kompletną drętwotę, marazm, śmierć duchową. Tymczasem, jak premia losu, jak ostatni dla mojego pokolenia błysk nadziei pojawia się młodzież, przypominająca nam o narodowej kulturze, o godności, tradycji, o swobodzie życia. Toć uśmiech losu — dla nas w Kraju. A dla emigracyjnych polityków abstrakcji nieodpowiedzialnej, temat do żałosnych wydziwiań.

*KISIEL*

**OBRAZY POLSKIE NA SPRZEDAŻ**

Tadeusz Makowski, Eugeniusz Żak, Józef Pankiewicz, Jacek Malczewski, Rafał Malczewski, Gustaw Gwozdecki, Eugeniusz Eibisch, Wacław Zawadowski, Eugeniusz Geppert, Teodor Axentowicz, Władysław Bakałowicz, Juliusz Kossak, Zofia Stryjeńska, Maja Berezowska oraz inni.

Duży wybór starych polskich map i sztychów XVI-XVIII wieku.
Fotografie i informacje na żądanie.

**THE LIPERT STUDIO**
**1 Norton Road, East Brunswick,**
**New Jersey, 08816 U.S.A.**

Również kupujemy obrazy, sztychy, książki, srebro, porcelanę oraz inne dzieła sztuki polskiej.

# *Kronika kulturalna*

## Rozmowa z Karolem Dedeciusem

*Witold Wirpsza:* — O ile dobrze pamiętam z prasy, nazywa się to, co powstało, powstaje, czy ma powstać, Deutsches Polen-Institut z siedzibą w Dortmundzie?

*Karol Dedecius:* — Nazwa zgadza się, siedziba nie: nie Dortmund a Darmstadt.

W.W.: — Jaką finkcję ma spełniać Instytut? Jeśli się nie mylę, podobną jak Maison de France w Berlinie Zachodnim, czy British Council w różnych stolicach świata? Z tym, że trochę na odwrót: Maison de France stworzyli i utrzymują Francuzi, British Council Brytyjczycy, natomiast ten Istytut jest dziełem Niemców, a ściśle mówiąc naszego wypróbowanego przyjaciela, Karola Dedeciusa. — Może trochę historii powstania?

K.D.: — Jednak W. Wirpszowska maszyna do pisania ma świetne poczucie humoru: zamiast „Jaką funkcję ma spełniać instytut" pisze: „Jaką finkcję..." A może: „Jaką fikcję...?". Bo i to byłaby jedna z możliwości. A więc — na pewno nie Maison de France albo British Council *à la polonaise*. O wiele skromniej, z dobitnym ograniczeniem do literatury i spraw jej najbliższych. Chodzi o to, ażebym to, co robiłem dotychczas sam, mógł odtąd robić z pomocą 1-2 młodszych polonistów. Ażeby on/oni mogli kontynuować pracę po moim „odejściu". Ażeby moją biblioteczkę osobistą rozbudować do większych rozmiarów i lepszych systemów na użytek większego kręgu współpracowników/interesantów. Aby narzędzia i „produkty uboczne" tej pracy: korespondencja, pierwodruki, wydania specjalne, rękopisy i inne archiwalia, fotografie, ilustracje, płyty, taśmy etc. — zbierać, od czasu do czasu wystawiać (na specjalne tematy, np. „Lec i czytelnicy", „Literatura i karykatura", „Wiersz i obraz", „Korczak i dzieci" — w tym roku jeszcze wystawa Korczakowska i polskiej literatury dla dzieci) itp. Małe, własne wystawy połączone z porankami albo wieczorami dotyczącymi danego tematu (odczyt, wykład, recytacje, koncert, film). Wszystko to naturalnie w rozmiarach skromnych, kameralnych, w formach literackich z wykorzystywaniem także innych środków przekazu. Pytasz o historię powstania? Historia długa, ars krótka. Trzymajmy się rzeczy krótkich (sztuki), a nie długich i nudnych (historii).



W.W.: — Kto będzie wykonywał program? Kto będzie projektował program? Gospodarze? Goście? Może istnieją już jakieś zarysy? Czy będą stali współpracownicy (poza administracją)? I w ogóle: czy Instytut opierać się będzie głównie na współpracy Niemców, zainteresowanych problematyką polską, czy głównie na udziale Polaków?

K.D.: — Program będą wykonywali współpracownicy, których mam nadzieję znaleźć. Projektować go będę chyba, sam bo „gdzie kucharzy sześć...". Co nie znaczy, że nie będę korzystał z doświadczenia, rozumu, kunsztu innych. Instytut będzie instytucją niemiecką, będzie się opierać na współpracy Niemców, zainteresowanych problematyką polską. Administracja będzie minimalna (uprawiana *honoris causa* przez ochotników administracji niemieckiej). Marzę o ekipie 4-5 osób, pracowników etatowych: 2 młodszych polonistów, 1 bibliotekarza/rki, 1 sekretarki, co zależne będzie od tego, na ile nas będzie stać. Zarysy naturalnie już istnieją, ale za wcześnie jeszcze, by o tym publicznie gadać („nie mów hop, póki nie przeskoczysz", mawiał mój ojciec. Jeszcze nie przeskoczyliśmy).

W.W.: — Zakres działalności. Proporcje między nauką a sztuką: historia, historia literatury, badania literackie, literatura sama; muzyka, muzykologia; plastyka i teoria sztuk pięknych; teatr; film; a dalej: filozofia, polska szkoła logiczno-matematyczna; i jeszcze: kontakty polsko-niemieckie w przeszłości i teraźniejszości (przekłady, polemiki, spotkania osobiste)? — Czy przewidziana jest działalność wydawnicza?

K.D.: — Zakres działalności? Publikacje polskiej literatury współczesnej, opracowanie zarysu historii polskiej literatury współczesnej (nie dla polonistów, a dla czytelników niemieckich, którym takie *vademecum* jest pilnie potrzebne), może biblioteczka (seria broszur na tematy polskiej literatury i kultury i polsko-niemieckiej współpracy kulturalnej, może rocznik, może... ale to wszystko zależy, zależy, zależy — nie tylko ode mnie, ale i od możliwości (środków i ludzi).

Spotkania — owszem, może jedno/dwa sympozja na opracowywany aktualnie temat.

W.W.: — Wiem dobrze, choćby z jego praktyki przekładowej, że Karol Dedecius jest zwolennikiem poglądu o jedności kultury polskiej i nie uznaje np. podziału na literaturę krajową i emigra-

cyjną. Łatwo mu było postulat ten realizować jako osoba prywatna — czy uda mu się to realizować jako osoba pełniąca funkcję publiczną? Pytanie to stawiam również i dlatego, że twórcy nauki i kultury polskiej od lat już stoją na stanowisku jedności kultury polskiej.

K.D.: — Nie zamierzam zmieniać mojego stosunku do polskiej literatury tylko dlatego, że będę korzystał z pomocy współpracowników i tutejszych mecenasów. Jeśli plan się uda, to będę robił to samo co dotychczas, tylko trochę szerzej, gruntowniej, wydajniej, z jednoczesnym zabezpieczaniem przyszłości tej działalności. (Narybek). Nie było, nie jest i nie będzie moim/naszym zadaniem przenoszenie sporów wewnętrznych albo i zewnętrznych, polskich, na nasz teren. Nikt nie miałby z tego żadnej korzyści. Chodzi o udostępnienie wartości kulturalnych w najszerszym tego słowa znaczeniu, rozszerzenie informacji i wymiany, o pożytek ogólnoludzki, nie zaś o wątpliwe korzyści tej czy innej koterii.

W.W.: — Kiedy, definitywnie, ten Ost-West (czy West-Ost) - Express rusza?

K.D.: — Nie będzie to Ost-West ani West-Ost Express, raczej pracownia rzemieślnicza produkcji poloników *made in Germany*. Na pewno nie pociąg pospieszny (transeuropejski), wożący pasażerów w jedną i drugą stronę. Raczej mały sklepik z delikatesami (ducha polskiego — jeśli wiara w takie „duchy" w ogóle jeszcze istnieje).

Gdy skończy się przebudowa budynku (chyba w październiku) i gdy zabezpieczymy sobie urządzenie tych 13 pokoi (biblioteka, zbiory, wystawy, pracownie) zaczniemy pracę „na serio" około 1 stycznia 1980.

W.W.: — Vivat, crescat, floreat!

K.D.: — Za „Vivat, crescat, floreat" Bóg zapłać! Oby!

*Witold WIRPSZA*

# Literatura 20-lecia w Kraju

Dwudziestolecie Niepodległości jest okresem bardzo wyraźnie ujętym w klamry dat. 11. XI. 1918 i 1. IX 1939. I, choć historycy



literatury unikają wiązania opracowań syntetycznych z datami wydarzeń historycznych, w tym wypadku trudno tego uniknąć. Jeszcze wyraźniej zjawisko to występuje w badaniach nad kulturą literacką tego okresu tj. „tym wszystkim, co otacza teksty literackie — warunki materialno-techniczne, proces produkcji i rozpowszechniania dzieł literackich, instytucje literackie i oddziaływanie instytucji społeczno-politycznych na rozwój literatury, sytuacja zawodowa i rola społeczna pisarza, funkcjonowanie literatury w różnych środowiskach społecznych i społeczne zróżnicowanie wyborów czytelniczych[1]".

Sprawę tę wypadło mi poruszyć na wstępie dlatego że podstawowe (w teorii) opracowanie okresu Dwudziestolecia w firmowanej przez Instytut Badań Literackich *Literaturze polskiej. 1918-1975*[2] stawia sprawę inaczej, wprowadzając sztuczną cezurę: rok 1932. Podział ten znalazł praktyczne zastosowanie w pierwszym i jedynym dotąd tomie wydanym na przełomie 1975 i 1976 roku i omawiającym twórczość literacką z lat 1918-1932; przedmowa zapowiada, że tom drugi obejmie lata 1933-1944.

Dlaczego rok 1932 ma stanowić cezurę a dalszych siedem lat ma zrastać się z okresem wojennym zrozumieć trudno, bo zasadnicze oświadczenie Stefana Żółkiewskiego w otwierającym tom rozdziale pt. „Kultura literacka" sprawy tej nie wyjaśnia. Trudno uwierzyć, iż „data ta zamyka w przybliżeniu wstępny okres dwudziestowiecznego uprzemysłowienia i urbanizacji naszego państwa. Zamyka okres instytucjonalnej i kulturalnej integracji obszarów trójzaborowych. Jest to wreszcie data przełomowa w historii społecznej w dziejach masowych ruchów społecznych w Polsce[3]". Innymi słowy kryteria podziału leżą poza sferą zjawisk literackich. Nie uzasadniają one tym bardziej włączenia do mającego się ukazać w najbliższym czasie tomu drugiego okresu wojennego o drastycznie różnym obliczu, tego co sam Żółkiewski określił jako „kulturę literacką", choćby ze względu na wywołane wojną rozproszenie pisarzy po całym świecie, dezorganizację ośrodków wydawniczych i powstanie nowych. Zdrowy rozum przeczy racjom i uzasadnieniu takiej periodyzacji.

W wydanej na Emigracji *Literaturze polskiej od czasów najdawniejszych do r. 1939*[4] Juliusz Sakowski konstatuje że okres

1. Henryk Markiewicz, „Badania literatury polskiej XIX i XX wieku" (*Ruch Literacki*, XIX, 1978, str. 421.

2. *Literatura polska, 1918-1975. T. I: 1918-1932.* (Redaktorzy naukowi: Alina Brodzka, Helena Zaworska, Stefan Żółkiewski). Warszawa, 1975. Wiedza Powszechna, 8°, str. 795. (Z prac Instytutu Badań Literackich PAN). Praca zbiorowa wydana w nakładzie 30.350 egz. — cytowana dalej w przypisach *LitP*.

3. *LitP*, str. 13.

4. Praca zbiorowa stanowiąca skrót części III-ciej wydawnictwa „*Polska i jej dorobek dziejowy*" pod red. Henryka Paszkiewicza. Londyn, 1978, Orbis, str. 88. Cytata z rozdziału „Literatura Polski Niepodległej (1918-1939).

Dwudziestolecia „nie stał pod znakiem przemożnego prądu umysłowego, nurtu ideowego, kierunku artystycznego — i ich nie wytworzył. Pozbawiony cech wyróżniających, nie zdobył sobie własnego dla nich miana, tak jakby nie dosłużył się należytej mu rangi. Okres ten wyodrębnia, wyłącznie i wbrew przyjętej zasadzie, wydarzenie dziejowe: odbudowa Państwa. Było ono przełomowe. Czy towarzysząca mu literatura okazała się na jego miarę, czy ją uznać można za przełomową, mogło być wówczas sprawą sporną, znacznie mniej już obecnie. Literatura ta mówiła wolnym głosem i wierna była swemu powołaniu. Znaczenie jej rośnie dziś, gdy Kraj skazany jest na pęta, a jego literatura na knebel i obrożę".

Podobnie do autora emigracyjnego ujął sprawę „granic czasowych" Lesław Eustachiewicz w przejrzystej i „swobodnej gawędzie o przedwczorajszych książkach" pt. *Między współczesnością a historią*[5], mówiąc że literatura dwudziestolecia międzywojennego „jest wtłoczona między dwie strefy wysokiego napięcia. Przez pierwszą dekadę odbija w lustrze tematów i form koszmar, który minął; przez drugą — dostrzega we mgle kassandrycznej widmo nadchodzącej grozy". Ta formuła brzmi niemal kompromisowo. Nie sugeruje jednak podziału na 1918-1932 i 1933-1944.

Potrzebę cezury — czy istotnie koniecznej, nawet dyktowanej zjawiskami literackimi — wysuwali od dawna krajowi historycy literatury (jeszcze przed 1939 rokiem). Stefan Kołaczkowski wysunął nawet tenże rok 1932, wiążąc tę datę z ukazaniem się *Nocy i dni* Marii Dąbrowskiej i początkiem „supremacji prozy". Za datą tą opowiadali się również Kazimierz Wyka i Ludwik Fryde, podczas gdy Karol Wiktor Zawodziński proponował rok 1928 a Stanisław Czernik — rok 1937[6].

W zestawieniu z przytoczonymi wyżej opiniami cytata ze wstępu Żółkiewskiego do *Literatury polskiej* i jej sformułowanie słowne jest sygnałem alarmowym choćby dlatego, że poddaje ton opracowaniu służącemu obecnie z braku innych jako substytut podręcznika uniwersyteckiego. Jest on, w moim wyczuciu, spóźnionym odpowiednikiem tzw. „makiety" urzędowej wersji historii Polski z lat 1950-tych i co więcej — dla pamiętających opracowania typu *O sytuacji w historii literatury polskiej* (1950)[7] — zakrawa na nawrót do koncepcji okresu „błędów i wypaczeń". Prawda, że pierwszej połowy XX-go wieku nie określa się już mianem epoki imperializmu a literatury jako reprezentacji poglądów „klasy wówczas panującej i gospodarczo i kulturalnie:

5. Lesław Eustachiewicz, *Między współczesnością a historią*. Warszawa, 1973, PAX, 8°, str. 342, cytata ze str. 5-tej.

6. Problem ten referuje Bolesław Faron we wstępie do antologii *Prozaicy dwudziestolecia międzywojennego. Sylwetki*, Warszawa, 1972, Wiedza Powszechna, na str. 13-14.

7. *O sytuacji w historii literatury polskiej*, pod red. Jana Baculewskiego, Warszawa, 1951, PIW, cytaty ze str. 295-320.



burżuazji i drobnomieszczaństwa", ale niewiele lepiej brzmi informacja Żółkiewskiego ze wspomnianego wyżej wstępu do „Literatury polskiej", iż „już w roku 1918 poczynania rządu lubelskiego zakreśliły zasadnicze ramy rozwoju kultury, następnie w konstytucji roku 1921 zagwarantowanego". Uzupełnia to wiadomość, że ścierały się wówczas „dwie koncepcje: lewicowy program" marksistowskiej rewolucji kulturalnej" i prawicowy dążący do utrzymania instytucji „elitarnych" z dominacją tradycji jeszcze feudalnych oraz klerykalnych".

Słowa te kreślone były około 1974. W ciągu następnego czterolecia dokonano jednak „w polityce partii" „szeregu sprostowań historycznych", których zwiastunem była swoista amnestia zastosowana do obchodów 60-tej rocznicy odzyskania Niepodległości a tym samym Dwudziestolecia.

Zmiany te wystąpiły wyraźnie w dyskusji-*monstre* na temat „Niepodległość a kultura. Życie umysłowe w Polsce lat 1918-1978", zorganizowanej w dn. 16 marca 1978 przez Redakcję warszawskiego *Miesięcznika Literackiego*[8]. Przewodniczył jej Włodzimierz Sokorski, który w zagajeniu zadeklarował oficjalnie, iż „w chwili obecnej (tj. wiosną 1978 r.) zbieramy się w sytuacji o tyle innej (w stosunku do r. 1968, gdy odbyła się „podobna dyskusja"), że w polityce Partii wyraźnie zarysowała się tendencja spojrzenia na dorobek Polski wyzwolonej w roku 1918 *globalnie*, tj. dostrzegając konflikty klasowe stojące za zjawiskami życia społecznego, nie negujemy jednak znaczenia osiągnięć w licznych dziedzinach a w kulturze przede wszystkim".

Oświadczenie to interpretować należy jako deklarację dzisiejszego stanowiska Partii. Przy nastawieniu optymistycznym wygląda na zielone światło do podejmowania badań, publikowania przedruków utworów autorów dotąd źle widzianych lub przemilczanych, rozluźnienie cenzury itp. Wniknięcie w szczegóły wypowiedzi Sokorskiego wskaże jednak, że zachować należy daleko idącą rezerwę w przewidywaniach owych pozornych dobrodziejstw. W stosunku do wypowiedzi Żółkiewskiego oznacza jednak prospekt separacji zjawisk kulturalnych od „uprzemysłowienia i urbanizacji".

Zagajenie marcowej dyskusji w *Miesięczniku Literackim* nie jest jedyną wypowiedzią Sokorskiego w tej materii. Uzupełnia ją w sposób bardzo zasadniczy artykuł pt. „Spojrzenie wstecz" ogłoszony w numerze lipcowym a więc stanowiący rodzaj postscriptum do dyskusji. Czytamy w nim iż „Dwudziestolecie literackie w równym stopniu ciekawi nas, co uświadamia nieadekwatność jego doświadczeń do chwili dzisiejszej". Dlatego „łatwiej na

8. Stenogram dyskusji ogłoszono w *Miesięczniku Literackim*, 1978, nr. 9, str. 61-84. Uczestniczyli w niej: Stanisław Witold Balicki (zmarły w 1979), Tadeusz Drewnowski, Marian Marek Drozdowski, Andrzej Lam, Stanisław Lorentz, Kazimierz Michałowski, Edward Osmańczyk, Stefan Pełczyński, Marian Piechal, Włodzimierz Sokorski, Krzysztof Teodor Toeplitz i Wojciech Żukrowski. Zagajenie Sokorskiego na str. 61. Cytowane dalej: *MiesL*, 9.

gruncie adaptacji korzysta z niego film, radio, telewizja niż wydawnictwa, gdyż sam tekst często broni się słabiej, niż wynikająca z niego inspiracja twórcza[9]". Uzupełnijmy: pozwala na wyjście poza tekst i zwalnia od wierności koncepcjom autora, na co nie brak przykładów z praktyki teatralnej i filmowej PRL-u.

Za zadanie na „dzień dzisiejszy" uważa Sokorski „rozważanie: co pozostało żywe? co można ożywić dzięki adaptacji dla masowych środków przekazu?" Chce się dopowiedzieć: co wolno? co przejdzie przez sito cenzury? Odpowiedź da się wyczytać w metodycznych wyjaśnieniach Sokorskiego. Należy:

1) dyskutować „problemy kultury narodowej, jej wartości uniwersalne, które gromadzą się i sprawdzają z upływem lat";

2) „weryfikować bezsporne osiągnięcia" za pośrednictwem przedruków albo używając je jako „inspirację twórczą, historiozoficzną i kulturalną naszej aktualnej działalności";

3) ustalać „trwałe wartości tamtego czasu". I tu wylicza przykładowo: integrację zaborów, rewindykację ziem zachodnich (w kontraście do „orientacji wschodniej"), wzrost świadomości chłopstwa[10]. „Mimo że warstwom posiadającym udało się w roku 1918 uchwycić władzę, akcjom rewolucyjnym lewicy zawdzięczamy ośmiogodzinny dzień pracy, ubezpieczenia społeczne i chorobowe tzw. Kasę Chorych, upaństwowienie kolei, upowszechnienie oświaty i reformę rolną, wprawdzie okaleczoną, lecz istotną dla dalszego rozwoju wsi polskiej".

Z pewnym zażenowaniem dodaje, że łączy się z tym konieczność „dokonania szeregu sprostowań historycznych, może nawet nie tyle sprostowań, co wyjaśnień rozszerzających skalę dotychczasowych ocen. Dotyczą one zarówno roli Piłsudskiego, Dmowskiego, Paderewskiego jak i całej grupy Morges" [...] „Wszystkie te sprawy ciągle w sposób niedostateczny są ujawniane w naszej nauce, publicystyce, w literaturze i w filmie" [...] „Bez rzucenia pełnego światła na punkty wyjścia naszej drugiej niepodległości zubożamy okres własnego rozwoju". I dalej jeszcze jedna rewelacja: „Chciałbym tylko podkreślić że Polska Ludowa w latach 1944-1949 nawiązała bezpośrednio do dziedzictwa przedwojennego, będąc nawet w dużym stopniu jego kontynuacją, oczywiście wyznaczając całkowicie nowe odniesienia w stosunku do sytuacji społecznej i politycznej".

W tymże artykule doczekał się bliższego sprecyzowania problem „tabu" Piłsudskiego. Był on — pisze Sokorski — „nie tylko przyczyną wielu trudności, komplikacji i antagonistycznych napięć w polityce międzynarodowej okresu międzywojennego, lecz

9. Włodzimierz Sokorski, „Spojrzenie wstecz", *Miesięcznik Literacki*, 1978, nr 7 (cytowane dalej: *MiesL*, 7), str. 30.

10. *MiesL*, 9, str. 62. „Reforma rolna otworzyła nową fazę obywatelskiej dojrzałości chłopstwa, które szerokim frontem włączyło się w walkę o przebudowę utsroju społecznego [...] w tej dziedzinie ogromną rolę odegrała literatura pisarzy pochodzących ze wsi, poczynając od Orkana i Kasprowicza...



architektem aktywnej polityki w tym samym stopniu antyradzieckiej, co i antyniemieckiej[11 i 12]".

Wypowiedź Sokorskiego pozornie sygnalizuje spóźnioną aprobatę tego, co spontanicznie dochodzić zaczęło do głosu[13]. Pamiętajmy jednak że teoretyczne wywody na temat „trwałych wartości" i pożytecznych tradycji zdarzały się całkiem często w latach 1950-tych w okresie „odczytywania na nowo" książek dawnych, w poszukiwaniu dzieł nadających się dla czytelnika masowego. Pod tym hasłem wentylowano jednak wówczas głównie twórczość pozytywistów, starając się wyjść poza „Szkice węglem" Sienkiewicza i nowele Konopnickiej. Oświadczenie Sokorskiego nie zapowiada przecież swobody interpretacji czy wyboru: każe „weryfikować", „ustalać", „prostować". Tyle że zegar czasu posunął się naprzód o kilkadziesiąt lat i doszedł do Dwudziestolecia.

Od wygłoszenia tego programu wróżącego pozornie częściowe ułaskawienie upłynął już rok. Na przełomie 1978/1979 pojawiły się, dorocznym zwyczajem zapowiedzi wydawnicze w *Nowych Książkach*[14]. Niewiele da się w nich wyszukać książek z zakresu prozy polskiej, eseju, dramatu i poezji i książek „o literaturze" z okresu Dwudziestolecia. Oto skromny plon poszukiwań: w roku 1979 ma się ukazać nareszcie *Sól ziemi*, Wittlina (PIW), *Pałace Boga* L. Chwistka (PIW), *Narkotyki* i *Niemyte dusze* Stan. Ign. Witkiewicza (Wyd. Liter.) „I to wszystko, jeśli chodzi o prozę okresu międzywojennego" — przyznaje autor artykułu zapowiadającego nowości z zakresu „prozy polskiej, eseju, dramatu", dorzucając dla poprawienia wrażenia powtórzenia powojennych dwu powieści Zofii Nałkowskiej: *Niedobra miłość* i *Romans Teresy Hennert* (Czyt.), *Cudzoziemki* Marii Kuncewiczowej (Czyt.), *Zazdrości i medycyny* Michała Choromańskiego (Wyd. Pozn.), *Czarnych skrzydeł* Juliusza Kaden-Bandrowskiego (Wyd. Liter.) i *Nocy i dni* Marii Dąbrowskiej. W dziale poezji figuruje samotnie tom *Poezji* Lechonia (PIW).

11. *MiesL*, nr 7, str. 34.

12. Dobitniej ujmuje to Marian Piechal, wspominając „niepodległościową atmosferę Dwudziestolecia, której centralną postacią był Józef Piłsudski. Sam kończyłem gimnazjum łódzkie, najbardziej dostępne dla synów robotników, jego imienia, także i Uniwersytet Warszawski jego imienia. Uważam, że jest to postać, mimo wszelkich możliwych restrykcji, syntetyzująca i symbolizująca nasze XX-lecie", *MiesL*, nr 9, str. 72.

13. To przypuszczenie potwierdza Tadeusz Drewnowski: „Stosunek do XX-lecia odmienił się w dyskusjach okresu stalinowskiego (prowadzonych i w Związku Literatów, i na łamach *Nowej Kultury*): oficjalne potępienie zaszło zbyt daleko, aby nie sprowokowało sprzeciwu, choćby w imię ratowania pewnych autorów. Później literatura okresu międzywojennego broniła się głównie sama — przez stopniowe wznowienia. W tej mierze nadal istnieją dotkliwe luki. Ostatnio modne się stało sięganie do XX-lecia w kinie i w telewizji, lecz czyni się to na ogół niewymyślnie, szukając tam egzotyki czy retro", *MiesL*, nr 9, str. 78.

14. *Nowe Książki*, 1979, nr 3: „Oferty wydawnicze 1979. Andrzej Bernat: Proza polska, esej, dramat (str. 2-4) i Łukasz Nicpan: Poezja. O literaturze (str. 6-8).

Stan rzeczy pogarsza brak wznowień książek wydawanych uprzednio kapaniną *(casus* Gombrowicza) i wyczerpanych od lat nawet w handlu antykwarycznym oraz fakt że nie wypełniono dotąd rażących luk w wydaniu zbiorowym pism Żeromskiego i że wznowieniom czy nowym wyborom poezji Lechonia nie towarzyszy zapowiedź wydania *Dziennika*, że w żadnym kontekście nie jest wymieniane nazwisko Herminii Naglerowej itp.

Lektura wnikliwego artykułu Henryka Markiewicza pt. „Badania literatury polskiej XIX i XX wieku[15]" ujawnia jeszcze inny aspekt sytuacji. Autor jest zdania, że „najszerzej i najczęściej eksplorowanym terenem jest dziś literatura międzywojenna", że „wielostronnego opracowania doczekały się poszczególne kierunki i grupy poetyckie", że pisze się np. wiele o Leśmianie, Schulzu, Gombrowiczu a nade wszystko o Stan. Ign. Witkiewiczu. Przytacza jednak przy tej okazji sąd Jana Błońskiego[16] o pracy zbiorowej pt. *Studia o Leśmianie*, uważając że można go zastosować także do innych autorów i poświęconych im prac". Trudno nam dotrzeć — pisał Błoński — do wspólnego rozumienia, jakiegoś *sensus communis* dzieła, co by pozwoliło dogadać się ludziom o rozmaitych zainteresowaniach i metodologiach. Wśród *Studiów o Leśmianie* sporo jest świetnych. Przecież nieraz miałem wrażenie, że czytam o kilku poetach, nie o jednym".

Zjawiska te są w dużym stopniu wynikiem uprawianego od roku 1945 deformowania obrazu Dwudziestolecia przez ryczałtowe przemilczenia i wymyślne fałsze interpretacyjne. Ryzykuję przypuszczenie, że wiedza o polskim Oświeceniu jest pełniejsza a historycy literatury, piszący o tym okresie swobodniej i trafniej odtwarzają jego obraz[17]. Wniosek ten dyktuje mi lektura skądinąd sumiennych i uczciwych opracowań monograficznych dotyczących Dwudziestolecia np. Janusza Stradeckiego o „Skamandrze", wyolbrzymiających jednak kawiarniano-kabaretowe aspekty zjawiska. Jarosław Marek Rymkiewicz przyznaje się otwarcie, że Lechonia *Rzeczpospolita Babińska* (1920) jest „całkowicie dziś nieczytelna, bo wypełniona realiami epoki[18]". Inny przykład: rozważania Włodzimierza Boleckiego o genezie *Nurtu Berenta*[19], pomijające inspirację główną, jaką były rozmowy z prof. Józefem Ujejskim, którego wykłady uniwersyteckie, dyskutowane z dnia na dzień w otoczeniu pisarza, wypełnione były analizami zjawisk kulturalnych lat 1800-1825 w podobnej interpretacji. Autor rozprawy, urodzony prawdopodobnie po wojnie, nie może sobie także uświadomić jak „modne" były w Warszawie lat 1920

15. *Ruch Literacki*, 1979, str. 419-428.

16. *Rocznik Literacki*, 1971, str. 298-299.

17. Ciekawe jak wypadnie tom *Obrazu literatury polskiej, 1914-1939* zapowiedziany przez Wydawnictwo Literackie na rok bieżący i trzytomowy podręcznik historii literatury polskiej J. Ziomka, w którym można się spodziewać rozdziałów obejmujących Dwudziestolecie.

18. *LitP*, I, 281.

19. Włodzimierz Bolecki, *Historia i biografia. „Opowieści biograficzne" Wacława Berenta*, Wrocław, 1978, Ossolineum. (Praca magisterska).



i 1930-tych *vies romanées* André Maurois i cięższego nieco kalibru biografie pióra Lyttona Strachey'a i rozważania o ewolucji powieści E. M. Forster'a. Historycy literatury młodszych generacji mieli lub mają do przezwyciężenia wtłoczone im w szkole i uczelni nawyki myślenia i prefabrykowanych sądów. Jeśli nawet myśleli inaczej, w tym, co pisali, nie mogli ujawniać „prawdy całkowitej[20]".

Z tego względu na szczególną uwagę zasługują „świadectwa uczestnictwa" przedstawicieli starszych generacji, których Sokorski zaprosił do wzięcia udziału w dyskusji zorganizowanej przez redakcję *Miesięcznika Literackiego*, a którym z tytułu wieku wolno (do pewnego stopnia) się „słonimszczyć" („Bo czyż pod stołem, który nas dzieli, nie trzymamy się wszyscy tajnie za ręce[21]?").

Dzielili oni zapewne pogląd Sokorskiego, że Dwudziestolecie jest „niedostatecznie znane, co utrudnia konfrontację" i że „Polska Ludowa w latach 1944-1949 nawiązała bezpośrednio do dziedzictwa przedwojennego, będąc nawet w dużym stopniu jego kontynuacją[22]". Uzupełniali te poglądy przykładami.

Tak np. Stanisław Lorentz, dyrektor Muzeum Narodowego w Warszawie, podkreślając, że „ma własne opinie w wielu sprawach" przypomniał ustawę o ochronie zabytków z roku 1928, nazywając ją „jedną z najlepszych w świecie w tej dziedzinie". Akcje powojenne z okresu odbudowy oparły się na kadrze z okresu Dwudziestolecia i dały „polską szkołę konserwacji zabytków". Przypomniał także znaczenie „pracy społecznej, niepłatnej i naprawdę bezinteresownej", co prawdopodobnie zabrzmiało w uszach młodszych uczestników dyskusji jak bajka o żelaznym wilku. Upomniał się o autorstwo planów niezrealizowanych przed wybuchem Drugiej Wojny Światowej, ale już opracowanych a dotyczących np. Trasy Łazienkowskiej czy Wisłostrady.

Prof. Kazimierz Michałowski, archeolog, podkreślił znaczenie europeizacji wyższych uczelni, istną „erupcję w dziedzinie pracy naukowej" w Dwudziestoleciu. Dotknął w swej wypowiedzi spraw nieuchwytnych, takich jak np. twórców polskiej szkoły matematycznej, wywodzącej się ze Lwowa (Banach, Steinhaus), Krakowa (Zaręba) i Warszawy (Sierpiński, Kuratowski, Borsuk, Saks). Warto przytoczyć znamienny fragment jego wypowiedzi:

„Nigdy nie zapomnę jednego z międzynarodowych kongresów, który odbywał się częściowo w Paryżu, a częściowo w płd. Francji, kiedy najwybitniejsi uczeni o światowej sławie, członkowie wielu akademii, piastujący doktoraty honorowe największych uczelni, stali dosłownie w ogonku do mnie, abym ich przedstawił Tadeuszowi Zielińskiemu, którego wielka postać z siwą brodą

20. Przyznaje się do tego Artur Sandauer w „Ewolucji polskiej poezji międzywojennej", *MiesL*, 7, str. 37.

21. Bruno Schulz, *Proza*, Kraków, 1964, str. 161. Cyt. za Sandauerem, j.w., str. 45.

22. *MiesL*, 9, str. 62-63.

dominowała nawet w aspekcie zewnętrznym nad licznym gronem uczonych [...] Inny z warszawskich humanistów, posiadający już przed drugą wojną światową, nie mówiąc już o latach powojennych, opinię bardzo czarnosecińską, to Oskar Halecki. Traktowaliśmy go często z uśmieszkiem, ponieważ walczył on o beatyfikację królowej Jadwigi. Ale Halecki był uczonym, którego prace były tłumaczone na wiele języków i do dziś są cytowane. Był to naprawdę jeden z tych historyków głośnych w świecie, a mniej docenianych w własnym kraju [...] W czasie wojny odważnie i skutecznie walczył w Stanach Zjednoczonych z propagandą niemiecką; zmarł na emigracji[23]".

Prof. Marian Marek Drozdowski przypomniał z kolei „mecenat samorządu", najwyraźniej dający się zilustrować na przykładzie Warszawy, ale dochodzący do głosu „szczególnie tam, gdzie lewica odgrywała istotną rolę — Łódź, Pabianice, Radom, Płock, Gdynia". Zwrócił także uwagę na „wzmocnienie potencjału naukowego", gdy „Niepodległość pozwoliła na powrót uczonych światowej sławy". Ogromne znaczenie miało też jego zdaniem powstanie lub wskrzeszenie wyższych uczelni (Poznań, Wilno). Ze wzruszeniem przypomniał indywidualny wkład takich uczonych jak Stanisław Estreicher, Oswald Balzer, Stanisław Kutrzeba, Franciszek Bujak. Oto fragment jego wypowiedzi w dyskusji:

„Szymon Askenazy. Któż z nas nie znał i nie zachwycał się jego dziełem *Napoleon a Polska*. Ale przecież dzisiejsi profesorowie uniwersytetów Warszawskiego i Wrocławskiego to uczniowie prof. Szymona Askenazego. Nie zrozumielibyśmy bez tego twórczości prof. Andrzeja Zahorskiego. Wielki dorobek współczesnej myśli historycznej związany jest z prof. Marcelim Handelsmanem, wychowawcą licznych pokoleń historyków. I to nie ze względu na jego badania nad Czartoryskim, nad rolą Wielkiej Emigracji, ale przede wszystkim na jego badania nad metodologią i teorią poznania. Handelsman to nauczyciel Tadeusza Manteuffla, twórcy Instytutu Historii, to nauczyciel Mariana Serejskiego [...], to nauczyciel niedawno zmarłego wybitnego historyka XVIII wieku ks. prof. Mariana Żywczyńskiego, Stanisława Herbsta, Janusza Wolińskiego i wielu współczesnych historyków. Polska myśl historyczna okresu międzywojennego stworzyła nowoczesne badania nad historią wojskowości. Przypomnijmy nazwiska: Wacława Tokarza, Mariana Kukiela i ich kontynuatora Stanisława Herbsta [...] a w dziedzinie myśli socjologicznej" Ludwika Krzywickiego, Stefana Czarnowskiego, Floriana Znanieckiego[24].

Kilkakrotnie poruszono w dyskusji problemy związane z wkładem Lwowa i Wilna do kultury polskiej. Andrzej Lam sądzi, że „żywa jest świadomość rozwoju przez negację, wynikająca z faktu, że polska myśl i polska aktywność była w tym okresie (tj. Dwudziestoleciu) zaangażowana także w różnych kierunkach, których historia nie potwierdziła. Przykładem mogą być poważne inwestycje kulturalne i naukowe, które czyniono w Dwudziestoleciu na wschodnich ziemiach Rzeczypospolitej, w takich zwłaszcza ośrodkach, jak Lwów czy Wilno. Inna rzecz — dodaje — że bez wykształconej tam kadry trudno byłoby sobie wyobrażać powojenną odbudowę[25]".

23. j.w., str. 71.
24. j.w., str. 68-69.



Jeszcze inny wariant reprezentuje wypowiedź Edmunda Osmańczyka. Stwierdza on, że 60-lecie jest „w połowie przełamane", „w innej kolebce poczęte, a w innej po wojnie usadowione". „Nie możemy — konkluduje — pozbywać się ani na chwilę całej tradycji Wilna i Lwowa, ani całej tradycji wszystkich tych kręgów kulturalnych, które w Polsce wielonarodowościowej działały i tworzyły[26]".

Inny interesujący aspekt wydobył ponadto K. T. Toeplitz[27], zastanawiając się nad atrakcyjnością filmów na tematy z Dwudziestolecia (zarówno starych przedwojennych jak i nakręcanych obecnie). Zjawisko to tłumaczy m.in. „poszukiwaniem zróżnicowania społecznego i obyczajowego", wyrażającego się rzekomo zanikłymi dziś konfliktami dramatycznymi z racji „mezaliansu" czy „kompromitacji". Publiczność tłumnie zapełniająca sale traktuje stare filmy jako „antidotum na uniformizację stylu bycia i zachowań[28]". Innym, znacznie ważniejszym aspektem atrakcyjności filmów typu *Śmierć Prezydenta* Jerzego Kawalerowicza jest sposobność wniknięcia w tło polityczne wydarzeń i zrozumienia „szoku wolności" (jak określił Jan Szczepański w „Trudnym wejściu w Niepodległość[29]"). Podobnej reakcji można się spodziewać po zapowiedzianym przez Sokorskiego filmie o Prezydencie Starzyńskim.

Odsłanianie obrazu życia politycznego Dwudziestolecia wyjaśnia także ogromną poczytność zarówno pamiętników, jak i nielicznych opracowań monograficznych typu książki o Dmowskim Andrzeja Micewskiego, jak wreszcie powieści, w których w kamuflażu sztucznych nazwisk występują ówcześni politycy, artyści i pisarze (np. *Sława i chwała* Iwaszkiewicza, *Krwawe skrzydła* i *Rajski ogród* Bartelskiego czy *Pole niczyje* Safjana). Na tym odcinku dopatrzeć się nawet można oznak odwilży. Aby uświadomić dokładniej jej rozmiary cofnąć się warto do *Zegara słonecznego* Parandowskiego, wspomnień ze Lwowa osadzonych w mieście bez nazwy — ale z Łyczakowem i Wałami Hetmańskimi, albo *Dziecka przyniesionego przez ptaka* Kijowskiego z opisem pogrzebu bezimiennej wielkości.

W dotychczasowych rozważaniach cytowana była już wielokrotnie *Literatura polska, 1918-1975*, t. I. Jest to praca zbiorowa,

25. j.w., str. 65.
26. j.w., str. 74.
27. j.w., str. 74.
28. Inną formę cichego protestu odsłania Janusz Tazbir w *Kulturze szlacheckiej w Polsce* (Warszawa, 1978), str. 226: „Niegdyś szlacheckie słówko „pan" jest stosowane w tytulaturze całego narodu i próby wyparcia go na co dzień przez tytuł „obywatel" okazały się daremne".
29. *Twórczość*, 1978, nr 11, str. 74.

w której pozostawiono autorom poszczególnych rozdziałów pewien margines swobody. Łączy ich jednak zbieżność sądów w wielu materiach. Tak np. wszyscy podkreślają nawiązania do okresu Młodej Polski w twórczości pisarzy starszych generacji i ogromną rolę ich autorytetów (zwłaszcza Żeromskiego, Staffa, Kasprowicza, Berenta). Jako produkt sytuacji politycznej zjawia się a raczej wybucha grupa Skamandra (dołącza się przy tym często do klasycznej piątki Lieberta, Pawlikowską, Balińskiego i Iłłakowiczównę, rzadziej Broniewskiego). Rola tej grupy rośnie w miarę upływu lat. Nawet Sokorski podkreśla jej „odporność wobec czasu", choć motywuje to walorami twórczości Iwaszkiewicza[30] i Tuwima[31]. Pośrednim świadectwem żywotności jest wzorowanie się powojennych tygodników i miesięczników krajowych na *Wiadomościach Literackich* i *Skamandrze*, wyczuwalne do dziś. Potwierdzeniem „trwałości osiągnięć literackich 'Skamandra'" jest też dla Sokorskiego „powrót na krajowy rynek Kazimierza Wierzyńskiego i Jana Lechonia" w ostatnich latach — i, dodajmy, po ich śmierci.

Marian Piechal w dyskusji *Miesięcznika Literackiego*[32] idzie znacznie dalej w rehabilitacji Skamandrytów. Niesłusznie uważano ich za tradycjonalistów: „byli to także swoistego autoramentu artystyczni rewolucjoniści, wykpiwali pewne młodopolskie relikty i inne martwe już ale wciąż pokutujące w naszej literaturze rekwizyty. Proponowali jasność wyrazu, nową tematykę, to znaczy nowe tereny eksploracji literackiej. Była to grupa postępowa, zwarta w działaniu, powiedziałbym — najbardziej rozważna, najbardziej swoista w sensie narodowym".

Awangardę(-y) ocenia się różnie. Sokorski[33] uważa „nawroty do awangardy" za „zjawisko żywe i płodne". Wydaje się, że określenie to jest w jego ujęciu bardzo pojemne i obejmuje nie tylko „pierwszą (krakowską) awangardę" ale i „drugą" *(Żagary, Reflektor)* a nadto Kwadrygę, Czartaka i autentystów związanych z *Okolicą Poetów* Czernika.

Sandauer w artykule o „Ewolucji polskiej poezji międzywojennej[34]" uchyla się od generalizowania i analizuje (słusznie!) nie przynależność do grupy poetyckiej i jej programu ile „odkrywczość" poszczególnych twórców. Uderza go „żywiołowość" u „pogrobowców Młodej Polski" (Staffa a zwłaszcza Leśmiana), „ahistoryczność" Pawlikowskiej („najbliższej Leśmianowi"), „witalizm" Tuwima, „dynamiczny naturalizm" Przybosia. Słusznie także demaskuje tendencje pseudonowatorskie w latach 1920-tych, udowodniając że w następnym dziesięcioleciu przeobrażają się one

30. Iwaszkiewicz „był i pozostał swoistą instancją minionego 60-lecia, pomostem między minionymi i przyszłymi laty", *MiesL*, 7, str. 30.

31. Oczekuje redivivum *Kwiatów Polskich*, jako „obrazu historycznych procesów polskiej inteligencji, która w ostatecznym rachunku znalazła się w orbicie Polski Ludowej, *MiesL*, 7, str. 31.

32. *MiesL*, 9, str. 71.

33. „Spojrzenie wstecz", *MiesL*, 7, str. 32.

34. *MiesL*, 7, str. 37-45.



w „odwoływanie się do tradycji". Pisząc to nie zamyka oczu na „rozluźnienie dotychczasowych rygorów i rozgadanie" u Gombrowicza i Schulza omawianych (w drodze wyjątku) łącznie z poetami.

Tadeusz Drewnowski[35] odnosi się z rezerwą do ogółu poczynań Awangardy, uważając je za „na ogół kapryśne i efemeryczne", „poza trwalszym wpływem szkoły Przybosia". Idzie nawet tak daleko, że genealogię „produkcyjniaków" wywodzi z haseł Awangardy (chyba krakowskiej). Sądzi, że „ton życiu literackiemu Dwudziestolecia nadawał antagonizm Skamander-Awangarda. Putrament w wypowiedzi w ankiecie *Studenta*[36] uważa, że „Peiper umarł bezpotomnie. I chyba zdawał sobie z tego sprawę".

Bardzo wysoko ocenia rolę poezji Dwudziestolecia Stefan Pełczyński w dyskusji *Miesięcznika Literackiego*[37]: „XX-lecie — moim zdaniem — jest srebrnym wiekiem poezji polskiej, za złoty uważam romantyzm". „W żadnym z miast Europy — dowodzi dalej — nie ukazywał się tygodnik podobny do *Wiadomości Literackich*[38] ani taki miesięcznik jak *Przegląd Współczesny* otwarty na wszystkie problemy kulturalne całego kontynentu".

W omówieniach prozy, zarówno w *Literaturze polskiej, 1918-1975* jak i innych wypowiedziach wybija się na pierwszy plan twórczość Marii Dąbrowskiej, jako autorki *Nocy i dni* oraz Zofii Nałkowskiej i „psychologicznej szkoły" jej uczniów i naśladowców/czyń. Podkreśla się także fenomen niemal równoczesnego wystąpienia kilku wybitnych powieściopisarek (Kuncewiczowa, Szelburg-Zarembina, Boguszewska, Gojawiczyńska — przemilczana jest stuprocentowo Naglerowa. (Ciepłe słowa kierują się pod adresem grupy „Przedmieścia").

Z pewnym zażenowaniem kwituje się żywy odbiór powieści politycznych Kadena-Bandrowskiego „najreprezentatywniejszego pisarza sanacji[38]". W pochwałach Gombrowicza i Witkacego[39] brak wzmianek o utorowaniu im drogi do egzaltowanego uznania w Kraju przez wcześniejsze aklamowanie ich talentów przez zagranicę (nie bez walnego udziału krytyków emigracyjnych). Przemilcza się fakt, że w Kraju znajomość pism powojennych Gombrowicza oparta jest na lekturze szmuglowanych egzemplarzy, które przemknęły się przez sito cenzury. Za zjawisko naturalne uważa się dzisiejszą lokatę Schulza, Gombrowicza, Witkacego, zacierając smutną prawdę o okresie, gdy Witkacy traktowany był

35. *MiesL*, 9, str. 79.

36. *Student* (Kraków), nr 18 z 28. IX. 1978 (ankieta „Wobec literatury Dwudziestolecia").

37. *MiesL*, 9, str. 83.

38. Tomasz Burek w *LitP*, I, str. 524 w rozdziale pt. „Jaka niepodległość? Wokół dylematu odrodzonego państwa".

39. Stanisław Stabro przypomniał jednak w ankiecie *Studenta* (nr 18 z 28. IX. 1978), że Witkacy „odnalazł się" po roku 1956 a „wcześniej było milczenie, zerwana ciągłość badań", fascynacja „legendy osobistej". Witkacy jest dla Stabry „pisarzem nie jednej epoki literatury polskiej, ale epoki świata w którym żyjemy".

jak *mente captus* a Ficowski wydobywał Schulza z najczarniejszych mroków zapomnienia.

O ciągłej żywotności dawnych „tabu" świadczą sądy typu ryczałtowego określenia Wacława Grubińskiego jako „arcymieszczańskiego autora bulwarowych komedii". *Pożoga* Zofii Kossak należy, zdaniem Żółkiewskiego[40], do książek rejestrujących „wspomnienia ziemian polskich z Ukrainy i ich przeżycia w dobie Rewolucji Październikowej". Za *curiosum* uważa, że wchodziła w skład lektury szkolnej. Od Żółkiewskiego dowiadujemy się także, że „Radziecka Polonia miała własne czasopisma. Działali bowiem na tym terenie pisarze-komuniści zmuszeni do emigracji ze względów politycznych. Kultura literacka tych środowisk, dążenia miejscowych pisarzy Polaków, losy pisarzy emigrantów rozwijały się analogicznie do dziejów kultury literackiej Związku Radzieckiego". (Trzeba przyznać że prawda o owych losach jest zgrabnie owinięta w bawełnę. Podobnie brzmi wzmianka o Władysławie Sebyle w rozważaniach o poezji Jarosława Marka Rymkiewicza w *LitP.* I, 440): był to „pierwszy polski poeta-katastrofista, który śmiercią swoją potwierdził realność poetyckich wizji zagłady Drugiej Rzeczypospolitej").

Na podkreślenie zasługują rzeczowe wzmianki (w *LitP.)* o twórczości Eugeniusza Małaczewskiego[41], Jerzego Kossowskiego, Jana Żyznowskiego a nawet Stanisława Rembeka[42]. Mieszczą się one w rozdziale o „Prozatorskim obrazie i bilansie wojny", w którym oddzielny podrozdział pt. „Epickie echo wojny" przynosi entuzjastyczną ocenę *Soli ziemi* Józefa Wittlina. Sądy o Ferdynandzie Goetlu są mieszane. Tomasz Burek (w *LitP.)* surowo sądzi powieść *Kar-Chat* (1922), poświęca jej jednak obszerne omówienie[43]; Hanna Kirchner, pisząc o *Z dnia na dzień* widzi w niej „jedną z rzadkich w latach 1918-1932 prób autotematycznych[44]". Warto zwrócić uwagę, że powieści wyliczonych wyżej autorów wejść mogą *en bloc* do propozycji wydawniczych na najbliższy okres. Zapowiedziane jest jedynie wydanie *Soli ziemi.*

40. *LitP*, I, 59.

41. Zbiór nowel pt. *Koń na wzgórzu* „należy do najwartościowszych w literaturze o wojnie, dzięki umiejętności ukazywania wojennych faktów, dzięki surowemu obrazowi doli żołnierskiej, dzięki szeroko stosowanej zasadzie kontrastu i emocjonalnej antytezy, dzięki złożoności nurtów duchowych, szukających tu uspokojenia i równowagi" (Tomasz Burek w *LitP*, I, str. 471).

42. Rembek „opisywał impas i bezruch wojny pozycyjnej, dawał wielką epopeję odwrotu i klęski. Był batalistą w nowoczesnym stylu, odrzucającym wszystkie malownicze efekty bitwy i romantyczne symbole walki" (Burek, j.w., str. 475).

43. *Kar-Chat* — to powieść „uważana w swoim czasie za wybitną, okazywała się w istocie drugorzędną i wtórną wobec poruszających pokrewną problematykę wczesnych utworów Conrada" (Burek, *LitP*, I, 480-1). Czy jednak Goetel znał owe powieści Conrada, pisząc powieść? — wielki znak zapytania.

44. *LitP*, I, str. 655 w rozdziale „Proza — problematyka osobowości w prozie".



W osobach Boya i Irzykowskiego dostrzeżono „odnowicieli wielkich tradycji krytyki interpretującej[45]". Boy otrzymał nadto normalną porcję pochwał jako tłumacz i pogromca kołtunerii.

W poświęconym dramatowi rozdziale *LitP.*, pióra Mariana Rawińskiego zwraca uwagę obszerne i umiarkowanie krytyczne ujęcie roli Karola Huberta Rostworowskiego[46]. Niewątpliwym *novum* w wydawnictwie firmowanym przez IBL jest omówienie *Ponad śnieg, Białej rękawiczki* i *Turonia* Żeromskiego i odwołania do *Snobizmu i postępu.* Dobrze wypadł ustęp o *Przepióreczce,* o której Rawiński pisze: „Można z niewielką przesadą powiedzieć, że dopiero ten utwór [a nie poprzednie] przynosi dojrzały artystycznie obraz kraju po odzyskaniu niepodległości[47]".

To i wiele poprzednich przytoczeń wskazuje, że do makiety oficjalnej marksistowskiej historii literatury odnosić się należy z rezerwą. Sytuację ratuje nieco fakt, że jest ona pracą zbiorową, w której na szczęście nie zatarto całkowicie indywidualności autorów poszczególnych rozdziałów. Zawdzięczamy temu dobre teksty pióra Tomasza Burka („Krytyka literacka i 'duch nowoczesności'" i „Problemy wojny, rewolucji i niepodległości w zwierciadle prozy narracyjnej"), Andrzeja Wernera („Krytyka literacka"), Ryszarda Przybylskiego i Jarosława Marka Rymkiewicza (części rozdziału o „Poezji"), Mariana Rawińskiego („Dramat"), nierówne ale ciekawe ujęcia problemów Awangardy Heleny Zaworskiej, sylwety Berenta i Witkacego w ujęciu Aliny Brodzkiej, Dąbrowskiej i Nałkowskiej w ujęciu, oczywiście, Hanny Kirchner. Słabo, gorzej od publicystycznego opracowania Kazimierza Koźniewskiego, wypadł rozdział o „Czasopismach literackich" Krystyny Sierockiej. Na plus opracowania zapisać należy uwzględnienie przemilczanych do niedawna autorów np. Goetla, Wata. Ułaskawienia te dotyczą jednak z reguły nieżyjących.

Z oceną całości opracowania wstrzymać się należy do czasu ukazania się drugiego tomu, w którym przecięci cezurą roku 1932 pisarze zrosną się w jedną całość.

W dzisiejszym stanie rzeczy jaśniej i trafniej ujmuje całe Dwudziestolecie pozornie popularniejszy obraz literatury Dwudziestolecia u Lesława Eustachiewicza w *Między współczesnością a historią* (1973), omówiony w nrze 7/334-8/335 *Kultury* w r. 1975.

Ważnym marginesem sądów „oficjalnych" są ankiety w czasopismach literackich z okresu rocznicy 60-lecia. Niektóre z nich np. prace nadesłane na konkurs *Tygodnika Powszechnego* na temat „Dziedzictwo i spadkobiercy" ukażą się w formie książkowej i wtedy będą omówione. Ankieta *Polityki,* poza groteskową wypowiedzią Żukrowskiego omówioną w zeszycie marcowym

45. *LitP*, I, str. 174-186 („Odmiany i rozbieżności wielkiej krytyki").

46. *LitP*, I, str. 693 i 733-735. „Nieprzeciętnej wyobraźni scenicznej i wykorzystaniu walorów muzycznych zawdzięczał Rostworowski w znacznym stopniu renomę najwybitniejszego dramaturga lat międzywojennych" (str. 735).

47. *LitP*, I, str. 682.

*Kultury*, zajmuje się literaturą drugoplanowo, kładąc nacisk na polityczne wydarzenia okresu. To samo założenie przyświecało redaktorom numeru listopadowego *Twórczości* zawierającego małą antologię wyjątków z pamiętników, wspomnień i esejów na temat roku 1918. A także redaktorowi pracy zbiorowej pod redakcją Andrzeja Garlickiego *Rok 1918. Tradycje i oczekiwania* (Czytelnik, 1978), mówiącej raczej o przededniu odzyskania Niepodległości.

Wszystko to, razem wzięte, świadczy o żywym zainteresowaniu Dwudziestoleciem, ujmowanym jednak jako jedna z zamkniętych epok historycznych, a nawet jak ujął to Putrament w ankiecie *Studenta* jako coś, co przypomina ... Nepal. Nepal „na tle wysokich gór, które już minęły, które już przeszliśmy". Powroty do literatury Dwudziestolecia są, dla wielu, modą rozwijającą się równolegle do mody na romantyzm i nie jest wyrazem podskórnych związków z tą modą. Towarzyszy jej znajomość tytułów raczej niż tekstów wywołana brakiem dostępu do niewznawianych od lat utworów. Stąd wtórność opinii. „Ożywianie", propagowane przez Sokorskiego, jest w tych warunkach zabiegiem połowicznym, sztucznym.

O rozległości zasięgu zainteresowań Dwudziestoleciem świadczy wymownie ankieta „Wobec literatury Dwudziestolecia" w krakowskim dwutygodniku *Student* z września ub. roku. Zawiera ona ciekawe podsumowania. Tak np. Henryk Markiewicz pisze: „Panuje [obecnie] hossa (!) na Leśmiana, Witkacego, Gombrowicza, Schulza, po części na Awangardę, bessa (!) na Nałkowską, Dąbrowską, Tuwima, Gałczyńskiego. Bessa w moim wyczuciu krzywdząca". Prof. Markiewicz domaga się „rewaloryzacji" niedocenionej dziedziny twórczości Dwudziestolecia — „prozy niefabularnej": eseju, krytyki literackiej, felietonu, uważając, że był to „okres świetności tych gatunków". Pochwała ta jest przejściem do krytyki współczesnego „mówienia o literaturze". „Teksty stają się coraz bardziej amorficzne, rozgadane, skażone albo hermetycznością niedostępną nawet niekiedy dla fachowców, albo banalne i tak szare, że jednego autora nie można odróżnić od drugiego".

Ciekawym „dokumentem uczestnictwa" jest wypowiedź Jalu Kurka w tejże ankiecie *Studenta*. Autorowi *Grypy szalejącej w Naprawie* nie brak pewności siebie: „musimy zdać sobie sprawę z tego że jest to książka stojąca u podstaw tak zwanej literatury wiejskiej". I to polskiej. Gdyż, zdaniem Kurka np. Wanda Wasilewska pisała przed 1939 r. „o wsi wołyńskiej, niepolskiej". Był i Orkan, ale i tego rywala pozbywa się Kurek przypomnieniem, że był to prozaik „poprzedniej epoki, Młodej Polski". „Współczesna krytyka usiłowała pomniejszyć znaczenie książki — dopiero ostatnio sądy te są weryfikowane". Czy istotnie była przemilczana?

Równie ryzykowne są wynurzenia Putramenta w tejże ankiecie *Studenta*. Dotyczą one problemu niemal kluczowego: stosunku do Żeromskiego. On sam uważa się za wiernego ucznia,



co, niestety, nie znajduje potwierdzenia w jego twórczości z t. I *Wybrańców* łącznie. Rację ma jednak stwierdzając, że Żeromski „był pisarzem o niebo przewyższającym następne pokolenie[48]".

Dyskusja nad Dwudziestoleciem trwa. Omówione wyżej głosy są pierwszym jej etapem. „Ożywianie" odbywa się niewątpliwie systemem kropelkowym.

*Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA*

48. Cytata wyjęta ze zdania, które warto przytoczyć w całości: „Ten stary, kończący się Żeromski, był pisarzem o niebo przewyższającym następne pokolenie". Tu przypomnieć warto, że Żeromski przeżył 61 lat. Ciekawe, czy urodzony w roku 1910 Putrament uważa się za kończącego?

BIBLIOTEKA « KULTURY »

**TOM 299 — LESZEK KOŁAKOWSKI**

**GŁÓWNE NURTY MARKSIZMU**

**Powtanie — Rozwój — Rozkład**

**Tom III**

Zawiera m.in. rozdziały: Pierwsza faza marksizmu sowieckiego. — Początki stalinizmu. — Spory teoretyczne w marksizmie sowieckim lat 20-tych. — Marksizm jako ideologia państwa sowieckiego. — Antonio Gramsci — rewizjonizm komunistyczny. — Georg Lukács — rozum na służbie dogmatu. — Lucien Goldmann. — Szkoła frankfurcka i teoria krytyczna. — Herbert Marcuse — marksizm jako utopia Nowej Lewicy. — Ernst Bloch — marksizm jako gnoza futurystyczna. — Rzut oka na przemiany marksizmu lat ostatnich.

Str. 536.

Cena F. 110,00.

Tom II-gi — zawierający 544 strony kosztuje F. 110,00.

## *Książki*

# Przeciw przemocy

Jedną z nielicznych dobrych stron emigracji jest konieczność uczenia się języków i to nie tylko tych tzw. ważnych jak angielski czy francuski, ale i mniej rozpowszechnionych jak portugalski, duński czy też holenderski. W każdym języku tej drugiej kategorii istnieją autorzy nietłumaczeni, a warci poznania. Tak się złożyło, że musiałem się przed laty nauczyć po holendersku i dzięki temu zetknąłem się z twórczością Cornelisa Verhoeven'a (wymawia się: werhuuwen), filozofa uprawiającego refleksyjną eseistykę poświęconą kulturze i ludzkiemu zachowaniu. O nim samym wiem niewiele: studiował w Nijmegen, ma ok. 50 lat, od 1965 roku publikuje mniej więcej co roku tom swych rozważań zawsze w tym samym wydawnictwie Ambo w Bilthoven. Jasność rzeczowość i to co można by nazwać uczciwością stylistyczną sprawiają, że każdy jego zbiorek dostarcza godzin niezmiernie przyjemnej lektury. Nie czytałem wszystkich jego rzeczy, ale nawet tych sześciu czy siedmiu które znam nie da się „omówić" w tym sensie, jaki kojarzy się z pojęciem recenzji — zwartość tak wysokiej jakości z trudem poddaje się cięciom i streszczeniom — nie mniej uważam, że warto zwrócić uwagę na to nazwisko, a także warto choćby bardzo ogólnikowo prześledzić główne linie, wzdłuż których toczą się te rozumowania.

Za najbardziej charakterystyczny ich rys uznać można tytuł jednej z jego prac, *Przeciw przemocy*[1], i dlatego tak też zatytułowałem niniejsze uwagi. *„Chciałbym pisać przeciwko przemocy tak, jak ojcowie kościoła pisali przeciwko herezji"*, powiada w przedmowie do tej książki Verhoeven, ma jednak na myśli przekonanie o ważności tematu i ścisłość argumentacji, nie anatemę i zapach siarki. Trudno w XX-tym wieku znaleźć prozę równie pozbawioną zarazem jadu jak i naiwności, jak ta. Gdyby do tego areligijnego myśliciela można zastosować słowo „religia" powiedziałbym, że religią Verhoevena jest myślenie na własny rachunek, a grzechem śmiertelnym narzucanie własnych przekonań i własnego schematu postępowania — czyli według jego kryteriów: przemoc. Podstawą tych rozumowań jest przeświadczenie, że myśl jest samoistnym światem, a cechą wyróżniającą tego świata jest bierność i bezsilność. W wypadku prawdziwej zbieżności myśli i rzeczy rozumowanie przeradza się w technikę, w sposób samoczynnej przemiany jednego stanu rzeczy w drugi, czyli w oddziaływanie na otoczenie bez gwałtu, „sposobem, a nie siłą", jak mówi porzekadło. Niecierpliwe sprzęganie refleksji z natychmiastową akcją, która ma ją wcielić w życie, „jedność teorii i praktyki" charakterystyczna dla wszystkich doktryn totalitarnych wynika, zdaniem Verhoevena, z podświadomej niepewności i braku przekonania o własnej słuszności. Wcielanie w życie wątpliwych doktryn ma służyć za ostateczny dowód ich prawdziwości — i to złamanie bariery pomiędzy myślą a akcją, próbę osiągnięcia celu na skrót i przemocą uważa on za dowód w najlepszym razie niedojrzałości, a w najgorszym szaleństwa. Każdy człowiek ma wariackie myśli, ale tylko wariat nie zdaje sobie sprawy z ich wariackości i chce je natychmiast realizować.

Głównym motywem przemocy jest chęć uproszczenia świata, najpierw teoretycznie, a później praktycznie. Odrzucając wielość równoczesnych możliwych interpretacji świata i forsując jedną tylko, „obowiązującą", wydzielamy z bogactwa rzeczywistości nieliczne tylko kategorie, a pozostałe przeznaczamy na śmietnik. Szczególnie w dwóch książkach temat ten jest omawiany szeroko: *Znaczenie laika*[2] i *Tortury w najlepszych intencjach*[3]. Laik (a ściślej: *outsider)* w pierwszym tytule oznacza każdego, kto ma o jakiejś dziedzinie nauki pojęcie tylko ogólnikowe i jest z tej racji bardzej dogmatyczny i pewny siebie niż fachowiec, który wie, że jego specjalność — tak jak każda specjalność — jest tylko pewnym przybliżeniem rzeczywistości i że hipotezy, teorie a nawet fakty stanowią jedynie zewnętrzną otoczkę próżni, tzn. nieznanego, niesprawdzalnego, zagadkowego w samym centrum zainteresowań — i że właśnie to próżne centrum stanowi siłę napędową ludzkiej ciekawości. Dla laika — amatora, wyznawcy, ucznia — to próżne centrum nie istnieje, włada nim mit „nagiej prawdy" czyli przekonanie, że każdą refleksję da się sprowadzić do zamkniętej listy niewątpliwych ustaleń, a te z kolei dadzą się łatwo przekształcić w „naukową" akcję ulepszania świata, choćby po trupach. Mit nagiej prawdy jest zdaniem holenderskiego filozofa pochodną innego mitu, który nazywa mitem ograniczonej ilości. Patrząc na świat jako na zbiór rzeczy — a nie zjawisk, płynnych i zależnych od punktu widzenia obserwatora — łatwo dojść do przekonania, że rzeczywistością rządzi ta sama prosta arytmetyka, którą stosuje się w budżecie rodzinnym opartym na stałej pensji: jeśli chcę kupić jedną rzecz, mu-

1. *Tegen het geweld*, 1967.

2. *Het gewicht van de buitenstaander*, 1972.
3. *Folteren om bestwil*, 1977.

szę zrezygnować z drugiej. „Ofiara", poświęcenie, a w praktyce likwidacja tego i owego lub tych i owych na rzecz zwycięstwa „nagiej prawdy" prowadzi często do tego, co określa tytuł drugiej ze wspomnianych książek: „tortur w najlepszych intencjach".

Natchnieni mistrzowie i fanatyczni uczniowie — na ogół „druga fala" doktryny jest bardziej bezwzględna i okrutna — działają zazwyczaj w imię idealizmu, toteż pojęcie to nie cieszy się sympatią Verhoevena. W zbiorze *Pozostałości ojcostwa*[4] poświęcił temu problemowi dwa eseje pod charakterystycznymi tytułami „Podejrzany idealizm" i „Pochwała letniości"; w tym drugim czytamy:

Zwyczajne życie jest jedynym życiem. Ubóstwienie niezwykłości jest śmiertelną groźbą. Ubóstwienie to może wynikać jedynie ze ślepoty na bogactwo fauny i flory jaka rozwija się obficie w średnich temperaturach. Pochwała idealistów i ekstatyków okazuje się przy bliższym przyjrzeniu nader podejrzana. Idealizm, jak to wciąż na nowo wykazują zbrodnie polityczne, stanowi źródło przestępczości, którego nie powinno się nie doceniać. Więcej morderstw dokonano z idealizmu niż z chciwości czy też innego niskiego i letniego powodu. Ludzie letni żyją i pozwalają żyć.

[...] we wszystkich zasadniczych dysputach na temat demokracji zapomina się zazwyczaj, że jest ona nie do pogodzenia z porywającymi przywódcami, ekstazą i innymi formami przegrzania. Demokracja to zinstytucjonalizowana letniość. Demokratycznie myślącym jest ten, kto opowiada się świadomie za wolnym tempem i letnim kompromisem zwykłego życia, za temperaturą w której maksymalna ilość kiełków uzyskuje maksymalne szanse rozwoju. Skrajna lewica i skrajna prawica stanowią przeciwne bieguny pod każdym względem z wyjątkiem jednego: że stanowią zagrożenie demokracji.

Podobne myśli notuje Verhoeven w szkicu poświęconym teodycei Lebniza („Najlepszy ze światów", w zbiorze *Znaczenie laika):*

Wszelka mistyka ostatecznego wypełnienia, wszelka konserwatywna odnowa i wszelki progresywny idealizm zdają się istnieć kosztem dziś, tutaj i mnie. Raj i utopia gdziekolwiek by się nie znajdowały znajdują się nie tutaj, kiedykolwiek miałyby istnieć, to nie teraz, dla kogokolwiek by nie były przeznaczone, to nie dla mnie. Są gdzie indziej, później i dla innych; zawdzięczają swe istnienie ofierze złożonej z tu, teraz i mnie. [...]

Zło nie jest więc już tylko negacją dobra, lecz jest nim po prostu wszystko co istnieje, a dobrem jest to co było lub będzie. [...] Wspólną cechą idealistów zapatrzonych w przyszłość i reakcjonistów fanatycznie zajętych przeszłością jest to, że słowo „istniejący" ma dla nich znaczenie pejoratywne. W porównaniu z mityczną przyszłością lub mityczną przeszłością to co istnieje jest zawsze ułomne. Istniejące robi wrażenie przeszkody dla możliwego. I jako przeszkoda pobudza do agresji. [...] To co chwiejne dostaje kopniaka, to co delikatne zostaje dobite, to co kalekie zostaje zlikwidowane. Gdy zaczyna się poświęcanie, na miejsce cierpliwego znoszenia wkracza działalność destrukcyjna. [...] Ludzie wolą czynnie i z własnej inicjatywy niszczyć, niż pozostawać biernymi świadkami. Złym jest to, co można zniszczyć. Dobre jest to, czego nie można zniszczyć, ponieważ nie

4. *De resten van het vaderschap*, 1975.



istnieje. [...] Mit lepszego świata wymaga przyjęcia, że istniejący świat jest zły i należy go unicestwić. I proces ten nie skończy się, dopóki cały świat nie zostanie poświęcony, zanegowany, zniszczony i zastąpiony eschatologiczną mgłą.

Za jedyne zabezpieczenie przeciwko zwyrodnieniom eschatologicznych utopii uważa Verhoeven demokrację, w której sama wielość i różnorodność współwystępujących poglądów i inicjatyw jest czynnikiem hamującym i zapewniającym pożądany umiarkowany klimat. Sam autor jest typowym — w pozytywnym sensie — produktem demokracji: mimo iż, podobnie jak w swoim czasie Orwell, jest obywatelem jednego z najbardziej demokratycznych państw świata *(nota-bene* większość demokracji to k r ó l e s t w a !), nie stracił węchu na grożące temu ustrojowi niebezpieczeństwa. Pisarstwo Verhoevena kontynuuje w pewnym stopniu badania Orwella nad związkami między umysłowością totalitarną, a wypaczeniami stylu. Przytoczę fragment jego wypowiedzi na ten temat, będący dobrym przykładem jego metody, a także trafną diagnozą w sensie merytorycznym. W ostatniej części zbiorku „Tortury w najlepszych intencjach", zatytułowanej „Mistrzowie i uczniowie" Verhoeven omawia twórczość kilku pisarzy kwalifikujących się do tego działu i poświęca parę stron książce marksizującego strukturalisty R. Barthes'a. Oto początek szkicu:

Chociaż czytałem tylko jedną książkę Rolanda Barthes'a i to w tłumaczeniu *(Mitologie)*, zaliczam go już do autorów, wobec których nie potrafię zachować mej samodzielności jako czytelnik. Jego wyższość jest tak wyraźnie obecna na każdej stronicy i z tak subtelnym naciskiem zaznaczona w całej książce, że wszelka reakcja krytyczna zamiera mi na wargach i odżywa dopiero wówczas, gdy nie czuję już na sobie surowego wzroku mistrza. Ilość autorów którzy potrafią mnie w ten sposób ujarzmić, mógłbym policzyć nieomal na palcach jednej ręki; prawie wszyscy z nich to francuscy filozofowie obecnego stulecia: Lévi-Strauss, Levinas (dawniej), Sartre (niekiedy), Foucault, i teraz Barthes. Jeszcze tylko paru Niemców jak Bloch czy Adorno budzi podobną reakcję. Klasyczni autorzy nigdy nie wywierają tego wrażenia: nie stoją jako mistrzowie między tematem a czytelnikiem.

Sądzę, że tym co mnie tak obezwładnia jest surowy styl, pewne siebie zwierciadło dobrego wykształcenia i dużej erudycji. W stylu Barthes'a galijska wyniosłość i ciętość krytyczna są w stanie bronić wątpliwych nawet stwierdzeń tak skutecznie, że przynajmniej niżej podpisany czytelnik czuje się prowincjuszem o złym smaku natychmiast gdy tylko straci skłonność do potakiwania i pełnej akceptacji. Imperializm estetyczny, by nie rzec terrorystyczny efekt tego stylu pogłębia dodatkowo erudycja, która nie stanowi tu osobnego dodatku ani nie pokrywa jak przezroczysta galareta nagiego korpusu zbyt mało efektownych stwierdzeń, lecz która sama jako taka przeradza się w pełną wyższości retorykę, w pogróżkę w formie figury stylistycznej. Co to dokładnie oznacza nie wiem, gdyż stwierdzam, iż nie tylko jako czytelnik ale i jako pisarz zagrożony jestem utratą samodzielności. Galijska retoryka potrafi wywołać sugestie, że myśleć i pisać należy tylko tak, a nie inaczej; jest to styl dla wtajemniczonych i naśladowców. Wszystko inne zostaje wyegzorcyzmowane straszliwym słowem „drobnomieszczańskie".

Choćby z przytoczonych wyjątków widać już, że styl Verhoevena jest odmienny. Robi wrażenie cichego, spokojnego głosu, który nie pragnie nikogo przekrzyczeć ani nawet przekonać, co najwyżej skłonić tylko do samodzielnej refleksji. Za jedyne zadanie filozofii uważa Verhoeven rozwiewanie złudzenia o „prostocie" problemów życiowych, choć i to stwierdzenie nie jest ścisłe; w: antyesencjonalistycznym światopoglądzie Verhoevena nie *Parafilozofowie. Filozofia poza obrębem szkoły*[5] mówi on w pewnym miejscu o błędzie, który *„polega na mniemaniu, jakoby o filozofii mówić można było inaczej niż filozoficznie, w filozoficznym stylu i formie, jakoby można to było czynić opisowo lub dziennikarsko, tak jakby filozofia była czymś co istnieje poza swą własną formą i, odłączona od niej, mogła stanowić samodzielną siłę, bóstwo czy choćby tylko zjawisko, z którego można zdać sprawę".*

Jeśli zgodzić się z tą opinią — a wiele za nią przemawia — to stwierdzić trzeba, że niniejsze notatki nie są w stanie przekazać wiele więcej o filozofii Verhoevena poza informacją o fakcie jej istnienia. Szkoda, że książki jego nie są dotychczas tłumaczone i szkoda też może, że stosunkowo niewielu czytelników *Kultury* zna język holenderski.

*M. BROŃSKI*

5. *Parafilosofen, Wijsbegeerte buiten de school*, 1973.

# Od Popiela do Piłsudskiego

Praca Wołoszynowskiego* to wznowienie wydanej w kraju w 1935 roku literackiej historii Polski, która daje nam krótki zarys naszych dziejów od ich zarania do śmierci Piłsudskiego, podany w jakby baśniowym ujęciu, na tle najważniejszych wydarzeń światowych.

Autor z dużą swadą w barwnych i wyrazistych kolorach maluje nam w swej zwartej i krótkiej pracy jego wizję naszej przeszłości, i zapoznaje nas z jej zasadniczymi problemami. Pokazuje nam które wątki w naszej historii są ciągłe i trwałe, a które należą już do nieodwracalnej przeszłości. Oczywiście wizja Wołoszynowskiego jest niezmiernie uproszczona, pozbawiona wielu scen, elementów i detali. Niemniej stanowi doskonałe wprowadzenie do bardziej szczegółowych studiów nad naszą historią.

* *Było tak*, Instytut Literacki „Biblioteka *Kultury*", Paryż, 1978, str. 200, cena F. 45.



Jej lektura nasuwa całą masę skojarzeń i refleksji. Wprowadza nas w zadumę nad naszymi skomplikowanymi i pogmatwanymi losami i zachęca do ich lepszego poznania.

Ponadto książka ta pokazuje nam jak podchodziła do naszej historii inteligencja związana z obozem Marszałka Piłsudskiego, która w latach 1914-21 z bronią w ręku walczyła o niepodległość i granice Drugiej Rzeczypospolitej, a następnie budowała i nią rządziła. Dzisiaj to też już historia, szczególnie dla ludzi urodzonych po 1945 roku, a więc dla większości żyjących Polaków.

Wołoszynowski (1897-1975) pochodził z głębokich południowych kresów dawnej Rzeczypospolitej, brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej, a w okresie międzywojennym był stałym współpracownikiem *Polski Zbrojnej* — oficjalnego organu przed wrześniowego wojska. Był on zagorzałym Piłsudczykiem, rozkochanym w legendzie swego wodza i gorącym zwolennikiem jego polityki. Wywarło to głęboki wpływ na jego podejście historii, szczególnie nowożytnej i współczesnej oraz ocenę ludzi, sił i grup które ją tworzyły.

Jak wiemy każde pokolenie na „nowo" odczytuje dzieje swego narodu. Pokolenie Wołoszynowskiego patrzyło na naszą historię jak na długą drogę prowadzącą do odzyskania niepodległości, odbudowy państwa i do wszystkiego podchodziło poprzez pryzmat tych dwóch zasadniczych zagadnień.

Z pracy Wołoszynowskiego wyłania się obraz Polski stale walczącej, ze zmiennym szczęściem i powodzeniem, o suwerenność, o granice, o prymat we Wschodniej Europie, o narodowy byt zagrożony w czasie rozbiorów, i odbudowę niepodległego Państwa. *Było tak* — to zarys tych walk i wysiłków ukoronowanych powstaniem Drugiej Rzeczypospoltej.

Autor wprawną i śmiałą ręką prowadzi nas poprzez Polskę Piastów, Jagiellonów, Rzeczypospolitą szlachecką i Polskę Piłsudskiego i daje nam ich krótką ocenę i charakterystykę.

Wołoszynowski przypomina nam, że epoka piastowska to w istocie czasy walk z niemieckim zalewem, zmagań o uzyskanie i utrwalenie suwerenności państwowej i utrzymanie się na naszym prastarym obszarze etnograficznym, pomiędzy Odrą i Bugiem. To dzieje naszego chrztu, związku z Rzymem i katolicyzmem, który przetrwał do chwili obecnej i został ostatnio wzmocniony wyborem polskiego papieża. Dzisiaj przedostatni arcybiskup Krakowski zasiada na Piotrowym tronie. Fakt ten najlepiej świadczy o żywotności polskiego katolicyzmu, który od 966 roku trwa na naszych ziemiach. Polak-katolik to wzór stary i dobrze nam znany. Warto też przypomnieć, że biorąc chrześcijaństwo z Czech, broniliśmy się przed wzrostem wpływów niemieckich w Polsce.

Autor podkreśla, że okres piastowski to epoka rządów rodzimej dynastii, która traktowała Polskę jako swoje dziedzictwo i była powszechnie uważana za jej przyrodzonych władców, którzy przekonali niemieckich cesarzy, że król polski uznaje nad

sobą jedynie zwierzchność Boga, a poza tym nikogo na świecie. To okres pokojowego napływu Niemców do Polski, którzy się szybko polonizowali i sporo przyczynili się do naszego rozwoju gospodarczego. To czasy osiedlenia się w Polsce, prześladowanych na zachodzie Żydów i początek długiego polsko-żydowskiego współżycia, któremu kres położył Hitler w czasie ostatniej wojny. W kwietniu 1943 roku nad ginącym gettem powiewały biało-czerwone sztandary.

To okres odepchnięcia nas od Odry, utrata Śląska i Pomorza. To czasy wcielenia do Polski Rusi Czerwonej i początek formowania się wielonarodowej i wielowyznaniowej Rzeczypospolitej, która ukształtowała się za Jagiellonów i przetrwała aż do 1795 roku. A nawet w pewnej mierze odrodziła się w swej szczątkowej i przejściowej formie w latach 1918-21, aby wreszcie ulec całkowitej likwidacji podczas drugiej wojny światowej, podczas której, wielka Trójka przeniosła nas o kilkaset kilometrów na zachód, po okrojeniu nas do Bugu i Narwi na wschodzie. W 1945 roku wracaliśmy zatem na stare ziemie piastowskie, z których przez wieki spychani przez Niemców odchodziliśmy na wschód i południe, co uwikłało nas w przewlekłe i wyniszczające wojny z Moskwą i Turcją, które zaczęły napływać do naszej części Europy. W 1945 roku zamknął się prawie 1000-letni okres niemiecko-polskich peregrynacji naszym powrotem nad Odrę i Nysę oraz wysiedleniem Niemców z Polski, za co zapłaciliśmy utratą Wilna i Lwowa. Dzisiejsze granice Polski są prawie identyczne z granicami Chrobrego z 1025 roku.

Objęcie rządów w Polsce przez Jagiellonów oraz zbliżenie i unia z Litwą wzmocniły nasze ciążenie i ekspansję na wschód i południe. Doprowadziło do naszej rywalizacji z Rosją o pierwszeństwo we Wschodniej Europie.

Polska Jagiellonów to Polska, Litwa i Ruś. To Polska mocarstwowa. To Polska od morza do morza. To *nihil novi*, na którym później obok zasady obieralności królów, oraz *liberum veto* opierała się Konstytucja Rzeczypospolitej szlacheckiej, w której wolność panowała złota — „rozkoszna dla wolnych, przeklęta dla tych co byli za nią".

*Nihil novi* było wstępną przygrywką do „szlacheckiej demokracji" oraz szybkiego rozwoju naszego rodzimego parlamentaryzmu, który wypaczył stosunek pomiędzy władzą wykonawczą i ustawodawczą ostatecznie pogrążył nas w stanie permanentnej niemocy i letargu, z którego wyrwał nas dopiero pierwszy rozbiór Polski. To Rej i Kochanowski, to złoty wiek Zygmuntów.

Szkoda tylko wielka, że autor tak niewiele pisze o reformacji i kontr-reformacji i ich wpływie na późniejsze losy Polski, jedynego chyba kraju w Europie, gdzie nie było stosów, wojen religijnych i gdzie starano się rozdzielić politykę od religii.

Nic nam też prawie nie mówi o kwestiach gospodarczych. O ekonomicznych podstawach naszej świetności, o eksporcie i handlu zbożem, na którym opierał się szlachecki dobrobyt. Nie



wspomina, że w XVI-tym i na początku XVII-go wieku byliśmy „śpichlerzem Europy", pierwszym w niej eksporterem zboża, bez którego nie mógł żyć Zachód i Skandynawia. Wzrastający dobrobyt szlachty zachęcał ją do walki o władzę i ograniczenie praw innych stanów: włościan i mieszczaństwa. Potęgował dążenie do wytworzenia w Polsce gospodarki folwarczno-pańszczyźnianej, oraz prymatu szlachty i magnaterii we wszystkich dziedzinach narodowego życia. Doprowadził do wytworzenia się szlacheckiej kultury i sposobu życia, który w pewnej mierze — jeszcze do wybuchu ostatniej wojny — obowiązywał każdego prawie szanującego się inteligenta polskiego, bez względu na jego pochodzenie społeczne. Przez wieki nasza kultura była kulturą szlachecką, a największym ideałem i wzorem do naśladowania był sielsko-anielski żywot „szlachcica ziemianina", który nie uznawał nad sobą żadnego zwierzchnika, pracował wtedy kiedy chciał, wojewodom i magnatom był równy, a króla uważał po prostu za pierwszego szlachcica. Polski szlachcic kochał wieś, brzydził się miastem i karierowiczami i według legendy zawsze był gotów bronić Ojczyzny.

Wołoszynowski koncentruje się jednak na polityce zagranicznej. Jak wielu współczesnych Polaków hołduje prymatowi polityki zagranicznej nad wewnętrzną, a nad kwestiami społeczno-gospodarczymi po prostu przechodzi do porządku dziennego. Nie docenia przemożnego wpływu zagadnień gospodarczych na polityczne życie Polski.

Po Jagiellonach przychodzi długi okres królów „obieralnych", którzy w większości wyzyskiwali władzę w Polsce do realizowania własnych celów i interesów nie zawsze pokrywających się z interesami kraju. Tak było za Wazów i Sasów. Jedynie Sobieski i Stanisław August myśleli przede wszystkim o dobrobycie kraju. Nawet ulubiony przez Wołoszynowskiego — lecz nie popularny wśród szlachty — Batory dążył nie tylko do rozprawy z buntującym się Gdańskiem i porastającą w siły Moskwę, lecz do uwolnienia Węgier, czy nawet całych Bałkanów, od Turków, co zaostrzyło ich stosunek do Polski i zachęciło do wojen z nami.

Panowanie Wazów przynosi nam okres przewlekłych, wyniszczających wojen ze Szwedami, Moskalami, Turkami i Kozakami, po których zaczyna się schyłkowy okres rzeczypospolitej szlacheckiej. Z „potopu" wychodzimy jeszcze stale niepodlegli, ale już poważnie okaleczeni, osłabieni i zrujnowani. Zaczyna nas nawiedzać widmo rozbiorów. Zwycięstwo Sobieskiego pod Wiedniem nie powstrzymuje nadchodzącego upadku Polski. Lata naszego upadku to lata wzrostu i rozwoju Prus i Rosji, które w końcu nas zniszczyły przy współudziale uratowanej przez nas od tureckiego zalewu Austrii.

Już w tym okresie przegrywamy nasz pojedynek z Rosją o panowanie nad Wschodnią Europą. Od początku XVII-go wieku Polska znajduje się pod protektoratem Rosji, która staje się gwarantką jej ustroju oraz „złotej wolności" szlachty. Stajemy

się państwem o ograniczonej suwerenności, bez silnej władzy wykonawczej, bez dużej armii i zasobnego skarbu.

Podczas „saskich ostatków" stajemy się po prostu łakomym kąskiem dla naszych zachłannych i dynamicznych sąsiadów. Nasz byt państwowy uzależniony zostaje od stosunków panujących pomiędzy nimi. Od tego czy wspólnie wystąpią z roszczeniami terytorialnymi wobec nas, czy też nie.

My sami zaś staczaliśmy się na dno moralnego i politycznego upadku. Ratunku dla państwa szukaliśmy w pacyfizmie, neutralności i słabości, a zapomnienia w alkoholowej narkozie i rozpasaniu. Jak to świetnie ujmuje Wołoszynowski: Polska stawała się hucznym, roztańczonym i pijanym zaściankiem „Polska nierządem stoi" — pocieszała się większość rozwydrzonej szlachty.

Zwolna, jednak w „podziemiach polskiej ziemi — zaczynały się już odrodzeńcze kiełkowania". Zaczynał się okres walki o reformy i niepodległość, który miał trwać do 1918 roku.

Niestety, ani konstytucja 3 maja, ani wojna z Rosją, ani nasze wielkie narodowe powstania nie potrafiły zapobiec upadkowi Polski i przywrócić nam niepodległości.

Polska porozbiorowa to konspiracje, spiski, zsyłka i emigracja. To nasza wielka poezja romantyczna, to nasz rodzimy mesjanizm. To legiony Dąbrowskiego, to rok 1812, 1830, 1863 i 1905. To praca organiczna, powstanie nowoczesnego narodu polskiego i naszych głównych — dzisiaj już historycznych — stronnictw politycznych. To Piłsudski i Dmowski, o którym autor nie wspomina ani słowem.

Dopiero pierwsza wojna światowa, o którą modliły się rzesze Polaków i upadek trzech państw rozbiorczych stworzyły na ziemiach polskich polityczną próżnię, co pozwoliło nam na stworzenie odrodzonego państwa. Z wojny i rosyjskich przemian rewolucyjnych rodziła się niepodległość Polski.

Po 123 latach niewoli, wykorzystując wspaniałą ku temu koniunkturę — upadek trzech mocarstw rozbiorczych — znowu wybiliśmy się na niepodległość. W 1918 roku zarówno powstania zbrojne jak i praca organiczna przyniosły nam dywidendy. Zaczynał się proces tworzenia własnego państwa, walka o jego charakter i granice i nowy akt polsko-rosyjskiego pojedynku o wpływy we Wschodniej Europie.

Piłsudski uważał, że wszystko co Polska otrzyma na zachodzie będzie podarkiem koalicji, natomiast zdobycze na wschodzie będziemy zawdzięczali własnym siłom. Wśród Piłsudczyków królowała koncepcja stworzenia narodowych państw — ukraińskiego, białoruskiego i litewskiego — połączonych z Polską w ramach systemu federacyjnego. Miała to być „Wielka Polska" Piłsudskiego, której stworzenie miało nam zapewnić niepodległość i uczynić mocarstwem.

Dmowski i endecy domagali się stworzenia „Polski Narodowej" — „jednolitego" państwa obejmującego głównie tylko takie obszary w których Polacy mieliby bezwzględną przewagę narodową. Nie mniej, narodowcy uważali, że Polska musi sięgnąć poza nasze etnograficzne granice na te obszary na których Polacy byli elementem dominującym kulturalnie i gospodarczo, oraz na te, które niezbędne były dla jej rozwoju i bezpieczeństwa. Na dłuższą metę żyjące w Polsce mniejszości narodowe miały zostać spolonizowane.



Koncepcje Piłsudskiego i Dmowskiego były przeciwstawne i nie do pogodzenia. Obie, też były koncepcjami „na wyrost". Dmowski na konferencji pokojowej domagał się przyznania Polsce zachodnich powiatów Wołynia i Podola, oraz obszarów po Smoleńsk, przyłączenia do niej Litwy Kowieńskiej, dla bezpieczeństwa Prus Wschodnich, a na zasadzie etnograficznej włączenia Prus Zachodnich i Górnego Śląska. Dmowski dążył do zlikwidowania zgubnej dla nas osi Berlin-Królewiec. Wołoszynowski o tym jednak nie wspomina. Co czyni jego pracę bardzo jednostronną.

Koncentruje się na Piłsudskim, który marzył o wskrzeszeniu Polski Jagiellonów i w latach 1919-1920 z „rewolwerem w ręku" usiłował bezskutecznie plany swoje zrealizować. Pod wodzą Piłsudskiego walczyliśmy o Lwów, Wilno, Dynaburg, Białoruś i Kijów, broniliśmy Warszawy w czasie pochodu Tuchaczewskiego za Wisłę i wspieraliśmy powstańców śląskich i wielkopolskich.

Wojna polsko-bolszewicka zakończyła się dla nas zwycięsko, ale pokój ryski był bardziej rozejmem niż pokojem. Przetrwał zaledwie do 17 września 1939 roku.

Granice ryskie były bardziej podobne do tych, które proponował Dmowski, niż do tych o których śnił Piłsudski, który uważał iż Polska skazana była na wielkość. Piłsudski rozumiał, że ryskie rozwiązanie nie rozstrzygało ostatecznie naszego dziejowego rozrachunku z Rosją. Pokój ryski, pozostawiający duży Piemont ukraiński w naszych granicach, na dłuższą metę był nie do utrzymania, gdyż musiał prowadzić do zatargów zarówno z Ukraińcami jak i z Moskwą. Do rozstrzygnięcia naszego sporu z Rosją o wschodnie kresy doszło dopiero pod koniec ostatniej wojny.

Nasze granice na zachodzie też pozostawiały wiele do życzenia. Dmowskiemu nie udało się złamać osi Berlin-Królewiec, a co za tym idzie zażegnać zarzewia nowego polsko-niemieckiego konfliktu. Kompromis gdański oraz tzw. „Polski korytarz" były kością w gardle prawie każdego Niemca.

Zarówno Wersal jak Ryga przynosiły nam, niestety, prowizoryczne rozwiązania polskich spraw. Druga Rzeczypospolita była w istocie tworem słabym a jej „mocarstwowość" ułudą, która prysła w sześć lat po dojściu Hitlera do władzy.

Niestety niewielu Polaków zdawało sobie z tego sprawę w przedwojennym okresie. Wołoszynowskiemu w 1935 roku wydawało się, że z każdym rokiem stawaliśmy się coraz mocniejsi, że nasza armia, była jedną z najlepszych na świecie. W istocie było odwrotnie: co roku stawaliśmy się coraz słabsi w stosunku do

naszych potężnych sąsiadów — Niemiec i Rosji — a nasza armia coraz bardziej przestarzała.

Autor w zbyt różowych kolorach przedstawia także przewrót majowy, który spolaryzował społeczeństwo, ale go nie uzdrowił od starych nawyków i stygmatów niewoli.

Nie ulega kwestii, że wprowadzona w marcu 1921 roku ultrademokratyczna konstytucja nie mogła nam, wobec politycznego rozbicia społeczeństwa, zapewnić stałego i silnego rządu, który stworzyłby warunki konieczne do dalszego rozwoju państwa. Niemniej, w maju 1926 roku została nagle przerwana ewolucyjna linia rozwoju polskiej demokracji parlamentarnej i zaczęły się rządy Piłsudskiego, który coraz bardziej stawał się zgorzkniałym i schorowanym człowiekiem, kochającym Polskę ale pogardzającym Polakami. W Polsce powstał nowy ustrój polityczny rządów tzw. „silnej ręki" i „demokracji kierowanej", która miała ją ponoć uwolnić i uzdrowić od plagi „rozwydrzonego" partyjnictwa, prywaty i korupcji.

Sanacja nie potrafiła, jednak ani moralnie uzdrowić narodu, ani rozwiązać naszych zasadniczych politycznych i społecznych problemów. Jej rządy zakończyły się jedną z największych klęsk w naszej burzliwej i trudnej historii.

Oczywiście Wołoszynowski pisząc swoją fascynującą pracę, w 1935 roku, o tym wszystkim nie mógł jeszcze wiedzieć, ale mógł już widzieć — i z pewnością widział — że znowu szły ciężkie dla nas chwile. Czasy wielkiej próby i walki.

Wtłoczeni pomiędzy dwie potęgi, jesteśmy skazani na żywot niebezpieczny i trudny. Z opresji ratuje nas jednak nasza wielka żywotność, prężność i przywiązanie do Polski i polskości, która kształtowała się od czasów legendarnego Popiela, o czym Wołoszynowski tak żywo nam przypomina.

Pracę Wołoszynowskiego powinien przeczytać i przemyśleć każdy Polak, który interesuje się dziejami swego narodu, i traktować ją jako wspaniałą odskocznię do dalszych historycznych dociekań.

*Jan CIECHANOWSKI*

# Nadesłane nowości wydawnicze

WOJTYŁA (Karol). *Easter Vigil and other poems.* Poezje Jana Pawła II przełożył z polskiego na angielski Jerzy Peterkiewicz. Str. 64. (Wyd. Hutchinson of London, 1979; cena £ 2.95).

ROSSE (Martin). *The Warning or The Ambassador's Dream.* A Political Tale of Our Times. Str. 69 i 1 nlb. (Wyd. Vantage Press, New York - Washington - Atlanta - Hollywood, 1979; cena $ 5,95).



PINKUS (Oskar). *The House of Ashes.* Str. 243. (Wyd. The World Publishing Company, Cleveland and New York, 1964).

*Phenomenology Information Bulletin.* Volume 2, October, 1978. Str. 89 i 3 nlb. (Wyd. The World Institute for Advanced Phenomenological Research and Learning, Belmont, Mass.).

*Guide to the Dag Hammarskjöld Collection on Developing Nations.* A selected bibliography. Opracowali Ihor Kamenetsky i Delbert Ringguits. Supplement number 2. Str. 209 i 3 nlb. (Wyd. Central Michigan University Press, Mount Pleasant, Mich., 1977).

GRABOWSKI (Yvonne). *Some Recent Changes in Canadian Polish.* (Nadbitka z *Canadian Contributions*, str. 71-87).

KURCZABA (Alex). *The Impact of Latin-American Exile on Polish and German Literature: The case of Witold Gombrowicz and Anna Seghers.* (Nadbitka z *The Polish Review*, Vol. XXIII, No 4, 1978, str. 58-65).

JASICZEK (Henryk). *Two Poems.* Tłumaczył z polskiego na angielski Magnus J. Kryński. (Nadbitka z *The Polish Review*, Vol. XXIII, No 4, 1978, str. 47-49).

*The Alfred Jurzykowski Foundation Awards.* Str. 19 i 1 nlb. (Wyd. Alfred Jurzykowski Foundation, New York, 1978).

KAMENETSKY (Ihor). *Hrushevskyi and the Central Rada: Internal Politics and Foreign Interventions.* (Nadbitka z *The Ukraine, 1917-1921: A Study in Revolution*, Taras Hunczak, editor; chap. two, str. 33-60; wyd. Harvard Ukrainian Research Institute — Harvard University Press, 1977).

ROZENBAUM (Włodzimierz). *The Anti-Zionist Campaign in Poland June-December 1967.* (Nadbitka z *Canadian Slavonic Papers*, Vol. XX, No 2, str. 219-236; June 1978).

ZAWODNY (J. K.). *Internal Organizational Problems and the Sources of Tensions of Terrorist Movements as Catalysts of Violence.* (Nadbitka z *Terrorism* an international journal, volume I, No 3-4, str. 277-285, 1978).

DE ROECK (Jef). *Der Mann aus Polen. Papst Johannes Paul II.* Str. 125 i 3 nlb. (Patmos Verlag, Düsseldorf, 1978).

*Ostdeutsche Gedenktage 1979.* Str. 119 i 1 nlb. (Wyd. Bund der Vertriebenen, Bonn, 1979).

LAEUEN (Harald). *Unruhe unter Polens Bauern.* (Nadbitka z *Osteurope* — Zeitschrift für Gegenwartsfragen des Ostens, wyd. Deutschen Gesellschaft für Europakunde (Stuttgart).

LEWYTZKYJ (Borys). *Der Lenkungsmechanismus des sowjetischen bürokratischen Herrschaftssystems.* (Nadbitka z *Einparteisystem und bürokratische Herrschaft in der Sowjetunion*, str. 155-170, Markus-Verlagsgesellschaft, Köln, 1978).

SCHULTZ (Bruno). *Sanatorium under the Sign of the Hourglass.* Tłumaczyła z polskiego Celina Wieniewska. Str. 178 i 4 nlb. (Wyd. Hamish Hamilton, London, 1979; cena £ 5.95).

KOZLOWSKI (Nina). *Die politischen Gruppierungen innerhalb des Piłsudski-Lagers 1926-1939.* Str. 153 (powielacz). (Wyd. Osteuropa-Institut München, Deking Papers nr 52, München, Dezember 1978).

SÈGUENNY (André). *Spiritualistische Philosophie als Antwort auf die religiöse Frage des XVI. Jahrhunderts.* Str. 36 i 2 nlb. (Wyd. Franz Steiner Verlag, GmbH, Wiesbaden, 1978).

BUDKA (Jurij A.). *Moskovszczyna.* (Memuarnyj esej). Tłumaczenie na ukraiński Wiaczesław Davydenko. Okładka — Rostysław Hłuwko. Str. 298 i 2 nlb. (Wyd. Ukrainian Publishers Ltd., Londyn, 1978).

## KRAJ — BLOK WSCHODNI

**3-2-79**
W Warszawie zmarł, w wieku 79 lat, Jakub Teodor Sawicki, emerytowany profesor zwyczajny Uniwersytetu Warszawskiego, wybitny kanonista, historyk Kościoła w Polsce i historyk dawnego prawa polskiego, doktor *honoris causa* uniwersytetu w Bonn. ■ Andrzej Mandalian, poeta i tłumacz, wystąpił z PZPR w końcu ub. roku. W tym samym czasie wystąpił również z partii Stanisław Załuski, pisarz z Wybrzeża.

**1-3-79**
Ujawniono obecnie, że 25 stycznia przeprowadzona została rewizja w mieszkaniu moskiewskim Raissy Lert, 73-letniej dziennikarki komunistycznej, niegdyś redaktorki *Moskowskoj Prawdy*. Raissa Lert założyła wraz z filozofem Piotrem Jegidesem samizdatowe pismo *Poiski* o orientacji „eurokomunistycznej". Wyszło pięć numerów pisma, wydrukowano w nim m.in. fragmenty książki Carrillo *Eurokomunizm i państwo*, dopuszczając równocześnie do głosu ludzi innych przekonań, np. wierzących prawosławnych. Raissa Lert jest także współpracowniczką pisma Roya Miedwiediewa *Dwudziesty Wiek*. ■ *Robotnik*, niezależne pismo ukazujące się poza zasięgiem cenzury PRL, podaje w nr. 27-mym wiadomość, że w Aninie wybudowano lecznicę rządową na 110 łóżek kosztem 900 milionów złotych. Łóżko w szpitalu rządowym jest dziesięciokrotnie droższe niż w szpitalu normalnym, gdzie przeciętny koszt wynosi 800-900 tys. złotych. *Robotnik* podaje również informację, że rządowa klinika przejęła niektóre dary przekazane dla Centrum Zdrowia Dziecka.

**10-3-79**
Tygodnik *Polityka* donosi, że warszawscy handlowcy przebadali w ub. roku jakość towarów wartości 6,5 mld. zł. Nadal buty i meble zajmują najwyższe lokaty na listach marnotrawionych materiałów i pracy. Warszawska „Syrena", w założeniu producent butów trwałych, eleganckich i modnych, dostarczyła 24 tys. par butów z wadami. Nie odnoszą jak dotychczas skutków starania o podniesienie jakości pończoch, odbiorników radiowych i telewizyjnych.

**17-3-79**
*Polityka* podaje, że w ub. roku Polska importowała 9 mln. ton zbóż i pasz treściwych, co odpowiada połowie produkowanego w Polsce zboża. Dostawy pasz przemysłowych dla rolnictwa przewyższają cały skup zboża. Koszt tego wynosi przeszło miliard dolarów rocznie.

**29-3-79**
Kardynał Stefan Wyszyński przyjął na audiencji p. Ryszarda Reiffa, przewodniczącego Stowarzyszenia PAX.

**30-3-79**
W 1977 roku — jak podaje GUS — ilość ścieków komunalnych i przemysłowych wynosiła w Polsce 11,7 miliarda metrów$^3$. Z tej ilości tylko 59 % ścieków oczyszczono. Reszta została odprowadzona bez oczyszczenia. W porównaniu z rokiem 1976 ilość ścieków nieoczyszczonych wzrosła o 100 milionów m$^3$. 60 % zakładów w Polsce nie posiada oczyszczalni. 200 zakładów odprowadza ścieki wprost do ziemi. Na 803 miasta tylko 336 posiada



oczyszczalnie ścieków. Aż 156 z nich może zredukować zanieczyszczenie ścieków zaledwie w granicach 30-40 %. 10 miast liczących 50-100 tys. mieszkańców i 7 miast powyżej 100 tys. mieszkańców — w tym Warszawa i Łódź nie mają oczyszczalni. Są województwa, w których ani jedno miasto nie posiada oczyszczalni ścieków: Białopodlaskie, Łódzkie i Włocławskie. Z 1.600 zakładów decydujących o gospodarce wodno-ściekowej przemysłu 70 % nie posiada ani jednego pracownika z wykształceniem inżynieryjnym do spraw nadzoru. ■ *Trybuna Ludu* podaje, że zaopatrzenie rynku w lekarstwa jest niezadowalające. Niedobór leków obejmuje około 500 pozycji. Dotyczy to nie tylko takich środków jak antybiotyki, środki hormonalne, przeciwbólowe, ale także podstawowych asortymentów jak opatrunki czy wata. Szczególnie trudna jest sytuacja w aptekach i punktach aptecznych w małych ośrodkach i na wsi. Może zbyt pochopnie KSS „KOR" uwierzył obietnicom władz i zrezygnował z apelu o przesyłanie niezbędnych lekarstw z Zachodu. ■ W Warszawie zmarł, w wieku 78 lat, znany pisarz Tadeusz Łopalewski. Jego zainteresowania szły głównie w kierunku powieści historycznych. ■ Budowa domku jednorodzinnego, która miała być najszybszą możliwością uzyskania mieszkania, trwa przeciętnie 6 lat.

**5-4-79**
Ponad 40 % ludności zawodowo czynnej w rolnictwie PRL nie ma wykształcenia podstawowego. ■ W ZSSR trwają dni „Kultury polskiej" zorganizowane w tym roku na wielką skalę: w 80-ciu miastach będą polskie koncerty, wystawy, występy teatrów. Imprezę rozpoczęto „Kantatą polską", wystąpiło około 700 artystów. ■ Ciekawe przeoczenie: w poprzednich „Wydarzeniach miesiąca" podaliśmy o odkryciu przez prof. Tomaszewskiego w Berlinie niezwykle cennych rękopisów. Jak wynika z wyjaśnienia *Życia Warszawy* wszelkie dane o rękopisach prof. Tomaszewski posiadał od badających sprawę od dawna Benedyktynów z Lubina k/Kościana. W licznych wywiadach prof. Tomaszewski nie wspomniał o tym ani słowa.

**10-4-79**
Gierkowskie Świętopietrze: w związku z wizytą Papieża w Polsce władze PRL domagają się 350 dolarów tytułem „kosztów akredytacji" od przeszło 3tys. dziennikarzy, radiotów, współpracowników telewizji zachodnich etc., którzy przyjadą do Polski między 2 a 10 czerwca. Ta taksa ma zapewnić korespondentom możność dotarcia „do miejsc gdzie Papież zabierze głos" a więc chyba przede wszystkim w kościołach. Pytanie czy te pieniądze otrzyma Kościół czy pójdą na spłatę zadłużenia PRL, które wynosi ok. 12 miliardów.

**18-4-79**
W Nowej Hucie podłożono bombę pod pomnik Lenina. Pomnik został uszkodzony, a 5 osób rannych. Milicja i UB z miejsca zatrzymały i przesłuchiwały ponad 50 osób, związanych z KSS „KOR" i ROPCiO w Warszawie, Wrocławiu, Gdańsku, Poznaniu, Radomiu i Łodzi. Jest to nowa i nieudolna prowokacja UB. Charakterystyczne, że nastąpiła w Krakowie, gdzie miejscowe władze bezpieczeństwa i partyjne od dłuższego czasu próbują wprowadzić atmosferę terroru. Wystarczy przypomnieć zamordowanie Pyjasa. Ta prowokacja jest tym niebezpieczniejsza, że miała miejsce przed wizytą papieża. Świadczy o dwóch rzeczach: że Gierek stracił kontrolę nad aparatem bezpieczeństwa i że można się liczyć z podobnymi prowokacjami w czasie wizyty papieża w Polsce, co mogłoby grozić nieobliczalnymi konsekwencjami.

## ZACHÓD — EMIGRACJA

**30-12-78**
W Durbanie odbył się pierwszy zjazd młodzieży polonijnej, w którym wzięło udział 65 osób.

**15-3-79**
We Francji przeprowadzono niedawno sondaż opinii publicznej na temat „Kogo Francuzi uważają za najlepszych przyjaciół Francji". Wyliczano kraje w następującej kolejności: Niemcy Zachodnie, Stany Zjednoczone, Belgia, Wielka Brytania, Włochy, jeden z krajów afrykańskich, Hiszpania, Luksemburg, Holandia, Szwajcaria. Podano również Chiny (3 %) i ZSSR (2 %). Uderza, że żadna z ankietowych osób nie wymieniła Polski.

**22-3-79**
W Bibliotece Polskiej w Paryżu odbyło się walne zebranie Towarzystwa Historyczno-Literackiego, któremu, jak wiadomo, nadzór sądowy francuski oddał w dzierżawę na okres 18 lat gmach i zbiory Biblioteki. Wiceprezes ustępującej Rady, płk Marian Czarnecki, stwierdził w sprawozdaniu, że p. Barbara Johnson z USA zaprzestała udzielać pomocy pieniężnej Towarzystwu żądając połączenia Towarzystwa z utworzoną przez nią Fundacją w Ameryce. Członkowie Towarzystwa staliby się członkami honorowymi Fundacji, a więc bez prawa głosu, a majątek Towarzystwa przeszedłby na własność Fundacji. Zarząd tejże pozostawałby wyłącznie w ręku małżeństwa Johnsonów i ewentualnie mianowanych przez nich powierników. Na propozycję tę Rada odpowiedziała odmownie zarówno ze względów zasadniczych jak i prawnych. W tym stanie Rzeczy Towarzystwo znalazło się w bardzo trudnej sytuacji pieniężnej i głównym zadaniem przyszłej Rady jest wyjednanie pomocy z innych źródeł na co są widoki. Tymczasem doraźnej subwencji udzieliła już Fundacja Lanckorońskich wpłatą 50.000 fr. Powyższe sprawozdanie zostało przez licznie zebranych członków przyjęte do wiadomości. Składkę członkowską podniesiono do 200 fr. rocznie. Na zasadzie nowego statutu do Rady wybrano 13 osób z prawem kooptacji do łącznej liczby 16 osób. Radę tę stanowią: prezes — prof. Eugeniusz Zaleski, wiceprezes — płk Marian Czarnecki, sekretarz — prof. Jerzy Mond, zastępca sekretarza — Maciej Morawski, skarbnik — p. Anne-Marie Rozwadowska, dyrektor (pełniący tę funkcję honorowo) — inż. Józef Handelsman, członkowie: prof. Henryk Adamczewski, ks. prałat Zbigniew Bernacki, ambasador Jean Laloy, adw. Marc de Monfort, Hubert d'Ornano, red. Leszek Talko i p. Zofia Zdziechowska, która zrezygnowała z mandatu.

**23-3-79**
W RFN w Kassel odbył się drugi zjazd PPS w Niemczech. Komitet Główny PPS w Niemczech ukonstytuował się następująco: Tadeusz Podgórski — przewodniczący, Tadeusz Folek i Włodzimierz Sznarbachowski zastępcy przewodniczącego, Jacek Kowalski i Wiesław Wawrzyniak — sekretarze, Adam Rosenbusch — skarbnik. ■ POSK w Londynie od roku wydaje w języku angielskim informacje o polskich osiągnięciach kulturalnych pt. *Polish News Agency*. Obecnie nazwa ta została zmieniona na *Polish Information Agency*. Redaktorem PIA jest J. Garliński, zastępcą Anna Spławska, członkiem redakcji Jan Radomyski.



**24-3-79**
W Genewie zmarł znany działacz Polonii Amerykańskiej Florian Piskorski; przez 25 lat był on delegatem Rady Polonii Amerykańskiej na Europę. W czasie drugiej wojny światowej i po jej zakończeniu organizował pomoc dla Polaków, m.in. dla internowanej w Szwajcarii II-giej dywizji strzelców.

**30-3-79**
W Londynie zmarł, w wieku 75 lat, Zbigniew Stypułkowski, adwokat, polityk, poseł na Sejm RP. W czasie okupacji był czołowym działaczem w Narodowej Organizacji Wojskowej i w Narodowych Siłach Zbrojnych. Był skazany w znanym procesie 16-tu przywódców Polski Podziemnej w Moskwie.

**1-4-79**
*Echo z Afryki i innych kontynentów* podaje, że w 1978 roku na terenach misyjnych pracowało 1.007 polskich misjonarzy i misjonarek. Polscy misjonarze pracują w 60 krajach na wszystkich kontynentach. W Azji są to głównie Indonezja, Japonia i Indie; w Afryce — Zambia, Kamerun, Ghana, Tanzania, Burundi, Rwanda, Zaire, Republika Kongo-Brazzaville, Togo, Wybrzeże Kości Słoniowej, Górna Wolta; w Oceanii misjonarze pracują przede wszystkim w Australii i na Nowej Gwinei; w Ameryce Południowej — w Brazylii, Argentynie, Paragwaju, Peru, Venezueli i Ekwadorze. Najwięcej polskich misjonarzy, bo prawie połowa, pracuje w Ameryce Południowej. Na samą Brazylię przypada 266 misjonarzy. Nie jest pewne, czy można Brazylię i Argentynę zaliczać do krajów misyjnych. Kraje misyjne podlegają Kongregacji *De Propaganda Fide*, a Brazylia od wieków podlegała regularnej administracji kościelnej, jak inne kraje o większości katolickiej. Księża polscy w Brazylii są więc po prostu duszpasterzami. Większość polskich misjonarzy to zakonnicy z 27-miu zgromadzeń męskich i siostry zakonne z 24 zgromadzeń żeńskich, czynnych w Polsce. Stosunkowo mały jest udział polskich zakonnic w pracy misyjnej. Jakkolwiek ilość misjonarzy polskich szybko rośnie, to jednak ich liczba nie jest zbyt wysoka. Takie kraje jak Holandia, Belgia, Szwajcaria czy Austria, które co do ilości ludności wyznania katolickiej są mniejsze od Polski mają wciąż jeszcze po kilkanaście tysięcy misjonarzy. Należy mieć nadzieję, że na skutek przemian w Chinach otworzą się możliwości misyjne dla Polaków, które tak bardzo interesująco się rozwijały przed ostatnią wojną.

**2-4-79**
*Financial Times* drukuje na pierwszej stronie artykuł Johna Evansa o zadłużeniu Polski. Polska jest najbardziej zadłużonym krajem Wschodniej Europy, w tym roku same procenty do spłacenia pochłoną przeszło połowę dochodów dewizowych. Zadłużenie Polski wynosi 15 miliardów dolarów. Cyfry pochodzą z poufnej informacji Banku Handlowego w Warszawie, który musiał je ujawnić, wobec starań Polski o nową półmiliardową pożyczkę. Starania uwieńczyło powodzenie, cztery wielkie banki już zgłosiły 600 milionów dolarów. Evans pisze: „Cyfry dostarczone przez Bank Handlowy wskazują, że bez pomocy Komeconu lub ekstensywnego refinansowania długu Polska będzie miała ogromne trudności ze spłaceniem 4 miliardów długu, należnych w tym roku".

**5-4-79**
W Editions du Seuil w Paryżu ukazała się książka Adama Michnika „L'Eglise et la Gauche". Przekład Agnieszki Słonimskiej przy współpracy K. A. Jeleńskiego. ■ Zapowiadany od dawna „Dom Kultury" PRL w Pa-

ryżu ma być otwarty 22 lipca br. (optymiści mówią o 3 maja). Dom ten ma się mieścić w dawnym, jeszcze przedwojennym, gmachu Polskiego Konsulatu Generalnego na ul. Jean Goujon, koło place d'Alma, a więc w centrum eleganckiej dzielnicy Paryża. Ma być wyposażony w salę kinową, czytelnię, księgarnię, restaurację, dwie kawiarnie, lokale klubowe etc. Podobno tego rodzaju ośrodki klubowo-propagandowe mają powstać później w szeregu krajów zachodnich, a przede wszystkim w USA. W Warszawie toczy się zawzięta walka o stanowisko kierownika tej placówki, która będzie znakomitą synekurą.

**13-4-79**
W katedrze w Lozannie miało miejsce pierwsze wykonanie nowego utworu Konstantego Regameya pt. „Vision". Jest to kantata na baryton, chóry, orkiestrę i organy do tekstów z Ksiąg Daniela. Wykonała ją orkiestra z Lozanny przy udziale chórów radia Suisse Romande. Kościół był przepełniony a publiczność zgotowała kompozytorowi gorącą owację.

**21-4-79**
Koło S.P.K. w Paryżu zorganizowało odczyt dr. Wilhelma Jampela „Polityka gospodarcza PRL".

**3-5-79**
W Galerie Lambert w Paryżu została otwarta wystawa „20 lat Galerii Lambert — maj 1959 - maj 1979. W tym okresie w Galerii miały miejsce 172 wystawy indywidualne i 25 wystaw zbiorowych. Wystawiali artyści z 28 krajów w tym m.in.: 26 Francuzów, 47 Polaków, 58 Japończyków, 28 Czechów, 10 Węgrów, 9 Rumunów. Wystawa będzie trwała do 28 lipca bież. roku. ■ K.O.Wyd. „Veritas" w Londynie wydał książkę papieża Jana Pawła II pt. „Miłość i odpowiedzialność". Pierwsze wydanie tej książki ukazało się 13 lat temu. Jest to praca z dziedziny etyki, szczególnie etyki małżeńskiej. Jest ona specjalnie aktualna w związku ze zbliżającą się wizytą papieża w Polsce.

## KRONIKA AMERYKAŃSKA

W Chicago powstał nowy kwartalnik młodej emigracji politycznej pt. *Pomost*. Pismo pragnie stworzyć pomost między emigracją i ruchem oporu w Kraju. ■ 9. 11. 1978 r. w Waszyngtonie, w Międzynarodowym Ośrodku Studiów im. Wilson (Woodrow Wilson International Center for Scholars), odbyła się konferencja pt. „W. Wilson i odbudowanie niepodległej Polski: sześćdziesiąta rocznica". Konferencji tej, pierwszej chyba tego rodzaju, przewodniczyli: dyrektor Ośrodka prof. James H. Billington i b. ambasador USA w Warszawie, Richard Davies. Składała się ona z trzech referatów, które mają ukazać się drukiem w ciągu bież. roku w wydawnictwie *The Wilson Quarterly*. Jako pierwszy mówił prof. Piotr Wandycz z Yale University na temat „Polska idea narodowa w XIX wieku"; następnie młody uczony duński dr Kay Lundgren-Nielsen z Instytutu Historii uniwersytetu w Danii wygłosił referat pt. „Woodrow Wilson a odrodzenie Polski". (Dr Lundgren-Nielsen jest autorem dużej rozprawy o wielkich mocarstwach i sprawie polskiej na konferencji pokojowej w 1919 roku, która ukaże się w najbliższym czasie w języku angielskim); trzecim prelegentem był prof. Karl W. Deutsch z Harvard University, a jego referat dotyczył zagadnienia samostanowienia narodów. Jako koreferent wystąpiła prof. Betty Miller-Unterberger z University A. and M., Texas. W konferencji wzięło udział kilkadziesiąt zaproszonych osób ze świata politycznego, naukowego i dziennikarskiego oraz przedstawiciele Polonii Amerykańskiej. Wśród tych ostatnich obecni byli L. Walentynowicz, dyrektor biura Kongresu Polonii w Waszyngtonie i W. H. Bniński z Głosu Ameryki. Dyskusja była długa i ożywiona. ■ *Biuletyn* Instytutu Józefa Piłsudskiego w Ameryce z marca br. podaje szczegóły działalności Instytutu. Podajemy niektóre informacje: Z końcem 1978 roku zmikrofilmowano przeszło 60 % całości archiwów, w tym archiwa J. Weinsteina z Londynu, ambasadora J. Lipskiego, Ambasady Polskiej w Londynie, Gen. K. Sosnkowskiego, Amb. M. Sokolnickiego, Min. Józefa Becka, Archiwum Prometejskie, archiwum wypadków majowych (Komisja Likwidacyjna gen. L. Żeligowskiego). Instytut otrzymał 43 oryginały listów Józefa Piłsudskiego i przez niego prowadzonych protokołów posiedzeń władz PPS z lat 1893-1906 — w większości nieznanych i niepublikowanych. Ukończono zabezpieczenie zbiorów fotograficznych dotyczących Józefa Piłsudskiego — około 2.300 fotografii. Stan Biblioteki Instytutu na dzień 1. 1. br. wynosił 8.559 skatalogowanych książek. Jesienią 1978 roku Instytut uzyskał drugie subsydium z The National Endovment for the Humanities w wysokości $ 40.000. Zasadniczym warunkiem tej subwencji jest, aby Instytut zebrał we własnym zakresie fundusz trzykrotnie wyższy, niż pomoc udzielona przez władze federalne. Dary na ten cel — oprócz gotówki — mogą być w formie akcji, nieruchomości, dzieł sztuki, rzadkich książek — przy czym ofiarodawca winien pisemnie stwierdzić, że przeznacza dar na *Challenge Grant*. W styczniu br. lista członków Instytutu zawierała 574 osoby i organizacje.

◆

## WYWIAD Z AMBASADOREM AMERYKAŃSKIM W WARSZAWIE

Jeden z Czytelników przysłał nam, nagrany przez siebie na taśmę, tekst wywiadu Ryszarda Mossina dla Voice of America z ambasadorem amerykańskim w Warszawie. Jeżeli zakradły się doń jakieś drobne nieścisłości, to przypisać je należy trudnościom w odbiorze. Wywiad został nadany w drugiej połowie marca br.

*Redakcja*

*Ryszard Mossin:* — Mija akurat rok od czasu objęcia przez Pana placówki dyplomatycznej w Polsce. Jak po tym roku ocenia Pan swą placówkę?

*Amb. William Schaufele:* — Był to rok ciekawej i dużej pracy. Trzeba go zreasumować według rozmaitych kryteriów; jedno to oficjalne funkcje ambasadorskie, konferowanie z przedstawicielami władz, składanie oficjalnych wizyt oraz odwiedzanie poszczególnych województw dla lepszego poznania kraju, miejscowych władz i miejscowych problemów.

*R.M.:* — A inna strona tej pracy?

*W.S.:* — Osobiste kontakty z ludźmi, co uważam za bardzo ważne. Polacy są tak uroczy, serdeczni i gościnni, że kontakt z nimi jest bardzo łatwy. Traktuję ten pierwszy rok mej pracy ambasadora w Polsce jako rok coraz lepszego poznawania Polski i Polaków i bezwzględnie sprawił mi on dużą przyjemność.

*R.M.:* — Wspomniał Pan ambasador przed chwilą, że dużo jeździł Pan po Polsce.

*W.S.:* — Tak, bo każdy wyjazd poza Warszawę daje duże i różnorodne doświadczenia. I dlatego staram się w ramach możliwości często wyjeżdżać na prowincję. Przed samym wyjazdem do Stanów Zjednoczonych byłem

pierwszy raz zresztą — w Gdańsku i Gdyni. Kilka tygodni przedtem w Rzeszowie i Tarnobrzegu. Podróże takie dają mi — jak powiedziałem — lepszy i różnorodniejszy obraz polskich problemów gospodarczych, zainteresowań miejscowej ludności, stanowiska miejscowych władz, kwestii omawianych zbyt często w abstraktach. Są to podróże bardzo opłacające się. Wiele jeszcze województw pozostało mi do odwiedzenia, ale mam nadzieję, że i tam się wybiorę.

*R.M.:* — Jak w przeciągu tego roku rozwijała się wymiana kulturalna i handlowa między Stanami Zjednoczonymi i Polską?

*W.S.:* — Dobrze że pyta Pan o to, bo te dwa zagadnienia są dla nas bardzo ważne. Wymiana kulturalna przynosi obustronne korzyści Stanom Zjednoczonym i Polsce oraz wszystkim tym, którzy w tej wymianie biorą udział. Chcielibyśmy bardzo wymianę tę rozszerzać w miarę możliwości finansowych. Chcę zaznaczyć, że ta część wymiany kulturalnej, która jest bezpośrednio finansowania przez rząd federalny, nie ulega takiemu zwiększeniu jakie osobiście chciałbym widzieć, ale jest prócz tego wiele programów prywatnych instytucji i uniwersytetów i mam nadzieję, że wymiana na tym polu będzie wzrastać.

*R.M.:* — Przejdźmy teraz do stosunków handlowych.

*W.S.:* — Nie ulega kwestii, że w tej dziedzinie są pewne ograniczone możliwości ze względu na trudności, jakie ma Polska ze swym bilansem płatniczym, co dobrze rozumiemy. Niemniej jednak żywimy nadzieję, że ogólna wartość obustronnych obrotów handlowych w obu kierunkach osiągnie wysokość miliarda dolarów, jeśli nie więcej. Nasz główny eksport do Polski to, oczywiście, artykuły rolnicze, a większa część tego jest finansowana przez nasz program CCC.

*R.M.:* — Prasa nasza i polska przyniosły wiadomości o możliwości uzyskania pożyczki dla Polski od prywatnych banków.

*W.S.:* — Nowa pożyczka, finansowana przez kilka prywatnych banków w Stanach Zjednoczonych i państwach zachodnich, to coś o co Polska zabiegała. Banki zagraniczne złożyły ofertę pożyczek, z czego, oczywiście, jesteśmy bardzo zadowoleni, bo jest to dowód zaufania do stanu gospodarki Polski na daleką metę. Mamy nadzieję, że tego rodzaju specjalna pożyczka pomoże Polsce nie tylko teraz, ale i w przyszłości.

*R.M.:* — Czy można ją uważać za definitywną?

*W.S.:* — Nie jest jeszcze podpisana, ale można ją z pełnym uzasadnieniem uważać za załatwioną.

*R.M.:* — Panie ambasadorze. Piątego października ubiegłego roku odbywał się tu w Departamencie Stanu tak zwany „Dzień Polski". W wywiadzie dla *Głosu Ameryki* wyraził Pan zadowolenie z przebiegu obrad. Jakie rezultaty ich widzi Pan teraz?

*W.S.:* — Jestem z nich jeszcze nawet bardziej zadowolony, niż byłem wtedy. W ciągu tych paru miesięcy, jakie upłynęły od piątego października, mogliśmy zanalizować nasz dialog z Polonią Amerykańską, pogłębić go i rozszerzyć i dziś mamy bardzo łatwe z nią stosunki. Przedstawiciele Amerykanów polskiego pochodzenia czują się bardziej nieskrępowani w kontaktach i rozmowach z nami na tematy ich interesujące, a my z kolei uważamy, że możemy zasięgać ich opinii kiedykolwiek chcemy omówić rozmaite, mniejszej lub większej wagi, zagadnienia dotyczące naszej polityki wobec Polski. Ustanowiono rodzaj dialogu, którego brak chyba przedtem odczuwaliśmy.

*R.M.:* — Panie ambasadorze. Siódmego grudnia ubiegłego roku wygłosił Pan w Klubie Spraw Międzynarodowych Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich w Warszawie przemówienie na temat stosunków polsko-amerykańskich tak



ważne, że wydaje mi się, iż należałoby teraz powtórzyć pewne jego zasadnicze tezy.

*W.S.:* — Uczynię to tym chętniej, że jak Pan pewnie wie, tak jak przewidywałem, polskie środki masowego przekazu nie wspomniały o tym przemówieniu, czego bardzo żałuję. Mówiło się jednak w Polsce sporo o tym przemówieniu, ale o tej części, która stanowiła tylko drobny fragment i w której poddałem krytyce polskie środki masowego przekazu za ich sposób podawania wiadomości o sprawach amerykańskich. Według mnie takie były dwa główne punkty mego przemówienia: po pierwsze, że Stany Zjednoczone chcą pomagać Polsce w jej dążeniach do modernizacji i rozszerzenia gospodarki oraz pogłębiania handlowych i gospodarczych powiązań Polski z Zachodem — to też było pominięte milczeniem; drugi ważny punkt, to to, że traktujemy Polskę jako niezależną jednostkę i polityka nasza opiera się na założeniu, iż powinna ona być taka, jaką chcemy aby była w odniesieniu do Polski. W przeszłości zarzucano Stanom Zjednoczonym, może z pewnym uzasadnieniem, że łączymy nasze stosunki z Polską z polityką wobec Związku Sowieckiego. Przekonałem się teraz, że naprawdę jest wprost przeciwnie — to władze polskie łączą swą politykę wobec Stanów Zjednoczonych z polityką wobec Związku Sowieckiego.

*R.M.:* — Teraz chciałbym zapytać Pana ambasadora o serię jego obecnych odczytów w Stanach Zjednoczonych.

*W.S.:* — Przemawiam do rozmaitych organizacji i ugrupowań amerykańskich na tematy polskie. W Nowym Jorku, Bostonie, Michigan, Kalifornii i Chicago. Przekonałem się, że jest duże zainteresowanie tymi tematami, które wzrosło w ostatnich latach, a z pewnością w ostatnich miesiącach po wyborze Polaka na Papieża i dlatego staram się wypełnić potrzeby i zainteresowania Amerykanów w tej dziedzinie. W czasie pobytu w Chicago spotkam się też z przedstawicielami Polonii Amerykańskiej, z prezesem Kongresu Alojzym Mazewskim na czele.

*R.M.:* — Kilka dni temu Papież wystosował w związku ze swym przyjazdem do Polski list do przewodniczącego Rady Państwa, Henryka Jabłońskiego, wyrażający nadzieję, że ta jego wizyta dopomoże do dalszego rozwoju stosunków między Kościołem i Państwem. Jakie jest zdanie Pana ambasadora w tej sprawie?

*W.S.:* — Jak wiemy, jeszcze za życia Papieża Pawła VI bawił w Polsce kilkakrotnie jego specjalny przedstawiciel, który prowadził rozmowy z przedstawicielami rządu polskiego i polskiego Episkopatu. Nie przyniosło to żadnego konkretnego rezultatu z wyjątkiem kontynuowania tych dialogów. Teraz, gdy na Stolicy Apostolskiej zasiadł Polak, jest możliwe, że te rozmowy nabiorą nowej mocy i będą intensywniejsze.

## KRONIKA AUSTRALIJSKA

**Prof. Jerzy Zubrzycki, przewodniczący australijskiej Rady do Spraw Etnicznych, został odznaczony komandorią orderu Imperium Brytyjskiego (C.E.B.) za zasługi społeczne.**

# *Listy do Redakcji*

Paryż, 20 marca 1979.

Drogi Panie Redaktorze,

We wspomnieniu o Władysławie Studnickim *(Kultura* Nr 3/378, marzec 1979) Józef Mackiewicz, poruszając sprawę komisarza policji granatowej Reszczyńskiego, pisze o tym ostatnim: „Przyzwoity człowiek, b. oficer W.P. i komisarz Policji Państwowej w Wilnie, był *de facto* tym, któremu udało się w Warszawie nie dopuścić, aby tzw. policja granatowa została użyta do likwidacji getta" (str. 122). Oraz, w cytacie z mowy Studnickiego wygłoszonej na pogrzebie komisarza Reszczyńskiego: „Był to człowiek, który nie dopuścił do skalania uniformu polskiego przez haniebne czyny" (str. 123).

Nie znając sprawy kom. Reszczyńskiego (tragicznej jak wynika z zapodań Mackiewicza) nie dotknę ani jednym słowem jego osoby. Nie wiem jednak skąd Józef Mackiewicz zaczerpnął wiadomość, jakoby Reszczyńskiemu„udało się w Warszawie nie dopuścić..." itd. W rzeczywistości bowiem, zarówno w likwidacji getta warszawskiego, jak i w bojach przeciw wybuchłemu z tej okazji powstaniu warszawskiego getta policja granatowa brała udział czynny i ważny. Poniosła też na tym polu walki sporo ofiar w zabitych i rannych. W znanych już dzisiaj powszechnie raportach z owych bojów „zdobywca" warszawskiego getta gen. SS Jurgen Stropp nie szczędzi jej pochwał: nie tylko oddziałom policji granatowej zaangażowanym bezpośrednio na polu walki, ale również operującym w mieście. W raporcie rekapitulacyjnym pisze np.: „Policja polska została upoważniona darować każdemu policjantowi polskiemu, który pochwyci Żyda w aryjskich dzielnicach miasta, 1/3 gotówki tego Żyda. Zarządzenie to zostało już uwieńczone sukcesami". Jeśli chodzi o oddziały policji granatowej walczące na samym froncie getta, to ich przeciętny stan liczebny wynosił każdego dnia 4.363 plus 166 strażaków tejże policji granatowej. Razem pośród jedenastu formacji niemieckich i najemnych, odkomenderowanych do bitwy na „froncie Nalewek", byli tym samym formacją najliczniejszą. Zasłużyła ona na słowa uznania zarówno w codziennych meldunkach Stroppa (wysyłanych na rozkaz Himmlera do najwyższego dowódcy SS i policji niemieckiej na Wschodzie, który komunikował je z kolei Himmlerowi etc.), jak w jego sprawozdaniu ogólnym. Nazwiska ofiar spośród policji granatowej figurują (z dokładnymi datami urodzin, śmierci — jeśli idzie o zabitych, oraz numeru porządkowego oddziału, do którego dany policjant należał) w przedstawionej przez Stroppa do odznaczeń liście poległych i rannych „za Führera i za ich (?) ojczyznę". (Po zdławieniu Powstania w getcie grad medali w istocie udekorował wielu wojowników niemieckich oraz ich współkombatantów innych narodowości).

Uznanie dla granatowej policji utkwiło Stroopowi głęboko w pamięci, gdyż wyraził je za wieloma nawrotami również po wojnie, mianowicie podczas śledztwa w Warszawie: „Muszę powtórzyć, że policja polska pomagała pod każdym względem policji niemieckiej w wykonaniu zarówno zarządzeń policyjnych, jak zarządzeń bezpieczeństwa". — „Strażacy czuwali, by ogień



nie objął bloków budowli granicznych po stronie aryjskiej. Współdziałali w podpalaniu budynków w getcie. Muszę przyznać, że pracowali w sposób nienaganny". — „Policja polska pomagała w sposób nadzwyczaj skuteczny w zmiażdżeniu powstania getta".

Stwierdźmy, że nie wszyscy policjanci granatowi, którzy ponieśli śmierć lub rany „dla Führera i dla ich (?) ojczyzny" zostali ugodzeni przez kule powstańców żydowskich. Kilku z nich padło od kul żołnierzy Armii Krajowej i — skądinąd — Gwardii Ludowej, w atakach dokonanych przez patrole powyższych organizacji tytułem akcji solidaryzującej się z walczącym gettem [1].

Łączę mocny uścisk dłoni i najlepsze pozdrowienia,

*Michał BORWICZ*

---

1. Teksty raportów Stroopa i jego zeznania w śledztwie po wojnie — w mej książce „L'Insurrection du ghetto de Varsovie" (Wyd.: Julliard. Collection: *Archives*. Paris, 1966). Tamże meldunki A.K. i G.L. dotyczące przebiegu ataków solidarnościowych z walczącym gettem. Same raporty Stroopa (przedstawione przez oskarżenie w Procesie Norymberskim, Nr ref. PS 1061) opublikowane były zresztą w szeregu języków.

◆

Hamilton, Kanada, 9 kwietnia 1979.

Krakowski *Tygodnik Powszechny* w numerze z dnia 25 lutego br. zamieścił szereg wypowiedzi osób ze świata nauki i kultury, w związku z wyborem Kardynała Wojtyły na Papieża.

Najbardziej charakterystyczna jest wypowiedź Jarosława Iwaszkiewicza, postaci dla większości z nas niesympatycznej, której jednak nie można odmówić talentu literackiego i inteligencji.

Jego wypowiedź: „Myślę, że obiór kardynała Wojtyły na papieża mógłby być otwarciem okna dla kultury polskiej — tak uparcie lekceważonej na Zachodzie. Zachodzi jednak obawa, że to zwycięstwo polskie może pozostać nie wykorzystane, jak tyle innych polskich zwycięstw, zdarzeń o światowych wymiarach, może zatopić się w mieliznach pospolitości — a druga taka okazja już się nam nie zdarzy".

W obecnej sytuacji politycznej wykorzystanie, czy zaprzepaszczenie „polskiego zwycięstwa", zależy przede wszystkim od nas: emigracji niepodległościowej i Polaków w świecie Zachodu. Iwaszkiewicz mówi o „otwarciu okna dla kultury polskiej", wydaje się, że należy rozszerzyć jego ujęcie także na propagandę na rzecz niepodległości.

Osobiście uważam, że obecny Papież jest jednostką więcej niż nieprzeciętną i w okresie Jego pontyfikatu świat stale będzie omawiał Jego posunięcia, wypowiedzi, poglądy i osiągnięcia. Przez okres ostatnich przeszło 30-tu lat czasem, sporadycznie, coś się ukazało w prasie Zachodu o Polsce. Obecnie tylko w Stanach w miesiącu lutym opublikowano 16 artykułów (wynotowanych) z tego 7 na temat Papieża, a inne prawdopodobnie inspirowane Jego wyborem.

Aby jednak mieć możność prowadzenia propagandy, trzeba mieć fundusze i to duże. Zawsze i wszędzie słyszy się: „nie mamy". Twierdzę wręcz odwrotnie — mamy, tylko tracimy je na rzeczy nieistotne. Dowody — podam jeden z wielu, ale jaskrawy: topienie setek tysięcy dolarów w pomniki Katyńskie, stawiane po krajach naszego osiedlenia. A gdyby tak te sumy obrócić na umiejętną propagandę?

W Stanach i w Kanadzie coraz szerszą działalność na rzecz niepodległości kultury polskiej rozwija „Studium Spraw Polskich". Propagandę na rzecz niepodległości prowadzi się od lat z funduszów „Skarbu Narodowego". Organizacje te dysponują śmiesznie małymi sumami w stosunku do naszych możliwości. Dajmy te setki tysięcy „Studium", „Skarbowi Narodowemu", niech organizacje podobne do „Studium" powstaną w innych krajach naszego osiedlenia.

Kochamy się w gestach, frazeologii — do nich zaliczam „pomniko-manię", wielce patriotyczne mowy i uchwały Zjazdu Polonii w Toronto (bez zapewnienia wybranej Radzie Koordynacyjnej stałych funduszów — doraźnie zebrano w czasie Zjazdu kilkanaście tysięcy dolarów).

Obyśmy naszego „zwycięstwa" nie zatopili w mieliznach pospolitości, a umieli je należycie wykorzystać!

*Henryk CZAJKOWSKI*

◆

Kelowna, B.C., 18 marca 1979.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

W liście do *Kultury* nr 3/378 z 1979 r. panu N. Tenenbaum nie podoba się wzmianka o nienawiści Żydów do Polaków w eseju C. Miłosza *(Kultura* nr 1/2 z 1979), mnie również nie podoba się, wolałbym ażeby jej nie było i przypuszczam, że p. Miłosz z przykrością wzmiankę tę umieścił. Zamieszkujący w Szwecji p. Tenenbaum nie orientuje się prawdopodobnie w antypolskiej akcji rozpętanej przez żydostwo amerykańskie; w akcji tej używa się wszelkich środków do stałego wpajania społeczeństwu północnoamerykańskiemu jak najbardziej ujemnego wyobrażenia o polskim narodzie („Holocaust").

Akcja ta, trwająca wiele lat, wydaje już owoce! Nie jest to akcja *ad hoc*, lecz systematyczna i zorganizowana akcja obrzucania nieczystościami i szkalowania wszystkiego co jest polskie; nie odnosi się wrażenia, że angażują się do tego odosobnione kręgi żydowskie. Jestem na kontynencie amerykańskim ponad 31 (trzydzieści jeden) lat i nigdzie nie czytałem, ani nie słyszałem o jakimś potępieniu tej roboty przez jakąś organizację żydowską, czy też jakiś autorytet narodowości żydowskiej!

Oskarżenie p. Miłosza, że jego wypowiedź jest zgodna z linią propagandową PRL jest zarazem oskarżeniem całej Polonii amerykańskiej. Czy rzeczywiście p. Tenenbaum uważa, że systematycznie ktoś oblewany pomyjami nie ma prawa nawet poskarżyć się, ponieważ oblewającymi są Żydzi?

Jest zastanawiające ile energii wkładają Żydzi amerykańscy do podsycania i kultywowania antysemityzmu w masach polskich, aby broń Panie Boże ten antysemityzm nie zamarł! Po co to się robi? Prawdopodobnie po to, by móc oskarżać Polaków o antysemityzm!

List ten piszę z przykrością i byłbym bardzo zadowolony gdyby nie było potrzeby o tym pisać.

Proszę przyjąć wyrazy szacunku i poważania,

*Edmund KOWALEWSKI*

◆

Monachium, 25 marca 1979.

Szanowny Panie Redaktorze,

Wzmianka dotycząca Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa w rubryce „Wydarzenia miesiąca" *(Kultura* nr 3/378, 1979) wymaga pewnych wyjaśniających uzupełnień.



Rada Zakładowa, której jestem członkiem, wniosła zastrzeżenia odnośnie *roli* wyznaczonej p. Z. Błażyńskiemu nie „od siebie", lecz w wyniku obiekcji i zahamowań części polskiego zespołu RWE, głównie redakcyjnego. Sygnalizowanie tego rodzaju nastrojów należy do kompetencji i obowiązków Rad Zakładowych.

Zastrzeżenia nasze nie mają charakteru osobistego, lecz dotyczą celów, motywów i sposobu postępowania Dyrekcji RWE w tym i w podobnych wypadkach. Jest ono coraz częściej apodyktyczne, konspiracyjne, omijające obowiązującą kolejność proceduralną, sprzeczne z proklamowanym niegdyś „duchem współpracy i partnerstwa" oraz niezgodne z demokratyczną tradycją i z zasadami ideologicznymi przez tę Radiostację głoszonymi.

Wiązanie z przyjazdem p. Błażyńskiego „próby stępienia... (powinno być: *dalszego* stępienia)... ideowego charakteru programów RWE" — to, na razie, przypuszczenia i obawy.

Faktem natomiast jest, wyraźne od dłuższego czasu, odwracanie podstawowych kryteriów: Siła atrakcyjna Rozgłośni Polskiej RWE tkwiła m.in. w tym, że słuchacze czuli, iż ludzi dla nich piszących i do nich mówiących cechuje zdecydowana postawa moralno-polityczna. Dzisiaj kościec etyczny i wierność ideałom wydają się być balastem, jeśli nie wręcz wadą dyskwalifikującą pracownika.

Faktem jest również, że prawie nikomu — od tzw. „góry" począwszy — nie zależy na *jakości* (w szerokim znaczeniu) audycji i ich wykonania.

Jednak za stopniowe przekształcanie Rozgłośni Polskiej w rozgłośnię *dla* Polaków (nie wiadomo kogo i co reprezentującą) i za polityczno-ideową „utratę twarzy" — słuchacze i opinia polska czynią odpowiedzialnym *polski zespół* RWE, a nie mityczne dla nich i często zmieniające się dyrekcje.

Proszę przyjąć wyrazy szacunku i serdeczne pozdrowienia,

*Jacek K. MACHNIEWICZ*

◆

Szanowny Panie Redaktorze,

W moim liście do redakcji *(Kultura,* nr 3/378) w nawiązaniu do dialogu o Wilnie Pana Czesława Miłosza, zniekształcone zostało, prawdopodobnie na skutek błędu drukarskiego nazwisko kierownika sekcji psychologiczno-pedagogicznej Yivo L. LEHRERA (było błędnie wydrukowane L. Dehrera).

Proszę przyjąć wyrazy wielkiego szacunku,

*Michał RUDAWSKI*

◆

## DO WŁODZIMIERZA ODOJEWSKIEGO LIST OTWARTY

Berlin, 21 marca 1979.

Panie Włodzimierzu!

Filmu „Holocaust" nie oglądałem. Przeczytałem natomiast Pana artykuł w marcowej *Kulturze*. To, co piszę do Pana nie jest więc o nieznanym mi filmie lecz o Jego artykule, który wykraczał zresztą daleko poza samo omówienie.

Być może, że konfrontowany bywa Pan z pytaniem, czy antysemityzm jest Polakom wrodzony. Być może, że odpowiada Pan na to pytanie, posta-

wione w zamiarach niecnych lub z głupoty, tak, jak to Pan był napisał. Ale jak wpadł Pan na myśl, że Jego odpowiedź jest najlepszą z możliwych? I że jej opublikowanie przysłużyć się może czemukolwiek: sprawie polskiej, obronie polskiego dobrego imienia, oddaniu sprawiedliwości prawdzie historycznej...?

„Ludzie ludziom zgotowali ten los". To zdanie nie wyszło spod Pana pióra. To napisała Nałkowska już w 1945 roku. U Pana podobne — czy można tu jeszcze o podobieństwie mówić? — zdanie brzmi: „Nie myśmy przecież Żydom zafundowali komory gazowe i krematoria". Inne widać miała Nałkowska problemy, Panu wydaje się wystarczać do duchowego komfortu świadomość, że i ofiary i kaci do innych niż On plemion należeli. I w tym wszystkim owo — są sytuacje, w których nonszalancja staje się czymś o wiele gorszym — owo „zafundowali" *(nota-bene:* cytowane przez Pana rozmowy się zapewne po niemiecku; jakiego więc słowa był Pan używał, żeby niczego nie uronić — *spendieren?)*. Czy sądzi Pan naprawdę, że sięgnięcie do zasobów leksykalnych powiślańskiego *slang*'u rozwiązuje wszystkie problemy, jakie bywają w trójkącie polsko-żydowsko-niemieckim?

Ileż złych rzeczy zawierać może jedno zdanie, nawet gdy jest formalnie prawdziwe. Ale jeżeli pisarz, czytany i honorowany nie zna wagi słów, to kto ma je znać?

*Wiktor SZACKI*

◆

Orlando, Fla., 19 lutego 1979.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Artykuł prof. Terleckiego *(Kultura* nr 1/2, 1979) jest dotychczas mało uwzględnianym przyczynkiem zrozumienia rozwoju mentalności przeszłej i przyszłej — Polaków w Stanach Zjednoczonych. Szczególnie ważny wydaje mi się fakt, iż prof. Terlecki, nie tylko kieruje uwagę czytelników na dotychczasowe zaniedbania wynikające z istniejącego *status quo*, ale że zwraca uwagę na aktualne i (w możliwie najbliższej przyszłości) istotne *alternatywy*, które są uzależnione od akcji i reakcji, oraz współpracy ideologicznej, ponad- i pozapartyjnej, wielomilionowej masy ludzi polskiego pochodzenia w USA.

Oczywiście wszystko jest zależne od zrozumienia stopnia aktualności przez tzw. „leaderów" i ich umiejętności dostosowania się do aktualności sytuacji, i uczciwych (i ponadpartyjnych) prób zrozumienia „masy", od której zależy poparcie (w sensie ilościowym).

Trochę zdziwiło mnie zdanie, że: „Antropologia odróżnia wszystkich jasnowłosych etc., od... etc...". Przypuszczam, iż to może był „lapsus"?! W rzeczywistości jest wręcz odwrotnie! W USA antropologia jest nauką porównawczą, inkorporującą historię, psychologię, socjologię, biologię włącznie z genetyką, *environmental sciences* — które się jeszcze nie doczekały dokładnego polskiego tłumaczenia (jako przedmiot studiów) — etc. etc.

Innymi słowy, jeśli jednostka określająca się sama mianem antropologa okazuje się być w istocie rzeczy niewiele więcej (lub mniej) niż programowym lub naukowym „rasistą", „to nie powinno to rzucać cienia na naukę jako taką!"( Jak większość niewypałów!). PRZECIWNIE! Antropologia należy, dzięki jej wszechstronności, do nielicznych nauk, które mogłyby się przyczynić do ułatwiania rozwiązania wielu zagadnień „Wielokultury".

Moje drugie zastrzeżenie jest raczej natury lapidarnej: dotyczy akronimu PIGS *versus* WASP! (Przy czym w meritum rzeczy prof. Terlecki miał absolutną rację!).

Wydaje mi się, że istotnie *P*olaks, *I*rish, (może również być *I*talians), oraz *G*reeks składają się w PIG. Ale te *S* nie znaczy że są słowianie



*(slavs)* jak to prof. Terlecki informuje, tylko SLAVES* (czyli *niewolnicy)* (sic!) co podtrzymuje meritum rozprawy prof. Terleckiego.

A poza tym był to jeden z najpotrzebniejszych artykułów, na łamach naszej emigracyjno-POLSKIEJ prasy, który się wydarzył, od długiego czasu!

Łączę wyrazy poważania,

*Barbara SZUBSKA*

---

* Najlepszy przykład jak jedna mała litera może stanowić o osądach! Brakujące pomiędzy *v* i *s* e decyduje, czy chodzi o Słowian czy niewolników.

◆

Londyn, marzec 1979.

Szanowny Panie Redaktorze,

Mój esej „Amerykański eksperyment wielokultury" (nr 1/2 *Kultury* z br.) wywołał dwa marginesowe odgłosy: „Czytelnika ze Sztokholmu" i ks. Wojciecha Sojki. Wymagają one wyjaśnienia.

1) Anonimowy „Czytelnik ze Sztokholmu" broni przede mną prof. Gunnara Myrdala, o którym zgromadził sporo informacji cennych także dla mnie. Zaczepiłem Myrdala jako przeciwnika etnicyzmu, odrębności kulturalnej Amerykanów różnego rodowodu posługującego się argumentem który ma znamiona myślenia marksistowskiego. Walka o odrębność etniczną jest — jego zdaniem — sentymentalną mrzonką inteligentów, którzy odciągają robotników od walki o poprawę bytu materialnego. Jest to odcień postawy „waspowskiej", postawy anglosaskich rasistów i zapewne tłumaczy się szwedzkim pochodzeniem Myrdala. Skandynawowie, obok Brytyjczyków i Niemców, stanowią *hard core* „Waspów" *(White Anglosaxon of Protestant Denomination)*, którym ciągle marzy się Ameryka kulturalnie zglajchszaltowana. Okazuje się, żes przynależność do Szwecji, że długie, zaszczytne uznanie w Stanach nie równoważy u Myrdala idiosynkrazji, nawet wrogości dla wszystkiego co nie „waspowskie". Jego stanowisko jest szkodliwe dla sprawy „etników", także „etników" polskiej krwi, tym szkodliwsze, że reprezentuje on wysoki autorytet naukowy.

2) Klasyczna książka francuskiego osadnika wielu imion Michela, Guillaume'a, Jean de Crèvecœur i kilku pseudonimów: „Letters from an American Farmer", przytoczona przez ks. Sojkę, jest mi znana. Rzeczywiście w tym zbiorze esejów tłumaczonych na wiele języków, wydanych wiele razy, Crèvecœur z francuską bystrością dotrzegł wiele rzeczy, użył terminu *the melting pot* i starał się odpowiedzieć na pytanie *„what* w przedprzemysłowej, rolniczej Ameryce (I-sze wyd.: London, 1782). Dla sprawy poruszonej w moim szkicu ma drugorzędne znaczenie, bo to dopiero Israel Zangwill w swojej sztuce użył od razu w tytule wyrażenia *the melting pot* (lepiej lub gorzej przełożone jako „tygiel hutniczy"), podniósł go do godności wielkiej metafory, nadał mu sens niemal mistyczny, sens mający przyświecać Ameryce Przemysłowej jako ideał, któremu pragnąłbym przeciwstawić inny ideał — Ameryki Wielokulturowej.

*Tymon TERLECKI*

## ODPOWIEDZI REDAKCJI

*M.O., Perth Amboy, USA.* — Pana listu nie zamieścimy; był on skierowany do innego pisma i do tego podpisany pseudonimem.

*Prof. M. K. Dziewanowski, USA.* — Nie zamieścimy. Nie podzielamy obaw

Pana i Radia Wolna Europa jeśli idzie o te osławione już „nawoływania".

*A.K., Buffalo, N.Y., USA.* — Nie zamieścimy. Przy całej czci dla Papieża i docenianiu wagi faktu, że po raz pierwszy w historii papieżem został Polak — nie uważamy, aby dzień Jego wyboru należało ogłosić świętem narodowym.

*J.L., Stockholm.* — To już jest chyba obsesja, żeby krytyczną uwagę o pisarzu żydowskim traktować jako przejaw antysemityzmu.

*M.K., Blamstermola, Szwecja.* — Nie zamieszczamy niepodpisanych listów do Redakcji, z wyjątkiem jeśli idzie o osoby zamieszkałe w Polsce. I w Kraju zresztą coraz częściej ludzie podpisują się pełnym imieniem i nazwiskiem. Pana list przekazaliśmy zainteresowanemu autorowi.

*„Pielgrzym z Dobromilu".* — Jak wyżej. Zresztą list Pana nie bardzo przyczynia się do normalizacji stosunków polsko-ukraińskich. Zbyt jednostronny.

*W.M.M., Montreal.* — Pana list przesłaliśmy p. Wł. Żeleńskiemu.

*Z.B., Lailly-en-Val.* — Niewątpliwie mundur żołnierza polskiego jest fantazyjny. Nie mniej w intencji realizatorów filmu ma to być żołnierz polski, świadczy o tym orzełek na rogatywce.

*H.K., Londyn.* — Przyjmujemy do wiadomości Pana sprostowanie, że śp. prałat Piotr Tatarynowicz był Polakiem a nie Białorusinem. List Pana przekazaliśmy p. Wł. Brylewskiemu.

*REDAKCJA*

BIBLIOTEKA « KULTURY »

**WZNOWIENIA**

WITOLD GOMBROWICZ

DZIENNIKI

(Tomy VI, VII i VIII „DZIEŁ ZEBRANYCH")

**Dziennik** T. I. (1953-1956) str. 304 — F. 55,00
**Dziennik** T. II (1957-1961) str. 256 — F. 50,00
**Dziennik** T. III (1961-1966) str. 224 — F. 40,00.

Włoski korespondent „Kultury": Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

*Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.*
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt Légal : 2e Trimestre 1979.

BIBLIOTEKA NARODOWA BN

**KULTURA**

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji : 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon : 962-19-04

| PRZEDSTAWICIELSTWA | Egz. poj. | Prenumerata 1/2-roczna | Prenumerata roczna |
|---|---|---|---|
| **AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza,** 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002 | | R. 19,50 | R. 37,00 |
| **ARGENTYNA : Natalia Dabrowska,** « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25 | F. 17,00 | F. 95,00 | F. 180,00 |
| **AUSTRALIA : Polish Book Depot VISTULA,** Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, tel. 212-2013 | $ A 4,00 | $ A 20,00 | $ A 38,00 |
| **AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I,** Schönlaterngasse Nr 5/2. Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762 | F. 17,00 | F. 95,00 | F. 180,00 |
| **BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky,** 19, Amédée Lynen, app 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 218-69-23 | F.B. 160,00 | F.B. 900,00 | F.B. 1 700,00 |
| **BRAZYLIA** : prosimy o przesyłanie czekow do adm. „Kultury" | $ US 4,00<br>F. 17,00 | $ US 22,00<br>F. 95,00 | $ US 42,00<br>F. 180,00 |
| **DANIA : O.T. ZALEWSKI,** Postboks 41, 2880 Bagsvaerd .. | F. 17,00 | F. 90,00 | F. 170,00 |
| **FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryzu** | Fl h 8,50 | Fl h. 50,00 | Fl. h. 90,00 |
| **HOLANDIA : Mrs J. Minkiewicz,** Wielingenlaan 6, Vlissingen. Tel. (01184) 14073, Postgiro 1379176 | | | |
| **KANADA : Krystyna Krakowska,** 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tél. (514) 465-2362 ; **B. Krasuski,** 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4 ; Very rev. **Donald Malinowski,** 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2 ; Tel. 339-5577 ; **Z. Micherdzinski,** 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115 ; **J. Korwin-Lopuszanski,** 90 Hilliard Avenue Ottawa K2E 6C2 ; **« Polish Voice Publishing » Co.,** 1089 Queen str. W. Toronto 145 Ont., **Polish Alliance Presse, Ltd. (« Zwiazkowiec »),** 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7 | $ Can. 5,00 | $ Can 26,00 | $ Can. 50,00 |
| **NIEMCY** : St Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1. | DM 9,00 | D.M. 50,00 | D.M. 90,00 |
| **NORWEGIA : Br Lubinski,** Klommenstengt 8, Moss .... | F. 17,00 | F. 95,00 | F. 180,00 |
| **SZWAJCARIA : Maria Wasung,** 6, rue des Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51, Nr konta pocztow. 12.14431 .. | F.S. 8,50 | F.S. 50,00 | F.S. 90,00 |
| **SZWECJA : Norbert Zaba,** Kallskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm, Tel. (08) 60-15-70, Postgirokonto Nr 48 82 34-6. | K.S. 17,00 | F.S. 95,00 | K.S. 180,00 |
| **U.S.A : S. Dobczynski, Alma Shipping Co.** 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009, Tél. 475-8886. **Ada Dziewanowska,** 2928 North Downer Ave., Milwaukee, wis. 53211 ; **T. Konopacki,** 27437 Detroit Rd., Cleveland,. Ohio, 44145. Tél. 871-48-47 **Irena Kretowicz,** 4254-34th St., **San Diego, Cal. 92104, Tel 284-6271 ; V.B. Kwast,** 9055 East Lee St., Tucson, AZ 85715, Tel. 886-2128 ; **M. Kosciuch,** 12331 French Rd., Detroit Mich 48234 ; **F. Orzechowski. Book,** 2036 Chestnut str., Philadelphia, Pa 19103. **POLONIA,** Bookstore, 2886 Milwaukee Ave., Chicago, Il. 60618, tel. (312) 489-2554 ; **R.J. Sas-Babczynski,** 776 N. Van Ness Av., apt. 27, Los Angeles, Cal. 90038, tél. (213) 463-1817 ; **Jan Wojcik,** 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053 ; **Ksiegarnia Ludowa, Peoples Book Store,** 5347 Chene Str., Detroit, Mich, 48211 | $ US 4,00 | $ US 22,00 | $ US 42,00 |
| **W. BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd.,** 66 Kenway Rd., London, S.W. 5. ORD. Tel. (01) 370 2210 | £stg. 2,15 | £stg. 12,00 | £stg. 22,50 |
| **WLOCHY : Witold Zahorski,** Roma, via Gallia 60 int. 27., Tel. 75-67-241 | F. 17,00 | F. 95,00 | F. 180.00 |

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 180; półroczna — F. 95.
*Przesyłka* pojedynczego numeru — F. 2,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 *(z Francji)*
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 *(z zagranicy)*

## Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKI « KULTURY »
TOM 301 — ZESZYTY HISTORYCZNE

# ZESZYT CZTERDZIESTY SIÓDMY

Zawiera m.in. prace: Polskie Porozumienie Niepodległościowe — *1918-1978;* Poradnik Społeczny PPN — *Odzyskanie niepodległości w 1918 roku;* Natalii Naruszewicz — *Zarys historii PRL* — Zeszyt 2: *Narodziny PRL (Lipiec 1944 - Lipiec 1945); polemikę z Natalią Naruszewicz:* Tadeusza Żenczykowskiego i Jana Ciechanowskiego; Bronisława Wanke — *Władze legalne R.P. na uchodźstwie (1940-1970);* Zdzisława Baua — *35 lat Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku;* Witolda Babińskiego — *Prezydent Raczkiewicz;* Jerzego Lerskiego — *Lwowska młodzież społeczno-demokratyczna 1937-1939;* ks. inf. Teofila Skalskiego — *Garstka wspomnień z mego życia* (3); oraz POLEMIKI, OKRUCHY HISTORII i RECENZJE.

Str. 240. Cena F. 40,00.

◆

TOM 302 — JERZY BARTECKI

# GOSPODARKA NA MANOWCACH

Praca zawiera rozdziały: Dorobek 30-lecia; Potencjał i efekty; Erozja systemu planowania i zarządzania; O cenach, płacach, spożyciu, sile kupna i zarobkach; Rolnictwo i gospodarka żywnościowa; Problem mieszkaniowy; Stosunki gospodarcze z zagranicą; Niektóre przyczyny niskiej efektywności; Błędy w sterowaniu gospodarką; Refleksje końcowe.

oraz

**Uwagi na Marginesie — Pawła Tenczyńskiego**

Str. 80. Cena F. 20,00.

◆

TOM 303 — STANISŁAW BARAŃCZAK

# ETYKA I POETYKA

SZKICE 1970-1978

Str. 272. Cena F. 65,00.

**Cena 17 F**

RICHARD S.A. - Paris - 606-88-26